

1057

[Handwritten signature]

46



OBRAZKI

CZASU I LUDZI.

NAPISAL

Berlicz Sas.



WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA,

ulica Nowy-Świat, Nr. 39.

1876.



1000171938

A 35631

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Декабря 1875 г.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

208 13 a

K 1183/61/45

OBRAZKI CZASU I LUDZI.

Rozdział I.

Kto był Lipowczyński? — Szkic Lipowca. — Dworek Lipowczyńskiego. — Zamknięcie samotności. — Urządzenie wewnętrzne dworku. — Wazon róży. — Malowidła. — Pamiątki przeszłości. — Portret czarownicy dziewicy. — Stan duszy Lipowczyńskiego.

Ksawery Łukasz Lipowczyński, był to sobie dobry szlachcic z klejnotu i serca, i mieszkał w Lipowcu *), dość dawniej osadzie nad Sobem, podniesionej od lat kilkudziesięciu do godności powiatowego miasta. Lipowiec był ongi własnością jego rodu; lecz się zeń wyslizgnął, jak piskorz, współ z kilkunastu wsiami, składającymi całość bogatej majątności.

Cudne to miasto ten Lipowiec! — Równie sprawiedliwych jurydykcyj, równie dzielnej i trzeźwej inwalidnej komendy **), nigdzie nie obaczyć! A jakie tam magazyny!... są w nich i skałki, i hubki, i siarniczki przewyborne! Widziałem nawet lazurek

*) W gubernii Kijowskiej.

**) Straż powiatowa, z weteranów niezdatnych do bojowej służby, złożona.

u Szmujlika; krochmal i mydło u Josia; nie wspominając już o sznurku suszonych grzybów, które dumały o rodzinnym borze swoim, w sąsiedztwie dwóch miodowych karmelków, uwiezionych w słoiku od szuwaksu. A kiedy Mediowa wystąpi z moskiewskim cycem, a Naftuła z lustryną lub kitajką, to dalipan człek trzyma się oburącz za kieszeń, żeby jój czasami żądza nabycia tylu pięknych rzeczy nie wypróżniła!

I Bach wespół z Silenem, mają tam godny siebie przybytek u kulawego Majorka. Obfitszej piwnicy i Hejdelberg nigdy nie posiadał! O co byś pytał — jest! Rum, tchnący niedogonem; Madera, zaprawna alkoholem; Mozel na szczawiovym kwasu; Sotern, spokrewniony z octem; szampan, urodzony w Winnicy; Lunel, wylęgły z miodu i rodzenków; słowem, byle ochota, a jest czém zalać gardło i głowę odurzyć. Dla elegantek jest w Lipowcu magazyn strojów, zalecający się jakimś przedpotopowym czepkiem, który, spełniając *officium* szyldu, wygląda przez dziurę ze strychu austeryi Naftuły. Dla gastronomów jest hotel Brani Froimowej, głośny tą szczególnością, że w nim biorą pieniądze, chociaż jeść nie dają, bo tego co podają i sam Pantagruel nie licznałby, zaręczam. Dla ludzi specjalnych, przemysłowych, technicznych, wiele się znajduje w Lipowcu przedmiotów godnych uwagi i badania. Architekta nie minie synagogi kamiennój bez oddania hołdu jój pięknemu stylowi, przypominającemu swobodne i szlachetne linie, nie gmachów starożytnój Hellady, lecz kufra, w którym Salomon swe manatki składał. Mechanik zdziwi się niepomału, gdy ujrzy, jak woda, puszczone łożkiem, młyńskie koła obraca; bo tej osobliwości nigdzie, oprócz w Lipowcu, nie zobaczy. Poeta niech się każe prowadzić do lipowieckiej Korynny, pani T. i posłucha, jak brzdąkając na niestrojonój gitarze, zawodziostro-octowym głosem dumki ukraińskie, albo, jak rozogniona gorączką natchnienia, improwizuje odę do koguta, idyllę do kuropatwy, tkliwą kantylenę do jaj kurzych, indyecznych, gęsich i innych. To mi talent! nie prawdaż? Co mi to za sztuka snuć

myśli, wiązać strofy, nizać rymy na cześć wysokich przedmiotów uczucia — być wieszczem u stóp Kapitolu, na gruzach Niniwy, Tyru, Kartaginy, Sparty!... Tam samé słowa zlewają się w hymn, elegię, lub odę; tylko otwórz gębę i śpiewaj! tylko chwytaj pióro i pisz! Ztąd wynika pewnik niezaprzeczony, że talent pani T., zdolny z najprozaiczniejszej rzeczy wysnuć pierwiastek poezyi, musi być godnym ciekawości i podziwu.

Otóż macie stan obecny Lipowca. I dawniej miał on swoje świetne i pamiętne doby. Stefan Czarniecki w pochodzie swoim ku Monasterzyskom, walczył tu z kozactwem; a na placu, zwanym dotąd zameczyskiem, wznosił był okopy i szańce, których nie pozostało ani śladu. Teraz stoi na tém miejscu ubogi parafialny kościółek, cichy przybytek modlitwy; a nieco dalej czernieją krzyże cmentarzów, i karta stepu, żywa kronika przeszłości, leży otwarta przed okiem.

Kiedy stanęła pierwiastkowa osada Lipowca? Kto ją założył i kim zaludnił? — niewiadomo. Sądzę jednak, że na wzór innych ukraińskich osad, i Lipowiec musiał powstać z napływu zbiegów kijowskich, jeńców tatarskich, hajdamackich przechodniów lub wygnanych z kosza Zaporozców; z czego miałyby prawo chełpić się nie pomału, bo i koleżki Romula, pierwsi osadnicy Romy, nie więcej od nich byli warci.

W XVI-tym i XVII-tym wiekach, Lipowiec nosił także miano Aisina i Ayzyna, z kąd wynikło nazwisko jednej najstarszej, czyli gniazdowej części miasta, o której świadczą urzędowe dokumenta z epok wyżej wspomnianych, że tam wicherzył się duch nieładu i buntu, i że wierni pochodzeniu swojemu mieszkańce Aisina, dzisiejszego Hajsyna, często wpadali zbrojnym najazdem w granice ościennych posiadłości, roznosząc gwałty, rabunek, pożogi i mordy.

Książęta Zasławscy, Ostrogscy, Sanguszkowie i Lubomirscy, byli kolejno posiadaczami Lipowca. W końcu przeszedł on do Berliczów Sasów, hrabiów ze Strutyna, w osobie Łukasza, sta-

rosty horodelskiego, który w 1797 r. uorganizował tam cechy rzemieślnicze i ustalił porządek niesfornej oddawna osady.

Wracam do Lipowczyńskiego.

Nadto on posiadał *quintum sensum*, żeby go można było sprawiedliwie oskarżać o nieracjonalność w wyborze siedziby. Wiedział on dobrze o egzystencyi miejsc dogodniejszych pod każdym względem, albowiem szwędał się za młodu po świecie; ale go ciągnęło serce do Lipowca, a więc poszedł za sercem.

Dworek jego stał nad stromym brzegiem Sobu, dostojnego współzawodnika Indusa, Gangesu i Renu, z którymi miał to wspólne, że i w nim można się było utopić, byle na chęci nie brakło.

Dokoła dworka sterczały zielone kity topoli, kilka brzoź srebrnych szumiało, i kilkanaście kasztanów udzielało schronienia od ulewy i skwaru, dla zwierząt z duszą i bez duszy, co prawie na jedno wychodzi. Z kwiatów, nie widziałeś tam innych, oprócz klasycznej nastureyi, kilku rodzajów szlacheckiej ostróżki, różnobarwnego maku, i dumnie sterczących słoneczników, tych Gwebrow roślinności.

Pomiędzy kwaterami snuły się wężykami ścieżki wążiuchne, dążące do wydeptanej w murawie drożynki, prowadzącej, strumą spadzistością brzegu, do rzeki. Tam były głązy, osnute chmielem, porośłe mchem sędziwym, na których zwykł siadywać samotny właściciel dworku, by pierś powietrzem ostudzić, umysł dumaniem zabawić, ducha orzeźwić rozpamiętywaniem, a zmysły spoczynkiem. Ile tam bieg fali unosił dum jego, ile polot wiatru wspomnień przeszłości i westchnień — Bogu wiadomo! — To tylko pewna, że go nieraz zastawał siedzącego na kamieniu, i tak pogrążonego w myślach, że gdybym był nie dowiódł dotykalnie mojej przytomności, nie wiedziałby o niej.

Żaden pustelnik Tebaidy nie wyrównał Lipowczyńskiemu w zamiłowaniu samotności; chociaż jój za młodu nie lubił. Ta dążność duszy musiała więc być wynikiem dotkliwych pocisków losu, srogich boleści rozczarowania, nie zaś wrodzonej dzikości

charakteru, gdyż, obcując ze mną, nieraz się jemu zdarzało wyrzec krotofilne słowo, uśmiechem poufnym rozweselić usta, i przedmiot surowy na swobodniejszy zamienić.

Urządzenie wewnętrzne domku Lipowczyńskiego, odpowiadało, ma się rozumieć, jego moralnej naturze. Widne tam były za-
bytki jego rodowej zamożności; cechy kultury i gustu, godła wymowne tkliwego i wzniosłego serca.

Salonik, wysłany perskim kobiercem, zalecał się harmonią rozmiarów, oraz jakiémś uroczém tłem dziennego światła, które, wnikając przez szyby błękitnawej farby, zlewało blask słońca z lazurem szklanych przezroczy, i płynęło półcieniem łagodnym pośród ścian jednakięj z niém barwy, usposabiając umysł do marzenia.

Po rogach stały cytrynowe drzewa; a woń ich balsamiczna jednoczyła się cudnie z oddechem róży, pielęgnowanej *con amore* w pięknym wazonie z sewrskiej porcelany, na którym złocił się grecki napis z Anakreonta :

„Róża jest najpiękniejszym z kwiatów“.

Znajdując treść tego nadpisu niedostateczną, Lipowczyński zawiesił na wazonie za pomocą różowej tasiemki welinową karteczkę, na której wykaligrafował ten smutny dwuwiersz poety:

*Ut mane rosa viget, tamen mox vespere, languet;
Sic modo qui fuimus, cras levis umbra sumus!*

I ten drugi czterowiersz Malerba, z odmianą pierwszego wyrazu :

*Oh! Elle était du monde, où les plus belles choses
Ont le pire destin!
Et Rose, elle a vecu, ce que vivent les roses,
L'espèce d'un matin!...*

O! jakże smutne strofy dla kwiatu miłości, dla kwiatu Aurory, Gracyj i tajemniczych rozkoszyserca!—Po co ten kir żałobnej myśli, obok rumieńca weselnj rośliny? — Po co rozpacz, obok uśmiechu? — śmierć, obok życia? — Zkąd pochodziło, że Lipowczyński, skoro w tę stronę spozierał, wnet się zachmurzał, i rozpoczętą rozmowę ucinał, jakby śmiertelnie ugodzony w serce?... Dla czego zamienił pierwszy wyraz francuzkiego tekstu na inny. stosujący się widocznie do osoby, którą znał, może kochał, a która, kolejną znikomj róży, zwiędła i zgasła przedwcześnie?...

Na ścianach saloniku wisało kilka malowideł olejnych, religijnego znaczenia; mianowicie: przedziwne kopie Narodzenia Pańskiego, Jordaensa; Biczowania, Tycyana; Świętj Rodziny, Andrzeja del Sarto; Męczeństwa Św. Kassylidy, Diega de Leywa. Była tam i Madonna, Sebastyana del Piombo, w olejnej kopii, ale tak dziwnie pięknej, że gdybym nie wiedział, że się oryginał znajduje w Burgos, sądziłbym, że go Lipowiec posiada. Bogarodzica siedzi w powiewnej draperyi, i okrywa przezroczną zasłoną nagość boskiego dziecięcia, stojącego przy niej. Dwaj aniołowie, zawieszeni w błękitach eteru, patrzą w zachwyceniu. W głębi widać krajobraz surowej natury, skały, pola i odłamy murów. W licach Madonny jaśnieje majestat świętości, obok spokojnego uczucia wszechwładnej potęgi. A w tém wszystkim, jaka czystość stylu! jaka prostota kolorytu! jaki ton pewny w półcieniach, bez kuglarstwa, kontrastów i manieryzmu!

Środek saloniku zajmował fortepian Erarda. Na pulpicie leżało *Stabat Mater* Pergoleza. Gierydon gotyckiej formy dźwigał stopy nót, po większej części choralnych. Skrzypce Sztajnera, współ ze smyczkiem Turta, wisały na ścianie. Wiolonczela Amatego stała w kącie. Słowem, wszystko w tém miejscu tchnęło uroczystością; objawiało cierpiącego ducha, który szukał schronienia przed światem na łonie harmonii, dumania i modlitwy.

Przyległy pokoik inną miał zupełnie cechę, bo cechę światową, chociaż nie mniej artystyczną. Była to świątynia wspomnień

młodości; przeszłość wcielona w przedmioty. Tu się objawiał Lipowczyński, nie jakim był obecnie, lecz jakim niegdyś był.

Mnóstwo cacek z malakitu, bronzu, alabastru, lapis-lazuli i kryształu, urozmaicało etażerki z orzechowego drzewa, po mistrzowsku wykonane przez Kamińskiego z Ochrymowy; a do każdego cacka przywiązana pamiątka druzby, koleżeństwa lub miłości; w każdym cacku żyła myśl jakaś przychylna, lub tkliwsze uczucie. Półcyrkulowy stół, dużego rozmiaru, przyparty stroną wypukłą do ściany, pomiędzy dwoma oknami, spełniał *officium* galerii portretów.

Trudno wypowiedzieć, ile na nim stało akwarelli, fotografii, daguerrotypów, miniatur godnych Izabejal. Nie było manieri artystycznej, którąby tam kobieta nie była wyobrażoną. Obok uroczej jak Esmeralda egganki, gorzały błyski andaluzkich oczu. Tkliwa dziewica Germanii, istna Gretchen Goethego, tuliła drobną rączkę na sercu, które snąć biło gwałtownie. Dalej widziałęś profil natchnionej Korynny; uśmiech lubieżny Kleopatry; naiwność Roxolany; ogień Judyty; powab rozkoszny Saby; a każda z tych postaci, tak odrębnej natury, była kwiatem, urwanym z miłosego wienca, którym przed laty zdobiła się skroń młodzińcza Lipowczyńskiego.

Lecz najpierwsze pomiędzy wizerunkami trzymał miejsce portret dziewczyny niewypowiedzianego wdzięku. Owal tej nieziemskiej twarzy, przezroczonej białości, był tak czystego konturu, takię prostoty linii i tonu, że nie mógł do syta nadziwić się jemu. Czyliż ten cud kunsztu był rzeczywiście kiedykolwiek wcielonym w naturę? Mogłoz coś równie czarującego istnieć na ziemi? Nie było rumieńca na tych licach, godnych Rafaela; nie było uśmiechu na ustach ubarwionych lekkim różanym odcieniem. I w oku, czarném jak wieczność, łagodny smutek panował. Było to coś nakształt poetycznej Melancholii, bolejącej Psyche, powiewnej Peri, utworzonej z promieni, marzeń i miłości; słowem było to coś idealnego, nieziemskiego, boskiego!...

Stałem jak wryty...

Stanco già di mirar, non sazio ancora!

— Kto ona?... Gdzie ona?... — pytałem.

Lipowczyński wzdychał i nie odpowiadał. Potém szedł do fortepianu i śpiewał:

W spletaném pasmie mojego żywota
Była wmięszana jedna nitka złota,
I była świetna, jasna, promienista
Jak uśmiech luba, jak łza dziecka czysta.
Miłość ją wplotła. Dziś ta nie zerwana!
Lecz, choć przyszłości nadzieja stargana,
Nie żal przeszłości — nie żal i cierpienia,
Bo szczęścia tego zostały wspomnienia!...
O! tego szczęścia mowa nie wypowieć!
Czyż ten wiek-chwila da się zamknąć w słowie?...
Chwila to była, błysk, promyk, a przecie
Wspomnienia tego czas nigdy nie zmiecie.
Szczęście méj duszy, jak modlitwa było,
I jak modlitwa, łą się zakończyło!

I głos, i słowa, płynęły z serca. W głosie i słowach brzmiały rzewne echa, głębokie porywy, i łzy, i jęki, i westchnienia stłumione.

Była to muzyka serca osieroconego, a które pamiętało dawne doby szczęścia, zgasłe dnie miłości i nadziei, zachwyty i wiary O! biedny! On kochał! kochał!... i cóż mu z tyła miłości zostało? co?... oprócz tęsknoty i żalu i rozczarowania?... Gdzie ta, dla której pałał, którą ubóstwiał, po której dziś płacze nieszczęśliwy! Może ją mogiła zawarła? O! nie! — śmierć nie rozdziela duchów; nie osiéraca serc, spojonych wiarą wzajemną. I z łona

wieczności, duch wierny kochanki spłynie ku swój połowie na ziemię, zbiegnie w padoły doczesności, by się z ukochanym duchem połączyć na chwilę, by z nim pomarzyć, popłakać! kto stracił kochankę w mogile, ujrzy ją kiedyś na niebie, by wiecznie razem z nią pozostać. Ale zdrada! zdrada! to głąb' niezmierna! morze bezdenne! piekło nieprzebyte! Taką otchłanią rozłączone serca cóż złączyć napowrót potrafi? — Co zdoła położyć kres sieroctwu? nektarem piołun osłodzić?

Ta boleść tłumiona Lipowczyńskiego, nie byłaż skutkiem zdrady? A ta co go zdradziła, czy to nie ta sama dziewica, której wizerunek zdumiał mnie i zachwycił?... O! nie! nie! w tych rysach żyje dusza szlachetna! Na tém nieskalaném czole mogłaż kiedykolwiek spocząć myśl zdrady plugawa? Nie takimi usty mówi krzywoprzysięstwo! Nie taki anioł upada!...

Badanie téj psychologicznej zagadki pogrążyło mnie tak dalece w zadumie, że, gdyby mnie Lipowczyński nie zbudził, Bóg wie, ileby ten letarg zamyślenia chwil i godzin pochłonął.

— Jak się panu podoba elegia, którą śpiewałem? — pyta mnie Lipowczyński z gorzkim uśmiechem.

— Smutna i rzewna — odpowiedziałem.

— Smutna i rzewna — mówił jakby do siebie — tak, smutna i rzewna.

Po chwili milczenia dodał:

— Muzykę ja ułożyłem — słowa... Jój!

I wskazał ręką na portret.

— Jako... jój? — zapytałem wzruszony.

— Osoba, którą ten portret wyobraża — mówił z gorączkowym zapałem Lipowczyński — była piękną, jak widzisz, i miała rozum piękny. W chwili tęsknoty, a może wesela (bo któż kobietę odgadnie?) nakreśliła wiersz, który mi się dostał przypadkiem. Ułożyłem go na muzykę i śpiewam codziennie, jako hymn pamiętki.

— Kto ona?... Gdzie ona?... — spytałem.

Lipowczyński stał nieruchomy; oka nie zwodził z portretu, i zdawało się że pytania mojego nie słyszał. Po twarzy jego, ożywionej rozrzewniającym wyrazem rezygnacji, spływała cicha kropla łzy gorącej; a piersią poruszało ciężkie westchnienie, jakby nią boleść dotkliwa miotła.

I jam nie był spokojnym; i we mnie uczucia tłoczyły się gwałtownie, bo przede mną drgało miłością katuszą, pozbawione wszelkiej nadziei, serce człowieka; bo przy mnie spełniał się dramat rozczarowania, sieroctwa i żalu; i tém boleśniejszy, że bez ratunku i ulgi.

Ulegając mimowolnie głosowi wrażeń wewnętrznych, zapytałem niebacznie Lipowczyńskiego.

— Czy jeszcze żyje... Ona?

— Umarła! — przemówił Lipowczyński, i zadrżał, jakby ugodzony w serce.

— Umarła?... — zawołałem z boleścią.

— Dla mnie umarła!... — jęknął nieszczęsny; i wybiegł z pokoju i drzwi za sobą zatrzaskał, jedno, drugie, trzecie, jakby się chciał ratować ucieczką od napastującej go rozpacz.

Rozdział II.

Tryb życia Lipowczyńskiego. — Okolice Lipowca. — Konne błędzenie. — Wieś Bohdanówka. — Las Luliniecki. — Polana. — Pofne wyznania. — Pieśń ukraińska. — Słówko o Idylli. — Lud ukraiński. — Astronom.

Lipowczyński nie był jeszcze starym człowiekiem, ale już i młodym nie był. Życie twarde i czynne, nadało taki hart organizmowi jego, że trud żaden nie był dlań straszny. Po-

wozu nie znał i jeździł zawsze konno, czy to blisko, czy daleko, a jeździł nie po łacinie lecz po sarmacku, to jest dobrze i śmiało. Cały dzień na siodle, to nic dla niego; dziesięć dni, to prawie nic. Ruch swobodny był jego żywiołem, potrzebą. Gdy cwałem pędził i pogoń wiatru prześcigał, zdawało się jemu, że troski z tyłu zostawi, że myśli rozwieje w obszarach; a troski jego były ciężkie, a myśli jego były bolesne! Nieraz mi się zdarzało widzieć w dali przelotną postać jakąś, — mignęła i znikła. To on uganiał się po stepie — dokąd?... Gdzie oczy poniosą! — Po co?... Alboż on sam wiedział?

Okolice Lipowca przedstawiają wiele urozmaiconą naturę i nader malowniczą. Tu wieś Kamionka, sąsiadka tego wsławnego grodu, zagląda w toń Sobu, bawiąc się odbitym obrazem chat białych i panującej nad nimi cerkiewki. Tam znowu wre po głazach Cichości, gwarzy w cieniu wierzb, topoli i krzewów, samotny strumień Pohanki. W dali bieleją chaty Hordijówki z pomiędzy drzew zielonych; i dąb, *sacra Jovi quercus*, rozrucił się po stepie gęstemi szeregi bratnich pokoleń, gdyby wojskiem olbrzymów, śpieszącem na szturm Strutyńki, Troszczy lub Lipowca, albowiem dążą tamtędy. Z drugiej strony równa różnaitość obrazów i urok jednaki. Ocean łąnów płynie falą pszenicy, jęczmienia, owsa i żyta, rozdzielonych szmaragdowemi zarysami miedz kwiecistych; a na tym oceanie, pełnym barw i odcieni, stoją, nakształt ostrowców archipelagu, lasy Kiczmana i Krągłaka; srebrzą się powiewne brzozy Joannówki; czernieją dęby i klony Helenowa. W prawo ruda pobiegła ku stawom ludnej Napadówki, rozesłanej malowniczo po białych załamach marglowego pokładu. Z lewej strony inna postać łądu, inny bieg linii poziomym. Step zapada w doliny, wybiega na wzgórze, roztacza przed okiem cudną różnorodność rysunku i barwy. W sinem tle eteru kąpią się lasy Oczeretny, strojnej koroną sadów wieśniaczych. Cienista Paryjówka kryje się w głębi jaru, ozdobna zielonym wytryskiem topoli. Strelniki gwarzą swoje

uroczyste ballady pamiątek, strzegąc hajdamackich jaskiń i skar-bów zaklętych, o których lud baję miejscowy; a dalej Lulińce, eicha Tebaida Ukrainy, opasały się murem lasów od reszty świata, samotne, uroczyste, święte!

Taką to przestrzeń obrazów napełniał on marzeniem swoim i lotem. Nie było dnia, żeby się postać jego nie odbiła w jakiej toni; żeby jaka drożyna nie zatętniła biegiem jego latawca; żeby cień myśli jego nie zlał się z cieniem jakiego lasu, jakiej odludnej kniei. Wszędzie go było pełno. Jak duch tajemniczy, jak wiatr pustyni, unosił się on zawsze w powiewach, w eteru kąpał przezrocach i gonił za czéms i od czegoś uciekał. Biedny!

I jam bywał czasami towarzyszem jego poetycznych wy-cieczek.

Pewnego dnia — było to w najpiękniejszej porze lata — do-siedliśmy koni i puściliśmy się ku Lulińcom.

Cudowna była pogoda. Niebo jaśniało spokojnym lazurem. Lekkie puchy chmurek perłowych unosiły się swobodnie w po-wietrzu; a ruch eteru był tak dalece cichy, że się zaledwie liście ruszały na drzewach, że się kwiat polny zaledwie na łodydze ko-łysał. Roje pszczół wespół z otyłymi trzmielami, brzęczały po łą-kach. Roje ptasząt śpiewały w gajach; i woń jakaś uroczą, bal-samiczną oddech natury, płynęła w przestrzeni rozkosznie.

Spólny zachwyt wywołał wspólne milczenie.

Usta oniemiały pod wpływem wrażeń, a w duszy tlał ogień święty dla Tego, co tylą cudami otoczył zmysły człowieka, tyle dał mu środków być dobrym i szczęśliwym! Czemuż z tych do-brodziejstw korzystać nie umiał? Po co się wyrzekł natury i oko od niej odwrócił? Niebaczny! Zanadto swoim siłom zaufał i ba-jeczny Ikar, trafne wcielenie starożytniej alegoryi, pozostanie wiecznym symbolem ukaraniej zarozumiałości.

Takimi były myśli moje, kiedyśmy do Bohdanówki wjechali. Wieś ta leżała na linii zetknięcia nagięj płaszczyzny łąnów i sja-nożęci, z cienistą oazą lulinieckiego lasu. Właścicielką Bohda-

nówki była naówczas stara rotmistrzowa Wróblewska, dziwaczna córka książęcego rodu Światopełków Czetwertyńskich, dziewczka Rososza, Oczytkowa, Alexandrówki (odprzedanej wkrótce panu Gruszczyńskiemu), i ogromnego kufra z pieniędzmi, na którym zwykła sypiać, z obawy, żeby się do jego wnętrza nie dobrano. Cała okolica brzmiała komicznemi szczegółami jęj dziwactwa, a śmiech ogólnego sarkazmu rozprzestrzenił coraz dalej sławę jęj umysłowej zgrzybiałości, oryginalnego bytu i skapstwa.

Z okazji niedzieli, w karczynie bohdanowskiej było i pełno i szumno, jak w ulu. Przed karczmą, siedziało na przyzbie grono patryarchów sioła, w świtach świątecznych i w czapkach kozackich baranich. Lampeczka biegła z rąk do rąk, roznosząc chwilowy uśmiech chwilowego wesela; a młodź pod dobrą datą, uwiijała się z mołodycami i dziewczkami, pod rytm wiejskich rzępicieci, ciętych porządnie, co naturalnie dodawało ich kozaczkom, szumkom, i sabadaszkom nie mało ognia i życia. Przyjemnie mi było i tęskno razem widzieć ten korowod taneczny, słyszeć okrzyki hulaszczce parobków motornych, splełtane z ochoczem chichotaniem kobiecego wesela. Biedny! W święto wesoły tylko... czemuż nie zawsze? Wszak nie praca zachmurza jego czoło, a czyn niesprawiedliwości, który go dotyka codziennie. W święto nie dotknie go przynajmniej nahaj ekonoma, ani obelga dziedzica. Wolno mu odetchnąć po znoju, wypogodzić lica, ducha pokrzepić zamianą słowa i lampeczki. A więc powtarzam, przyjemnie mi było i tęskno razem, widzieć lud biedny szukający w zabawie pociechy i zapomnienia. Pozdrowiwszy go uprzejmie, puściłimy się żwawo, krętą ulicą sioła, do lulinieckiego lasu.

Cudne to miejsce ten las luliniecki! Jaka tam ilość tajemniczych drożynek, zdrojów szemrzących wesoło! Jakie wspaniałe postacie drzew sędziwych, łudzące formy sklepień zielonych, bogate hafty światła na tle perłowym półcieniu! A ile tam ruchu i śpiewu, i życia, i tehnień balsamicznych, i szmerów, i gwarów,

i łoskotów! Tu widzisz grootę z liścia, schronienie jakiegś niewidomj Nimfy: przez jęj ruchome sklepienia spływają stalaktyty światła. Ówdzie nęcą ciebie szmaragdowe barwy nrurawy, kraśniejącj koralowj jagodj poziomki. Tam znowu tymianek czołga się w ukryciu; srebrzją się bżów wonne bisiorj; skabjozy błękit jaśnieje; i białe puchy spirei chwieją się w powiewach. A nad tēm wszystkiēm panują patryarchy lasu, stuletnie jawory, graby odwieczne, sędziwe klony i lipy — i Anioł pamiętek płynie zamyślony, roniąc łżę hołodownj przeszłości.

— Witaj mi świeża oazo Ukrainy! edenie lat moich dziecinnych! — zawołał Lipowczyński, kładąc rękę na sercu. — Witajcie zielone doliny! tajemnicze zdroje! i wy drzewa znajome, coście otulały skroń moję dziecinną liści uprzejmych zasłonj! Znałyście mię niewinnym, szczęśliwym, a teraz! teraz!...

I pchnął konia na przód, jakby chcąc wybiedz z terażniejszości dotkliwěj. Mój gniadosz pōspieszył lekko za nim. Lipowczyński zwracał to w prawo to w lewo, nurzał się w gęstwinie zarośli, mijał cieniste tunele z liścia, ostrowy burzanów i kwiecia. Cień nas ogarniał do koła; tajemniczość omglała błędzenie nasze; urok samotności kałysał myśli i serca.

— W lot! — zawołał Lipowczyński.

I konie skoczyły na przód, jakby skrzydłem powiewów porwane. Aż tu się nagle dzień jasny ukazał: potok światła zalał oczy nasze; wonne zefiry Polany okrażyły nas uprzejmie.

Polana luliniecka jest-to obszerna dolina, ze trzech stron opasana lasem; z czwartj, otwarta na pola, wzgōrza i gaje, owiane lazurnj gazj oddalenia. Cōż wyrazić w stanie malowniczości tego miejsca? Tam dumać, cierpieć, modlić się najlepij. — Rysunek doliny wyobraża nawę olbrzymiej świątyni. — Mur lasu formuje ściany; a rząd ogromnych drzew, sterczących wysoko, w kształcie pilastrów i kolumn, dźwiga na sobie kopułę nieba promiennj. — I organ lasów dopełnia złudzenia; i chōry ptaków

wtórują jemu; i śpiew samotny pastuszków jednoczy się melodyjnie z ogólnym akordem Polany.

Lipowczyński przerwał mój zachwyt, mówiąc:

— Niech się koniki popasą, a my spoczniemy nieco.

I stało się wedle słów jego. — Puchy gęstej murawy otuliły znużone członki nasze; i sędziwa grusza leśna, rozpostarła baldachim cienia nad nami.

— Oto jest miejsce — mówił Lipowczyński — w którym najczęściej przebywam. To moja Tempe — to moja Arkadya! — Los ciskał mną boleśnie; rzucał w odmęty świata i wojny; dręczył umysł i kaleczył serce. — Walczyłem o ile sił stawało, i z sobą samym, i z potwarzą ludzi! a Bóg miłosierny, błogosławiąc usiłowania moim, dozwalał mi kiedy niekiedy wracać tu na chwilę, bym spoczął po znoju, i rozmyślaniem pokrzepił ducha na nowe trudy i walki... Po zgiełku światowego bytu, jakie tu błogie milczenie! — Po dzikich obrazach wojny, ile tu słodyczy i pokoju!... Tu ciebie kwiat nie zdradzi, drzewo nie oczerni, ptaszek nie uwiedzie podstępnie. Tu cię Bóg zewsząd otacza, przytomny w cudach wszechmocności swojej, nie skażonych ani bezbożnością, ani występkiem!... Widziałem Brenty cudne doliny; archipelag uroczy ostrowów Wenecyi; rozkoszne oazy skalistej Mingrelii; Gruzji i Persyi szczytne krajobrazy; i toń Bosforu, owianą róż balsamem, przy blasku gwiazdzistego nieba; a więc, widziałem to wszystko prawie, co ma świat najpiękniejszego — przecież, nigdzie tak nie dumał swobodnie, jak tu; nigdzie tyle nie czerpał pociechy i nie doznawał wewnętrznego pokoju. Chcesz-li pan wiedzieć dla czego?... Bo to moja rodzinna, ojczyzna dolina! bom tu w gronie domowych wspomnień; pod opieką mojej własnej przeszłości; na scenie dni moich ubiegłych!... Bo ta cicha, uprzejma, swojska dolina była powiernicą wyznań poufnych mojej duszy; jęj wiary, nadziei, miłości i smutku! — Wszystko, co mię tu otacza, zna mię i kocha. Wszystko co mię tu otacza, słuchało pieśni moich młodzieńczych; podzielało tę-

sknotę; widziało samotną łzę moję, i spólczuciem pociesza mię obecnie, i woła uprzejmie do siebie!..

— Wiem — mówił dalej Lipowczyński — że to wałęsanie się moje po lasach, i tryb życia ustronny, stały się powodem do sarkazmu, niechęci. — To dziwak! mówią jedni. — To próżniak! wołają drudzy. — Inni zaś, wierni zasadom chrześciańskiej miłości, czarniejszój dopuszczają się potwarzy, utrzymując, że mię rozwieżłość i rozpusta ciągną do samotności, gdzie wcale nie zwykłem bywać samotnym. Mniejsza o epitet dziwaka; nie krzywdzi mię bynajmniej. Czym próżniak? czy nie? wiedzą o tém umysł mój i serce. — Co do ostatniego zarzutu... wyznaję, że się w nim nieco zawiera prawdy; gdyż w samotności mojej rzeczywiście samotnym nie jestem. Trzy uroczyście postacie, opromienione światłem przestrogi, objawień i pociechy, są nieodstępniemi towarzyszkami ustronnych godzin moich... Pamiętka, Natura i Modlitwa, te są ich imiona. Pierwsza napomina mię, strofuje, i do poprawy nakłania; druga pokrzepia wymowném świadectwem opieki i miłosierdzia Boga; ostatnia zaś, mówi:

— Wierz! i miej nadzieję! a doznasz téj opieki i tego miłosierdzia!

Po chwili milczenia Lipowczyński mówił dalej:

— Ludzie zwykli potępiać niesprawiedliwość, sarkac na nią... a sami się jój dopuszczają nieustannie. Lubią rozprawiać o enotach chrześciańskich... a krzywdzą, czernią, prześladują bliźniego. Przecież, ciskając na mnie kamieniem, zapomnieli, że i sami nie bez grzechu, że i sami nie są doskonałymi. Cóż dziwnego, że od nich stronię?... Najmędrszy z filozofów starożytności, którego Cyceron nazywał boskim — *Deus ille noster Plato* — mówi: staraj się zostać podobnym Bogu, o ile to będzie w twojój mocy, — co ma znaczyć, otrząśnij się z błędów i przywary ziemskiej; obmyj istotność swoję w stoku rozmyślenia, modlitwy i ofiary; a zbliżysz się tym sposobem do stopnia doskonałości, dozwolonej człowiekowi tu na ziemi; i Bóg, doskonałość najwyższa, ognisko

wiekuiste miłości, błogosławić tobie będzie w życiu doczesném, nim ciebie do życia wiecznego powoła. Doktrynę filozofa pogańskiego, objawiającą już, w owym wieku, widoczne zaparcie się przesądów polyteizmu (bo mógł-że Platon stawić za wzór doskonałości jakiegoś tam rozwiązłego Jowisza, albo pijanego Bacha?) przyjąłem jako środek jedyny do osiągnięcia moralnego celu, jaki mi wskazały przekonanie o marności rzeczy światowych i gruntowny pogląd na ludzi. Może się wreszcie i smutek rozczarowania przyczynił do tego, że szukam ustronia, uciekam od zgiełku, unikam zarazy społecznej, bym, zostawiony samemu sobie, mógł się nad wadami mojami zastanowić, wyrzec się onych na zawsze, a na ich miejsce wprowadzić do serca prostotę, czystość, i to święte uczucie pokoju, jakiego błąd nie daje, a świat odmawia. Pomimo to, o! jakżem jeszcze słaby i ułomny! Zbawienny wpływ samotności i towarzyszącego jój rozmyślenia, słabnie i ustaje we mnie, gdy znowu do ludzi powracam. Życie duchowe, zaczerpnięte z natury, znowu się émi i tumani pomro-
ką cielesności i przywary, gdy mię społeczność ogarnie. Czuję, żem nie ten sam, co byłem wczora, co byłem przed godziną, kiedy mię samotność krzepiła przeciw doczesnym popędom, a modlitwa napawała wiarą, nadzieją i miłością. Ciężko to, ciężko, przestać być tém, czém się długo było!... Ciężko wyzwolić ducha z więzów nałogu, przesądu i namiętności, wzrosłych i zestarzałych z nami pospołu! Pomimo to, niezważając na czczość dotychczasowych usiłowań moich, dążę stale do zamierzonego celu; stąpam niezmiennie drogą poprawy; a choć upadam... powstaję; choć mię siły zawodzą... nie tracę nadziei, że mi niebo kiedyś dopomoże, że mi Bóg pobłogosławi!...

Kiedy Lipowczyński ostatnich słów domawiał, zabrzmiała gdzieś w powietrzu, w głębi polany, pieśń ukraińska: *Po pid hajom*, naiwna idylla ludowa, pełna wdzięku sercowego i prostoty. Nóta jój tęskna i tkliwa rozległa się dźwięcznie po dolinie, zbliżając się do nas stopniowo. Wkrótce ujrzeliśmy wiejską trzodę,

która pasąc się wyszła z gęstwiny na obszar Polany; a młody pastuszek, usiadłszy na pniu obalonego jawora, zaśpiewał donośnie:

*Po pid hajom, Chwesia telatki szukaje,
Telatki szukaje,
Choroszo spiwaje,
Holos po dołyni aż sia rozlahaje.*

— *Szo ty Chwesiu robysz? szo po noczy chodysz?*
— *Telatki szukaju,
Szom sia obhubyta,
Czerwonoju nytoczkoju naznaczena byta.*

— *Ja tobi pomożu telatki szukaty,
A ty mini budesz choroszo spiwaty.*

— *Dobre myty, dobre! ja na te prystaju,
Sidaj koto mene — ja wże uczynoju.*

Sily sobi w pari — staty howoryty,

— *Jak my pobercmsia — jak my budem żyty.*

— *O jakże to hoże!*

Błogosławy Boże!

Żyjte sobi w pari!

Dopomoży Boże!

— Śliczna to piosnka! — rzekł Lipowczyński. — Słyszałem wiele innych jeszcze, które prostotą układu, i sercowem ciepłem wyrównałyby eklogom Teokryta i Bijona, a zaćmiły pasterską muzę Moschusa, Wirgilego, Kalpurnia i Nemenziana.

— Dlaczego pan zapominasz o Horacym? — zapytałem Lipowczyńskiego.

— Bo jego wcale nie lubię — rzekł mi na to. — W pismach jego, niby pasterskich, więcej erotycznych, daremnie szukałbyś natury. Przebija się tam wszędzie deklamatorstwo i manieryzm. Horacy był poetą ludzi posiadających kilkadziesiąt tysięcy doходу; filozofem ludzi szczęśliwych. Z pod jego eklogi wygląda jedwabna podszewka, a w jego miłości przemaga cielesność i rozpusta. Same jego *Exegi...* dowodzi tyle pychy, że się obok niej prostota i tkliwość wieszczą natury pomieścić nie mogą. Gdzie są u niego te *gratiae decentes* Teokryta? Gdzie naiwna uczucowość Bijona, lub Marona? Gdzie nakoniec szczerość sercowa naszych ukraińskich pasterskich pieśni? — Głęboki to lud, ten lud ukraiński; nikt go dotąd nie zgruntował do dna. Wprawdzie mnóstwo już wydobyto z jego głębi kosztownych pereł i koralu, lecz ileż to jeszcze do wydobycia skarbów pozostało? — Wydziedziczony z przeszłości swojej, smutny terazniejszością, przyszłości niepewny, lud tutejszy ukrył w sobie to święte *palladium* rodowych uczuć i poezyi, które się w pieśni jego, to jest w samorzutnem wyłonieniu wrażeń, tak malowniczo odbijają. On żyje cały w strofie i w nócie ojczystej. Tam on swobodny, jak orzeł stepowy; dzielny, jako hippogryf pustyni, ów koń wrony, na którym kozak unosi się w pieśni do fal Euxynu, aż do nizin tumanych Dunaju, aż do porohów Dnieprowych i szumnój topieli Dniestru, tęskny po swój czarnobrewój, co go wygląda ze szczytu kurhana, i płacze po nim, i wiatrom przelotnym ból osieroczonego serca powierza! W tym kalejdoskopie melodyjnych podań lud widzi siebie, jakim był dawniej — kochankiem, poetą, wojownikiem, bohaterem; a czasem i zuchwałym zawadyką, swawolnym paliwodą, nieustraszonym watażką hulaszczój drużyny (bo i to bywało), lecz zawsze postacią pełną poetycznego uroku; tém więcej, że się ona objawia dzisiejszym pokoleniom przez mgłę tajemniczą fantastyczności; że się stała wspomnieniem, tradycją, mytem. Kiedy spojrzę na chłopka naszego, i wspomnę jakich on ojców synem, smutek mię nie-

zmierny ogarnia, bo widzę znikomość rzeczy ludzkich, nie tylko w losach pojedynczych, lecz i zbiorowych. Ze źródła wypływa strumień; ten rośnie w rzekę, trwa chwilę, w końcu tonie bezpowrotnie w przepaściach oceanu. Nie jestże to obrazem przeznaczeń ogólnych tej ziemi? — Ten ocean, symbol wieczności pochłaniającej wszystko, jest ostatecznym rezultatem wszystkiego doczesnego. Wartoż dbać tak dalece o tę doczesność? ubiegać się za nią? kupować jej blaski, słodycze, kosztem czystości serca i sumienia? Największa korzyść jaką nam wiedza przynosi, zawiera się w tém, że nas przesiedla w czystsze sfery bytu, chroni od pychy, i naucza pokory. Kto wiele umie, poznał że nic umie. Im kto mędrszy, tém niżej upada przed Mądrością, władnącą ruchem wszechświata. Ztąd człowiek prawdziwie uczony bywa zwykle skromnym, pobożnym, i zupełnie obojętnym na to, co ludzi pospolitych zaślepia, łechcąc ich próżność, chciwość, lub dumę. Znałem pewnego wielkiego astronoma, który kiedy mu przysłano orderową gwiazdę, ozdobioną brylantami, rozśmiał się w duchu, i rzekł do obecnych:

— Bardzo ładna w istocie — ale cóż mi po niej?... Wszak widzę codziennie, i jaśniejsze i większe, i mniej znikome! —

— Ten sam astronom — mówił dalej Lipowczyński — dokonał tego na mnie, czegoby zapewne foliały filozoficznych deklamacyj nie zdołały dokonać. Z powodu przeważnego wpływu, jakie na mój sposób myślenia wywarło, opowiem panu to zdarzenie poszczegółowo. — Było to w 1839 roku. Jeszcze mi wtedy krew gorzała do światowych mamideł; umysł rwał się do lotu ku tęczyстым złudzeniom młodzieńczym; i żądza sławy, *laudis immensa cupido*, miotała sercem. Ilem to ja nocy przemarzył bezsennie, usiłując znaleźć punkt oporu dla dźwigni próżności mojej szalonej! A wiara w siebie tak była wielką we mnie, że mi nawet nie przychodziła do głowy jakakolwiek niemożność osiągnięcia celów zamyslanej wielkości, byłem tylko odgadł stanowczą chwilę czynu, i znalazł twórcze żywioły skutku. Alchemik

marzeń, Flamel moralnego hermetyzmu, szukałem, nie złota, lecz idei. Formuła zaś rozumowania mojego była następną.

Ja: Czy byli wielcy ludzie na ziemi?

Pamięć: Byli.

Ja: A więc i ja mógłbym zostać wielkim?

Próżność: Czemu nie!

Ja: Zkąd powstała ich wielkość?

Pamięć: Z okoliczności.

Sumienie: Warto by także coś przypisać wysokim zdolnościom umysłu i przymiotom wzniosłego serca.

Ja: Alboż nie mam rozumu i serca?

Próżność: I jaki jeszcze rozum! jakie serce!

Ja: Nie prawdaż?... Chodzi więc tylko o to, żeby się nada-
rzyła okoliczność po temu.— Ale w tém właśnie sęk! — Iskender
Macedoński był królem, i miał *eo ipso* wojsko: cóż dziwnego że
wojował? A że bił... to biłbym i ja.

Próżność: Naturalnie.

Sumienie: Iskender nie był wielkim człowiekiem.

Ja: Co?... Iskender?... bredzisz jak w malignie.

Sumienie: Nie ten wielki, co kaleczy, ale ten, co goi.

Próżność: To nadto subtelnie!

Ja: A Cezar? Pompejusz? Annibal?...

Sumienie: Gdzie są tylko widoki osobistój dumy, nie ma
prawdziwój wielkości.

Próżność: Pedantyzm przerafinowany!

Sumienie: Widzę, że się nie rozumiemy. Czy chciałbyś
zostać wielkim? czy tylko głośnym?

Ja: Jakaż w tém różnica?

Sumienie: Ogromna! — Jeżeli szlachetność, podniesioną
do najwyższej potęgi, ktoś umiał wcielić w czyn ludzkości i pra-
wdy, siłą rozumu i sercowego natchnienia, ten zdobył niezaprze-
czone prawo do wielkości. Lecz niestety! wzorów podobnych nie
wiele przedstawiają dzieje! Mało gwiazd takich przyświeca tu-

mannéj żegludze człowieczeństwa! Nie każdemu bowiem wolno wieńczyć się złotym wawrzynem sławy tak chlubnéj, tak świętėj! bo się doń prawo nabywa nie łatwo, a długą próbą czystości ducha, długiem wytrwaniem w cnocie, i ciągłym wyrzeczeniem się tego, co nie jest trudem, cierpieniem, ofiarą. Bądź takim, a będziesz wielkim. Lecz, jeśli cię tylko zapala dziecinna żądza brzmieć imieniem po świecie, i zostać pomieszczonym w spisie ludzi głośnych... to spal bazylikę S-go Piotra w Rzymie, tę arcyświątynię wzniesioną Bogu natchnieniem najwyższych duchów człowieczeństwa, a sąd dziejów postawi cię w pamięci pokoleń obok Erostrata, i zostaniesz głośnym po najpóźniejsze wieki.

Próżność moja musiała, rada nie rada, zwinąć chorągiewkę przed głosem sumienia. Poznałem że wielkość szlachetna (innéj nie chciałem), nie da się osiągnąć jednym tylko dążeniem do niéj, lecz rozwojem praktycznym wszystkich warunków moralnéj wielkości, jeśli takową Bóg w duszy człowieka umieścić. Tego mało. — Ludzie wielcy, czyliżby się takimi objawiali światu, gdyby ich zewnętrzna postać rzeczy nie postawiła w możności spełnienia wysokiego posłannictwa miłości i ofiary dla bliźnich swoich? — Oświecony w ten sposób, zaniechałem czczych marzeń sławy; zaparłem się śmiesznych żądz próżności, a poświęciłem się zupełnie nauce, o tyle, o ile mi stosunki liczne i obowiązki stanu wojskowego pozwalały.

Wkrótce nauka stała się dla mnie potrzebą, koniecznością *sine qua non*. Namiętność ta o władnęła mną tak dalece, że m się począł stopniowo wyłączać ze światowego grona, którego tak długo byłem członkiem codziennym. Jakoż zapomniano o mnie wkrótce w salonach i buduarach stołecznych: motyle socyalne przestały zwiedzać natrętnie samotne ustronie szperań moich i mozołów: słowem, oprócz kilku ludzi wielkiéj nauki, w liczbie których znajdował się i wyżéj wspomniany astronom, nikogo zgoła nie widywałem.

Pewnego dnia, kiedy, dając odpoczynek oczom, marzył sobie w klasycznym wolterowskim fotelu, wszedł niespodzianie do méj pracowni nasz kochany astronom. Według swego zwyczaju pocałował mię w głowę, mówiąc:

— Nie męcz jęj nadto; bo co nadto — szkodliwe, *ergo* niebezpieczne.

Po tych słowach spojrzął na otwartą przedemną książkę, i rozśmiał się głośno, widząc że czytał *Il Principe* Machiawela.

Zapytałem go o powód śmiechu.

— Niech on ciebie nie dziwi, mój młody przyjacielu — odpowiedział z pobłażaniem i współczuciem. — Świadek codzienny prawie twoich usiłowań nabycia wiedzy, chwałę wytrwałość twoję i siłę woli, której niezaprzeczenie dowodzisz. Ale... tak uczyć się jak ty, jest to właśnie sposób nie umieć gruntownie. Chciałbyś pochłonąć od razu cały zasób wiadomości ludzkich; zawrzęć wszystkie objawienia nauki, starożytne i nowoczesne, w ciasnym zakresie dni twoich; *ergo* być encyklopedycznym, uniwersalnym człowiekiem? — *Vae tibi!* — Próżna to żądza! a co większa, szkodliwa, niebezpieczna! W nauce, jak w pokarmach, potrzebne umiarkowanie. Żarłok zabija ciało przeładowaniem żołądka; ty zabijasz umysł wysileniem fibr mózgowych; tamten, umiera tylko; ty... zwaryujesz!... *Cave!* — Za nadto masz jeszcze ognia, zanadto. Historia, prawodawstwo, beletrystyka, filozofia, etnografia, prace techniczne, moralne, przemysłowe, były kolejno przedmiotem zajęć twoich; dzisiaj znajduję ciebie ślęczącego nad książką polityczną; jutro, weźmiesz się zapewne do geognozyi, lub astronomii. Oczywiście strata czasu! Celować we wszystkiem powierzchni, jakąż korzyść? — Jeżeli chcesz zasłużyć na imię poważne w szeregach ludzi umiejących, stąpaj specjalnie drogą stałego planu, zgodnego z powołaniem twojem. Wybierz sobie przedmiot jaki, i bądź wiernym jemu. Wszak wszyscy uczeni pierwszego rządu trzymali się nie innéj normy. Galilei, Tycho de Brahe, Kopernik,

Newton, pilnowali jedynie astronomii i nieodłącznych od niej matematyki i fizyki; a żadnemu z nich nie przychodziło do głowy, wkraczać w obce ich powołaniu zakresy nauk i badanie. *Ars longa, vita brevis!* co ma znaczyć: ucz się i nie marnuj czasu! bo dla postępu doskonalenia się w jednym tylko, jakimkolwiek przedmiocie, za mało życia człowieka, gdyby nawet tym człowiekiem był sam Matuzalem.

To rzekłszy zacny mój Mentor zapalił cygaro (z przeciwnego końca, ma się rozumieć) i począł pasować się z niem mozolnie. Co do mnie smutny byłem, albowiem czułem słuszność napomnienia, trafność niezaprzeczoną przestrogi; a co większa, czułem, rumieniąc się, że pobłądziłem li tylko przez zarozumiałość; bo gdyby nie to, uniknąłbym zapewne błędu, który ściągnął na mnie surowe słowo prawdy zacnego przyjaciela mojego. Temu ostatniemu była bez wątpienia widoczną walka, tocząca się we mnie, bo rzuciwszy o ziemię cygaro, przemówił następnie:

— Nie żałuj tego, co się stało; tobie to posłuży na lepsze. Co do czasu, jest on zapewne skarbem nieocenionym, ale także jeszcze młody, a do tego pojętny, że stracony łatwo odzyskać potrafisz. Pozwól jednak, żebym ci zrobił jedno pytanie, i to pod warunkiem, że nań odpowiesz sumiennie.

— Daję ci na to słowo — odpowiedziałem.

— Kiedy tak — mówił astronom z lekkim uśmiechem — to wyznaj, czy nauka jest dla ciebie celem, w duchu Ewangelii, czy tylko środkiem w duchu świata?...

Zmięszało mię niepospolicie takie zapytanie; nie umiałem bowiem zdać samemu sobie sprawy, jaki mię rzeczywiście naglił bodzić do pracy... czy pragnienie użyteczności, czy sławy? Miłość bliźnich, lub miłość własna?

Wahałem się więc odpowiedzieć stanowczo; wstyd i niepełność więziły słowo wyznania.

Znawca serca ludzkiego, astronom, zrozumiał co się działo we mnie; pojął chorobę próżności, ukrytą w duszy, a która na-

kształt solitera, wysysała całą jej szlachetność wrodzoną, cały popęd ku wzniosłemu i dobremu, słowem, całą jej boskość, nie zostawiając nic zgoła, oprócz fusów, mętów i zgnilizny!

— Niebezpieczniś chory! — rzekł do mnie z litością — sam jeszcze nie pojmujesz stanu swego — ale jam go odgadł. Tyś chory na sławomanią! — Szukasz w nauce, nie środków wylania się duchem, opromienionym wiedzą, na ogół bliźnich mniej światłych, albo mniej czystych od ciebie; ale jeno pokarmu dla próżności, klucza do samolubnych widoków pychy i czei światowej czerni, o której cześć mąż prawdziwie wzniosły nie stoi, i stać niepowinien. Nie myśl, mój młody przyjacielu, żeby nauka, ta arka przymierza, strzegąca najwyższych objawień ducha na korzyść duchów podrzędnych, była towarem, którym wolno bezkarnie frymarzyć na rachunek wad naszych i ułomności. Uczoność jest pewnym rodzajem kapłaństwa, jest posłannictwem wysokiem i świętem. Komu Bóg dozwolił przyozdobić siebie aureolą wiedzy, ten obowiązany rozlewać jej światło na umysłowe padoły; ogrzewać niem duchy odrętwiałe, uszlachetniać zepsute, pokrzepiać bezsilne i rozpaczające; słowem, spełniać dla dobra bliźnich swoich mandat ewangeliczny chrześcianina, z zupełnem zaparciem się nikczemnych popędów próżności i dumy; bo jeżeli z bogactwa materyalnego wynika obowiązek zaopatrywania biedniejszych, dla czegoż bogactwo umysłowe miałoby iść torem sprzecznym, i nie wspomagać uboższych pojęciem i nauką? — Lecz i to miej na względzie, że stopień najwyższy uczoności ziemskiej nie upoważnia myśleć, że się cośkolwiek umie, a tém mniej jeszcze pysznić się z tego. Wielkość ludzka, (według świata) gdy się nad nią zastanowisz dobrze, czyliż wyrówna, w najobszerniejszym rozwoju swoim, niewidzialnemu atomowi przestrzeni. Jakież mieć może znaczenie rozum ludzki w stosunku do nieskończoności czasów, czyli do wieczności?... Nie warto tedy, nie warto ubiegać się za tém, co takie nikczemne i przemijające. Lepiej mieć na względzie to, co prawdziwie oczyszcza, uszlachet-

nia, podnosi do moralnej apoteozy jestestwo człowieka, i duszy jego zapewnić może, w nagrodę zasługi doczesnej, szczęśliwość wieczną i chwałę. Chodź do mnie! tu słowa moje nie tyle zrobią na tobie wrażenia. Tu wszystko takie drobne, ograniczone, ciasne! że mię prawie nie dziwi pochlebne wyobrażenie człowieka o sobie samym. By ciebie radykalnie wyleczyć, roztoczę przed tobą ogromy; postawię ciebie tam, gdzie sfery światów olbrzymie kołują w empireum, jak pyły atomów; gdzie wieczność, zawarta w nieskończoności, płynie oceanem zjawisk i cudów; gdzie oko nie zgruntuje dna głębi, umysł nie wynajdzie krańców przestrzeni; wyobraźnia truchleje i kona w obszarach, a duch, przejęty strachem, padnie w uwielbieniu i czołem holdownie uderzy. Tam duma ludzka pryśnie, jako bańka mydlana, a wielkość ludzka roztopi się w nicości. Chodźmy więc przyjacielu! pójdiesz chorym, wrócisz uzdrowionym. Chodźmy! wieczór nastaje; noc blisko, a noc to dzień astronoma.

To rzekłszy, wziął mię za rękę i pociągnął za sobą. Faeton czekał u podjazdu, siedliśmy doń, i koła zagrzmiały po bruku.

Wkrótce stanęliśmy u celu. Ktoś grał na fortepianie „Ostatnią myśl“ Webera, śpiew cudny melodyjnej duszy, wzlatującej skrzydłem akordów ku niebu. Stałem nieruchomy u drzwi zamkniętych, i w tym edenie tonów, jasnych czystością anielską, straciłem na chwilę pamięć ziemskości nieczemnej, i lżej mi było i świeżej, jak gdyby mię cielesność opuściła, a duch, oblany lustralną falą odrodzenia, odmłodził nagle, cudownie, by dążyć wyżej i wyżej.

Gdy fortepian umilkł, astronom poprowadził mię do swojej pracowni. Był to pokój obszerny, owalnej formy i sklepiony wysoko. Pomiedzy pilastrami, dźwigającymi spady sklepienia, (*les retombées de la voute*) świeciły z pod błękitnawych szklanych kapturów ogniste wytryski wodorodu, a w środku wisiał brązowy pajak, płomienne słońce tego świata badań i nauki. Pod ścianą ciągnęły się do koła szafki nie wyższe jak do pół

wzrostu człowieka, pełne dzieł astronomicznych, oraz poświęconych fizyce i matematyce; z wierzchu zaś poustawiano na nich cały szereg sfer niebieskich, globusów i lunet Frauenhofera, wespół ze stosem Wolty, machiną elektryczną, kompasem, gwiazdą wietrzną i kolekcją ciekawą aero-termo-barometrów rozmaitego kształtu i wielkości. W środku był wielki stół prostokątny, oszańcowany z trzech stron dwupiętrowymi półeczkami. Na nich widziałem mnóstwo przedmiotów, mających prosty lub poboczny stosunek z powołaniem właściciela mieszkania, jako to: ołówki, rajsfedry, muszle z farbami, pędzliki, cyrkle, tusz i gumielastyka w kawałkach; a nad tém wszystkim chronometry średnie i małe, klepsydry godzinne i pół godzinne, oraz kilka szkieł katoptrycznych. Niżej zaś, na samym blacie stołowym, oprócz szkiców zodyakowych i papierów zaczernionych cyframi, leżały dwie wielkie tablice logarytmów Ozanama. Szereg portretów olejnych, w ramach z orzecha, przedstawiał nowym pokoleniom poważne postacie wielkich fizyków, matematyków i astronomów. Mimo wolnie skłoniłem czoło przed tym wspaniałym areopagiem wysokich dygnitarzy rozumu.

Z pokoju, o którym dałem panu jakie takie wyobrażenie, było wejście do tak zwanego obserwatorium. Sześć stopni wiodło do drzwi zawieszonych błękitną draperyą, nad którymi złocił się łaciński napis:

HINC ITUR AD ASTRA.

Kiedym poprzedzany przez astronoma wszedł za próg wzbroniony profanom, doznałem jakiegoś trwożliwego wzruszenia, i tajemnicza uroczystość jakaś wionęła na mnie z głębi tego przybytku badań, zkaąd oko człowieka i rozum, sięgały tak daleko, tak wysoko. Szklanna galerya obiegała do koła ten prezrocny belweder, którego sufit był także szklany. Zewsząd wnikał cień nocny; zewsząd widne było niebo lazurne, i tylko mdłe światelko, zakrytój błękitnym porcelanowym kapturem lampy,

oświecało wespół z gwiazdami wewnątrz tego miejsca. W środku stał na wzniesieniu potężny teleskop. Kwadranty, sextanty, oktanty, fotometry, astrolaby i duży kompas, leżały na stoliku, u stóp wielkiego chronometra, co rozmierzał wieczność na godziny, minuty, sekundy, bez opóźnienia i pośpiechu, z pedantyzmem niemieckiego profesora i wytrwałością Błędnego Żyda, tego pielgrzymy czasów i przestrzeni.

Na drugim stole, od północy, strzelała w niebo gęsta bateria pomniejszych teleskopów, rozmaitego rodzaju, jako to: newtonskie, gregoryańskie, Galileja, *Casse-grain*, powietrzne, katadyoptryczne etc. etc., uposażone swojemi aparatami i gotowe do użycia.

Kiedym się tym przedmiotom ciekawie przypatrywał, astronom otwierał tymczasem szklane podwoje galeryi i zaczepiał je na kruczki. Potém naprowadził środkowy teleskop na tę część firmamentu, którą zamierzał obserwować, i rzekł uroczyście:

— Chciałeś wiedzieć?.... będziesz wiedział! Nie ma prawdy pomiędzy ludźmi — tu ją znajdziesz! Nie ma wielkości na ziemi — ztąd ujrzysz dopiero wielkość prawdziwą, nieokreśloną, wiekuistą! — a choć ją ujrzysz, nie pojdziesz, bo ta wielkość będzie miarą wielkości Boga! — Zbliź się — i spojrz!

Zbliżyłem się do teleskopu, przy którym stał astronom natchniony; potém przyłożyłem oko do szkła, i spojrzałem.

Astronom. Co widzisz?

Ja. Widzę, czegom wyrazić nie zdolny! — widzę, jakby ocean nieskończony, bezdenny, przejrzysty!...

Astronom. Co więcj?

Ja. Słów mi nie staje — głos w piersi zastyga. — Przebóg! tych fal niebieskich jaki lazur czysty! — A głębokość jaka! Zmysły truchleją — głąb' bezdenna wciąga mię, i rwie do siebie! — *O! Altitudo!*

Astronom. Bo ta głąb', która cię pociąga, jest szczytem — a szczyt jest ojczyzną ducha. Pomny pierwotnego bytu swojego,

i twój duch radby do niej powrócić, by znowu zamieszkać na niebie, czystym, jak niegdyś, jak niegdyś promiennym! Teraz posuń teleskop na dwa gradusy w lewo — ot tak — no, cóż widzisz?

Ja. Blask olśnił oczy — dłużej patrzeć nie mogę.

Astronom. Długo żyłeś we mgle padołów, pośród kurzawy i bagna ziemskości. Cóż dziwnego, że nieoswojony z jasnością nieba, na jasność jego patrzeć nie możesz? — Niech to cię jednak nie zraża. Oswoisz się pomału z blaskiem sfer górnych, skoro w nich częściej przebywać będziesz. *Aude!* — Spojrz jeszcze! — Tą razą dłużej oko wytrzyma. Co widzisz?...

Ja. Gwiazdy nad gwiazdami, a nad niemi, i za niemi, jeszcze gwiazdy; i jeszcze, bez końca, bez liku, jako ziarn piasku w pustyni, kropel w oceanie, łez rosy na ziemi!..

Astronom. Co więcej?

Ja. A dalej, i wyżej, i jeszcze dalej, i jeszcze wyżej, gwiazdy te drobnieją coraz — najprzód, jak srebrne grady; potem, jak srebrne piaski; perłowe atomy; białawe smugi zlewające się stopniowo z tłem lazurnem nieskończoności — w końcu, giną zupełnie w eterze.

Astronom. To Mleczna Droga, *via lactea*, tak nazwana od białego koloru, którym się odznacza w empireju. Gołe oko bierze ją za plamę nieba, za skazę błękitów eteru — a tam, nieprzerwanemi szeregi, toczą się planety, wirują gwiazdy, jaśnieją słońca, krążą na osiach swoich olbrzymie światy, pyłki wszechświata! nieskończoności atomy! — Tak jest! atomy — bo każda wielkość nie jestże względną? — Jedna tylko nieskończoność jest wielkością absolutną, jak Bóg! — Każda wielkość przed którą nawet wyobraźnia ludzka truchleje, której rozum ludzki nie określi, jakież ma istotnie znaczenie w stosunku z wszechświatem, który w sobie zawiera wszystko, i jest wszystkim; który jest miarą Boga, bo sam bez miary?! — Z wysokości takiej idei, i takiego widowiska, spuść teraz źrenicę w poziomy ziemi; w tę ciasną i mglistą dziedzinę człowieka (ciasną i mglistą w sensie

moralnym, chociaż wspaniałą i piękną, co do swęj zewnętrznęj natury), jakże wyda się śmieszną tobie zarozumiałość ludzka! nিকেzmeną duma ludzka! niedołączną umiejętność ludzka!

...Jakie szydercze politowanie wywołają w tobie te niby wielkie postacie, pewne jakiegęs tam dziejowęj nieśmiertelności, jakiegęs wysokiego znaczenia i potęgi!... Kiedy ta nieśmiertelność, o jakiegę marzają, jest chwilką! Kiedy ich znaczenie w makrokosmie, jest zerem! a ich potęga nicością!... O! gdyby ludzie częścigęj wpatrywali się w niebo, a następnie porównywali znikomość swoję, z trwaniem i ogromem zjawisk krążących nad nimi; więcęjby wyrosli ku niebu duchem; istnieliby wyzęj niż dzisiaj, i niebo zbliżyłoby się do nich nawzajem, z cudowną manną życia, słodkim balsamem pociechy, świętą nagrodą miłości i błogosławieństwa.

(Po chwili milczenia.)

...Widzisz teraz, do czego służy nauka. Najczystsza moralność z nięj wypływa; a poznanie prawdy jest jęj wynikiem. Ucz się więc i ucz drugich! Oświecaj siebie gruntownie, aby swoich bliźnich oświecać; a wtedy będziesz dla mnie wielkim prawdziwie!

Rozdział III.

Wieczór na Polanie. — Pieśń o Lulińcach. — Polana przy księżycu. — Dwór luliniecki. — Światelko w oknie. — Lulińce przy księżycu. — Blęch. — Wieczera w lesie. — Dyalog poufny.

Kiedy Lipowczyński ostatnich słów domawiał, *Vesperus* za-jaśniał na niebie, i flet pasterski dał się gdzieś słyścęć w odległych zaroślach Polany.

W tój samėj chwili, rój dziewcząt wiejskich wysypał się nagle z gęstwiny, niosąc w garnkach, bliźniakach, i miskach glinianych nazbierane *sunyci* i *połonyci* *).

Potém ustawiły naczynia z bogatym plonem jagód na ziemi, a same rozbiegły się, gdyby stadko motyli, po łące, za wonną zdobyczą polnego kwiecia. A gdy już nazbierały kwiatków, siadły w kółko na murawie, i zaczęły wiązać wianeczki.

A gdy wianeczki były gotowe, powkładały sobie na główki, i nuż w płąsy, pod rytm owego tajemniczego fletu, co się gdzieś wesołą nótą naiwnej *sabadaszki* odzywał.

Tymczasem, mrok wieczorny opadał stopniowo na Polanę. Gwiazdki wbiegały, jedna po drugiej, na niebo; i lampa księżyca zawisła nad lasem.

O! jakże piękna była Polana o tój porze!

Na szczytach lasu spoczęły srebrzyste szaty; niżej łamał się mrok perłowy; z głębi gęstwiny wyglądały grube cienie, odznaczając dobitniej te części drzew i zarosli, które blask nieba promienił. Środkiem polany, świeciły jasne smugi miesięcznych ogni, pełne czaru i zjawisk, godnych zaklętych ogrodów Armidy.

I coraz spokojniej było dokoła: tylko na srebrnym kobiercu murawy, wicherzył się jeszcze korowod taneczny swawolnych dziewczątek, i piosnki, przerywane śmiechem, płoszyły senność leśnego ptactwa, uroczystość letargu Natury.

Po chwili milczenia, którego nie śmiałem przerwać, Lipo-wezyński, jakby zbudzony ze snu, zapytał mię:

— Czy pan znasz pieśń moję o Polanie i Lulińcach?

— Nie znam jēj — odpowiedziałem.

— A więc zaśpiewam ją panu. Nóta jēj tęskna, i treść niewesoła!

— Pojmę głos smutku; bo smutek nie jestże językiem powszechnym?...

*) Poziomki i polne truskawki.

Lipowczyński począł śpiewać :

Znacie Lulińce, eden Ukrainy,
Oazę stepów uroczą?
Gdzie się tak błogo pokoju godziny
Z natury wdziękiem jednoczą!

O! wy nie wiecie, w tém lubém ustroniu,
W cieniu tych lasów obwodu,
Na téj dolinie cudnej, na tém błoniu,
Ilem znał szczęścia za młodu!

Nie było miejsca, gdziebym, trzpiot wesoły,
Skacząc, nie ścigał motylka,
Nie sadił lotnie przez wzgórze i doły,
Znikomy, lekki jak chwilka.

Każdy mię ptaszek znał dobrze, i śmiały,
Szczebiocąc, zlatywał do mnie,
Tulił się, pieścił, lub swawolnik mały,
Zwijał się, skakał koło mnie.

A na dolinie, Boże! na dolinie,
Ile tam kwiatów bywało!
Ile wraz zemną, w téj cudnej krainie,
Zefirów wonnych latało!

A każdy zefir, motylek i kwiatek,
I promyk nieba cudowny,
Niosły dla duszy mojej, hojny datek,
Zachwytu datek czarowny!

Ten barwą łudził, ów balsamem poił,
Ten blaskiem złotym przyswiecał;

Wesoły, tylkom o weselu roił.
Nadzieją życie oświecał.

I świat był dla mnie edenem, — śród świata,
Jam wolny biegał szczęśliwy!...
Gdzież moje szczęście? dawne złudzeń lata?
Gdzie losu uśmiech życzliwy?

Dzisiaj niestety! w tém lubém ustroniu,
W cieniu tych lasów obwodu,
Na téj dolinie cudnej, na tém błoniu,
Smutniej, niż było za młodu!

Ani mię zefir do biegu zachęci,
Ani mię ptaszek powoła;
Nic mię nie bawi, nie łudzi, nie nęci,
Nic nie rozwieje chmur czoła...

I na dolinie, Boże! na dolinie,
Już kwiatów wonnych nie tyle!
Tymianki, fjołki gdzieś uschły w gęstwinie,
Nie te latają motyle!

I toń strumyka inaczej dziś gwarzy,
Nie tak powabnie i miło!
Gdym spojrział — własnej nie poznałem twarzy!...
Wszystko się, wszystko zmieniło!

Gdy skończył pieśń swoją Lipowczyński, powstał i rzekł do mnie:

— Jaka noc przesliczna! Ile blasku na niebie i na ziemi!
Ile świeżości i woni! Czy nie zgodziłbyś się pan przenocować
ze mną pod gołem niebem, zwyczajem koczujących plemion
Azyi, albo średniowiecznych rycerzy okrągłego stołu?

— Zgoda! — zawołałem — ale...

— Ale... co?...—zapytał z uśmiechem Lipowczyński. — Aha!... rozumiem! Boisz się pan, żeby się nie przysnili cygani, gdy pójdziesz spać bez wieczerzy?... poradzimy na to.

Rozweselony tą nadzieją — bo mi robak głodu nie na żart toczył wnętrzności — siadłem na konia i towarzyszyłem Lipowczyńskiemu.

Księżyc świecił pełnią w zenicie polany, której całe środkowe pasmo jaśniało nakształt cudownego złotogłowi, ozdobionego haftem brylantów i rubinów rosy.

Zachwyceni tym widokiem, wjechaliśmy nagle w tajemniczy pas cieniu, ścieżką zasklepioną spletem gałęzi i liścia, przez które sączyły się ogniste krople niebieskiego blasku, gdyby deszcze promieni.

Nieopisanym urokiem tchnęło wszystko dokoła...

Balsam świeżości krzepił piersi nasze. Nektary wonnych powiewów płynęły, gdyby źródł edeński w eterze. Ile tam było poezji dla wyobraźni! dla zmysłów ułudy! dla rozumu objawień i nauki! dla serca nadziei!

Błogo tam było czuć i dumać, i ulatniać się duchem natchnionym pośród tej czarodziejskiej, tajemniczój, cieniściej natury, uwieńczonej aureolą błękitów gwiazdzistych, owianej milczeniem i pokojem! Jakoż milczeliśmy obydwa, jadąc, według słów poety.

...sub obscurum, per amica silentia lunae...

Wkrótce gęstwina grabów i leszczyzny rzednieć poczęła, i większe masy światła sączyły się z góry. O! jakżeż pięknymi były te nocne obrazy, pełne fantastycznych utworów światłocienia, dziwne bogactwem tła ogólnego, różnaitością szczegółów.

Pozbawiona krzaczystych zarośli swoich łąka, dyszała swobodniej świeżym powiewem obszarów, kąpiąc się w srebrzystej

topieli niebieskiego światła. Olbrzymie słupy drzew sędziwych czerniały opodal; a czoła ich szlachetne blask uroczysty uwieńczał.

Na drugim planie obrazu, od południa, widne były zabudowania dworskie: dom luliniecki, uprzejmy przytułek niedoli i sieroctwa; magazyn z wieżyczką wystrzeloną ku niebu i bielejącą w dali, jak obelisk z parosskiego marmuru; stajnia, przyparta bokiem do cienistej kasztanowej alei, za którą drzemały liczne pokolenia drzew owocowych, krzewów kwiecistych, ziół wonnych, traw rosnących swobodnie — istne morze zieloności, z którego tryskały szmaragdowe rzuty topoli, świerków i akacyj, osłaniających baldachymem liścia skromną wiejską kapliczkę, święty przybytek pokoju i modlitwy.

Wszystkie okna domu mrok ciemny zalegał. W jednym tylko od strony ogrodu migało światelko.

— Ktoś chory! — rzekłem wskazując na oświecone okno.

— Boże uchowaj! — zawołał Lipowczyński ze wzruszeniem — żeby ta, co za oknem czuwa, miała być chorą! Byłoby to klęską dla wielu — nieszczęściem dla mnie! Wszak ona jedna wiąże mnie tylko do życia przykładem cnót nieudanych, urokiem serdecznej, a więc nie obłudnej życzliwości. Ona jedna ma dla mnie te święte słowa pociechy, iskrę ewangelicznego ogniska, którą promień Golgoty w jej sercu zapalił, by nią obdzielała cierpiących duszą, jak ja, i jak ja samotnych na świecie. Zjawisko takie, jakim jest ona, o! wierz mi pan! niesie chlubę dla rodu, z którego powstała; dla wieku co niem zajaśniał. Ta czystość myśli i uczucia, to ciągłe wyrzeczenie się samej siebie, na korzyść bliźnich, ta gorącość wiary, ta święta pokora i pobłażanie, połączone z niezwalczoną siłą ducha, czyliż nie dowodzą jasno, że ją Opatrzność wybrała z pomiędzy wielu za czynne narzędzie przenajświętszej łaski swojej i miłosierdzia, by świeciła padołom nakształt lampy zbawiennój, co pośród mroku i burzy wskazuje zabłąkanęj nawie środek

i miejsce ratunku? I o tój porze, kiedy się każdy spoczynkowi oddaje, ona jedna czuwa w modlitwie za każdego i wszystkich. Nieraz ją dzień zastaje leżącą krzyżem pobożnie przed wizerunkiem Zbawiciela, lub zajęta czytaniem jakiej księgi, pobudzającej do cnót chrześcijańskich, i do wytrwania w onych. Dziwią się ludzie jój wytrwałości: ślepi! nie wiedzą że tę wytrwałość podsyca łaska Boga, że źródłem tój siły jest boskie błogosławieństwo!

Po tych słowach, wymówionych z rozrzewnieniem, Lipowczyński westchnął głęboko i pożegnawszy ruchem ręki tajemnicze światelko, skierował konia ku dziedzińcowi domu, wzywając bym jemu towarzyszył.

Mówiąc Bogiem a prawdą, nie wiele miałem ochoty zbliżyć się, niewłaściwym sposobem i o niewłaściwej porze, do tak zacnych progów, jak lulinieckie; według mnie, było to i dziwaczne i nieprzyzwoite; ale mię uspakajała myśl, że stosunki Lipowczyńskiego z tym domem musiały być bardzo ścisłe, kiedy sobie takiej oryginalności pozwalał. Mogłem więc śmiało iść za jego przykładem.

Gdyśmy na środku dziedzińca stanęli, w sąsiedztwie stuletniej gruszy i konającego samotnie modrzewia, Lipowczyński ukazał ręką przed siebie i zawołał w zachwyceniu:

— *O! rus!*

Istotnie, było się czém zachwycać!

Na dnie jaru, ścielącego się w kształcie segmentu koła, u spodu dziedzińca szemrały, miesięcznym ozłoczone blaskiem, gęste knieje, dążące nieprzerwanem pasmem połysków i cieni, do lasu, który powiewną chlamydą liścia południowe wzgórze ogrodu osłaniał. W środku drzemała cicha toń sadzawki, gładka jak szyba zwierciadła; a gwiazdy zaglądały do niej ciekawie, i meteor, goniec przestrzeni, kąpał w jój szklanych przezroczach złocisty odbłysek swojego polotu.

Na wschód za jarem leżała wieś. Z pomiędzy gęstwiny jabłoni, czereśni, śliwek i wiśni, któremi wieńczyły się spadziste po większej części lewady sioła, wyglądały z daleka białe chaty wieśniacze, rozsypane w malowniczym nieładzie po garbach i załomach górzystego amfiteatru sadów, rozpostartego dokoła Luliniec.

Srebrną gazą, przezroczną i jasną, spadało miesięczne światło na ten cudny krajobraz, godny pędzla Ribeiry, lutni Teokryta, pieśni Marona, lub Mickiewicza, w głębi którego mgły perłowe ziemi zlewały się przejściem nieznacznym z błękitem pogodnego nieba, i oko tonęło w nich rozkosznie.

Zgrabna cerkiewka, współ z nieodstępną swoją dzwonniceką, zajmowały punkt środkowy osady. Dzwon strażniczy ozwał się potrójnem hasłem czujności, kiedyśmy koło nich jechali, i dźwięk ten opiekuńczy rozległ się uroczyście nad siołem, słabnąc, konając pomału.

Objechawszy Lulińce dokoła, całym pędem naszych koni zwróciliśmy kręto, po pod tokiem do lasu. Znowu nas okryły sklepienia gałęzi i liścia; znowu nas mrok ogarnął. Spadzistą drożynką, zaledwie widoczną w ciemności, zjechaliśmy do głębokiego jaru, gdzie na dnie wąwozu mruczał strumień tajemniczy.

Wkrótce ujrzelśmy kawał błękitu w górze, mały staweczek w dole, i grobelkę odwieczną, która dwa przeciwległe brzegi jaru jednoczyła. Za grobelką i stawkiem leżała pod zasłoną blasków miesięcznych obszerna łąka, nacentkowana krzakami leszczyny, zewsząd ograniczona lasem, i wznosząca się coraz wyżej i wyżej aż do niewielkiej płaszczyzny, na której stało kilkadziesiąt pni skarbowej pasieki, obwarowanej zagrodą chróstu, i uposażonej katrahą pasiecznika Kuźmy, którą podmuchy swawolnych synów Eola przeszywały na wylot.

Miejsce to nosiło nazwę Bléchu, z powodu że tam kiedyś skarbowe półsetki bléchowano. Lecz gdy stawek mułem zapły-

nał, a następnie i wody ubyło, tém bardziej że staruszka grobelka nie miała już siły oprzeć się ucieczce sączącej się pokryjotoni, bléch poszedł w zapomnienie, i głucha samotność zagłębia jego spokojne, malownicze ustronie.

Piękna to byłaby scena dla jakiegó pasterskiej epizody! przesliczna dekoracya sielanki! — Dla olbrzymich rozmiarów Polany, bardon heroicznego Epos nie byłby zbytęcznym; tu flet pastuszy starczyłby serca pragnieniom, i tu postanowiliśmy przenocować.

Na kurhanie, obrosłym leszczyną, klonem i grabiną, w kształcie altany sklepionej z wierzchu, stanęliśmy obozem. Konie wywodzone i rozsiodłane, poszły tarzać się po łące.

Lipowczyński gdzieś zniknął, jak kamfora, a ja poszedłem zbierać chrósty i suszniaki na ognisko. Błądziłem dość długo po lesie, a gdym powrócił do legowiska, obławowany jak dromader jaki, zastałem już mego koleżkę patrzącego w niebo.

Wkrótce stos wysoki, istna wieża Babel, buchnął splątanemi języki płomienia. Blaski księżycy rozlały się milionem połysków dokoła. A gdy wszystkie cząstkowe wytryski zespoliły się w jedną, strzelistą, huczącą piramidę ognia, którą, wpadając do rozrzedzonej ciepłikiem przestrzeni, gwałtownie targało zewnętrzne powietrze, potok jaskrawej czerwieni stoczył się z kurhana w dolinę, i rozstrzelony na tysiączne prądy i ruczaje światła, falował, gdyby gorejąca lawa po łące.

Wtém dały się słyszeć kroki stąpającego pośpiesznie człowieka, i nagle ukazał się z gęstwiny dostojny Kuźma, strażnik skarbowej pasieki na Bléchu, i mieszkaniiec owęj gościnnęj katrahy, stojącej zawsze otworem dla swawolnej drużyny Eola.

Kuźma niósł ogromną misę, okrytą łopuchem. Pod pachą miał bochen razowego chleba. Gdy się zbliżył, misę postawił na ziemi, i podniósłszy liść, spełniający *officium* pokrywy, ukazał dwa przesliczne plastry miodu, białe i płynące złotym nektarem patoki.

Wielką na ten widok uczułem radość w moim żołądku, który, jako najprozaiczniejsza w świecie istota, ani myślał podzielać zachwyty naszego nad poetycznym wdziękiem natury, a ciągle mi dokuczał natrętną skargą na głód, i uzalaniem się na moję nieczułość. Ta wiejska, patryarchalna wieczerza, której materiałami były miód, chleb i zdrojowa woda, dziwnie mi przypadła do smaku. Lipowczyński nawet, mimo swój kontemplacyjnej, duchowej natury, zdawał się podzielać cielesną uciechę, której się oddawałem *con amore*.

Wkrótce wosk tylko czysty, pozostały na dnie misy, i redukcya całego bochenka chleba na lichą nader pozostałość, świadczyły na przekor wiadomój dewizie dukata, (*concordia res parvae crescent*) że jeżeli związek usilności czyni małe rzeczy wielkimi, to związek apetytów zamienia wielkie na małe, jeżeli ich zupełnie nie niszczy. Koniec końcem, byliśmy kompletnie zaspokojeni.

Kuźma zebrał okruszyny chleba do misy, i wzbogacony dziękczynnym datkiem *karbowańca*, pomaszerował wesoło do chaty. Lipowczyński zapalił fajkę i dumał oparty o drzewo, a ja, podsycewszy nowym transportem palnego materiału dogorywające ognisko, ulokowałem się pod krzakiem leszczyny na trawie, utopiony pięciu zmysłami w rozkosznem upojeniu błogości i pokoju.

Kędy ulatywały w tej chwili dumy Lipowczyńskiego? Jakiój natury były jego obecne wrażenia? Bogu wiadomo! Co do mnie, wyznaję, żem o niczem nie myślał; żadnych innych wrażeń, oprócz wylętych z obecnej chwili, nie doświadczałem; a żądał tylko, żeby ta noc rozkoszna trwać mogła bez końca.

Milczenie nasze wzajemne przerwało zbliżenie się do mnie Lipowczyńskiego, który wytrząsł dopaloną fajkę, usiadł sposobem tureckim u ogniska i rzekł:

— Czy pan wojażowałaś kiedy?

— O! i nawet bardzo wiele! — odpowiedziałem. — Byłem w Humaniu, Skwirze, Bałcie i Berdyczewie.

Rozśmiał się głośno Lipowczyński, i powiedział:

— Jak widzę, to z pana wielki wojazer! — Cóż pan znalazł ciekawego w tych sławnych miejscach?

— Więcej niżeli pan sobie wyobrażasz — odpowiedziałem — po wsiach wiele niedoli; po miastach wiele żydów, i błota; u obywateli wiele ciemnoty i zarozumiałości.

— Nadto żółci w tej odpowiedzi — przerwał surowo Lipowczyński. — Nie na jednej tylko Ukrainie daje się napotkać niedola, czego dowodem owe straszliwe rozgałężenie się pauperyzmu w Anglii, Irlandyi, Italii, a nawet i Francyi. Zdarzało mi się nie raz widzieć i tutaj sioła szczęśliwe pod każdym względem, bo i rolę miały żyzną, i naturę piękną, i dobrych dziedziców. Względem osad włościańskich słowo niedola, nie da się użyć trafnie, w sensie absolutnym. Ucisk nie jest u nas faktem zbiorowym, lecz pojedynczym, ściśle wyjątkowym. Co do ciemnoty klas obywatelskich... zapewne w znacznej części jest ona rzeczywistą; ale i to pewna, że nie ciemnych o to obwiniać należy.

— Czemuż nie słuchają tych, co im o potrzebie światła głoszą? czemu nie idą za tymi, co im na drodze postępu przewodniczą? Wszak są u nas i ludzie wzorowi, i pisarze znakomici. Jedni i drudzy spełniają troskliwie mandat dobroczynny czuwania nad tą częścią spółbraci swoich, która ich względu i porady najwięcej potrzebuje. Trud nadaremny! Głosu ich nikt nie posłucha; przykładu nie zechce naśladować; przestrożę wyśmieję, radę odrzuci! Niewczesną pychą oslepiony, każdy trwa uporcezywie w pomroce własnej, w przekonaniu, że jak robak świętojański świeci innym, że jest gwiazdą ogólnego mroku, słońcem powszechnej północy! Co pan myślisz o tém?

— Nic innego, tylko to, com już panu powiedział. Zarozumiałość jest naturalnym wynikiem ciemnoty, cóż w tém dziwne-

go, że ciemni są zarozumiali? Dzisiejsze pokolenie takim umrze, jakim żyje. Jest-to drzewo źle pielęgnowane w młodości, nie pora więc, gdy się już postarzało, myśleć o wyprostowaniu pnia i wygładzeniu narości. Dzieło wychowania bierze swój początek u kolebki pokoleń.

— Zgoda; i to właśnie mię przenika obawą, to właśnie smuci! Bo któż stać będzie u tój kolebki młodego pokolenia, jeśli nie rodzice?... a czegoż oni nauczą, kiedy sami nieświadomi? dokąd powiodą, kiedy sami nie wiedzą, jak, dokąd, poco iść należy? *Invalidique patrum referunt jejunia nati!...*

— Obraz ten grzeszy egzageracją cieniów, gęstością mroku flamandzkiej szkoły. Nie przeczę temu, coś pan dotąd mówił; pozwól jednak, bym do tój nocy trochę światła domięszał. Pod względem oświaty, wiele zapewne pozostaje jeszcze do żądania, wielką atoli uważam różnicę pomiędzy tēm, co było przed dwudziestu laty, a tēm co jest obecnie. Nie jedno ziarno oświaty krzewi się u nas o tēj porze, aklimatyzuje, wkorzenia. A rola nasza *magna parens frugum*, pulchna i żyzna. Wyda ona plon bogaty — obaczysz!

— O! bodaj byś pan był wieszczem — zawołałem — boję się jednak!... boję się, by ta przekłeta zarozumiałość, endymicznie panująca, nie utrudniła u nas wcielenia w czyn zbiorowy idei socyalnych, humanitarnych, postępowych! O! gdyby nie pycha połączona z lenistwem, śmiało rzec można, że Polak byłby człowiekiem wzorowym, najpierwszym z ludzi. Natura dała mu szlachetność i męstwo; poetyczność serca i badawczość umu; słowem była dlań matką dobroczynną. Polakowi byłoby nie trudno wyrównać Niemcom w gruntowności, Włochom w uczuciu artyzmu, Francuzom w blasku pomysłów, Anglikom w trafności odkryć i zastosowań. Polak może uważać siebie za przedstawiciela wszystkich przymiotów ducha i umysłu, cechujących każdą narodowość wyłącznie. Cóż z tego? kiedy on za to mniej pracowity od Niemca, niedbalszy

od Włocha, nie tak przedsiębiorczy jak Francuz, mniej wytrwały od Anglika, a zarozumialszy od wszystkich! Karcono mię już nieraz za to, że mi sobie pozwalał przyganiać współbraciom moim otwarcie, czem właśnie dowodziłem wysokiego stopnia miłości i współczucia. Ci, którzy mię karcili, mówili: „Naco masz oburzać na siebie? odstęczać od siebie? nie mów im jakimi są, lecz jakimi być powinni — a poprawią się.“ Być może; ale ponieważ nie idzie mi o to, żeby siebie oszczędzić, jeno żeby im dać bodźca do poprawy, to jest do użycia logicznego kosztownych przymiotów ducha, jakimi ich obdarzyły nieba, najskuteczniejszym środkiem, według mnie, jest czysta, naga prawda, której nie wypowiadam z uprzedzeniem własnej doskonałości, (bom, niestety gorszy od wielu!) ale dlatego tylko, że kocham spółbraci swoich, kocham naród swój, a następnie radbym go widzieć takim, jakim być może, być powinien, jakim jest nawet w głębi jestestwa swego. Usiłujmy więc zetrzeć ten pył szkodliwy, co powierzchwnie sere naszych okrywa! Zamiast pochlebiać i głąskać obłudnie, trącajmy braci naszych tęgimi ciosy prawdy, ażali się nie przebudzą z apatycznego letargu, i nie otrzęsą z brudu, émiącego promiennoscé ich rodowej godności i cnoty.

Rozdział IV.

Żywioly nienawiści ku Lipowczyńskiemu. — Rasy rodowe. — Demokrazym. —
Teorya parweniuszowstwa.

Z powyższego szkicu łatwo nabyć dostatecznego wyobrażenia o Lipowczyńskim. Jako człowiek obszerniejszych pojęć, nie

miał on łaski u głupich. Samoluby nie lubili go za to, że ich zawstydział i słowem i czynem poświęcenia. Ogół, to jest mięszanina głupich i samolubów, powstawał nań za jego śmiałą niechęć ku niemu, za nieustraszoną, z jaką Lipowczyński wyzywał na bój śmiertelny wszystkie żywioły ogólnych wad, przesądów i namiętności, gotowy raczej paść ofiarą pioruna nienawiści, niżeli się przed nią ukorzyć.

Lecz były i na Ukrainie duchy przychylnie Lipowczyńskiemu, który w obcowaniu z niemi krzepił własnego ducha i byt jego gorzki osładzał. Gdy otoczony wybranem gronem zapominał tęsknoty swojej i ciosów niesprawiedliwości, promień jakiś dobroczynny rozpędzał mgłę żrenicy i chmurę czoła burzliwą, i gwiazda wesela wschodziła na widnokrąg myśli jego i serca.

Zbieg z wielkiego świata, którego cześć poznał, i doświadczył niesprawiedliwości, Lipowczyński nie lubił licznych zgromadzeń, balów unikał, stronił od wrzawy, huku i natłoku. Milszą jemu była samotność, przyjemnijszem obcowanie z własnem sercem, własną myślą i pamięcią wobec natury i Boga. Wtedy, zastąpiwszy sam w siebie, wpatrywał się w duszę swoją, badał ją, rozbierał, usiłując wzmocnić jej popędy ku dobremu, wykorzenić jej błędy i przywary. Albo zagłębiał się w otchłani nauki, przechodził krainę dziejów, gdzie obcował z wielkimi przedstawicielami cnoty, rozumu, heroizmu, lub natchnienia.

Plekroć jednak powracał z téj umysłowej pielgrzymki, doznawał coraz większego smutku i rozczarowania. Każdą razą pytał sam siebie :

— I cóż ztąd?... Wszak mądrość ziemską: błąd! Cnota ziemską... pozór! Sława ziemską... dźwięk chwilowy! Opinia świata... kłamstwo!... Nigdzie prawdy! Nigdzie!... Mądrość prawdziwą, w sensie względnym, znaleźć tylko można w człowieku prostym, którego umysłu nie zwicznęła tak nazwana cywilizacya, nie zaćmiły książki, nie dotknęła społeczna zaraza; — który, obcując ciągle z naturą, wyczytuje w niej

święte objawienia prawd wiekuistych, zapisane głoskami cudów Boga, Jego mądrości i miłosierdzia. Człowiek, któremu obcą natura, nie zna prawdy, a następnie i cnoty; — bo ta ostatnia nie wypływa z instytucyj ludzkich, ale z prawd boskich; nie z błędu, lecz z nieomyślności.

...Gdyby możebna było przeniknąć badaniem aż do najskrytszych pobudek, co kierowały działalnością wielkich dziejowych postaci, którym łatwowierna potomność hołdowne pali ofiary, ileżbyśmy tam odkryli kuglarstwa, samolubstwa i pychy! Co do sławy ziemskiej i opinii świata, tak pierwsza, jako i druga, nie warte pożądlivosti naszej i zabiegów; bo sława nie jest niczem innym, jak prostym wynikiem opinii, a ta ostatnia, czyliż najczęścięj nie ma błędu za podstawę?

...Dzieje pisano dwojakiem piórem: nienawiści, lub pochlebstwa. Kto wie, czy Neron nie był wyższym od Trajana? lub Marek Aureli gorszym od Tyberyusza? Zkąd pewność, że nożem Brutusa kierowała nie zemsta osobista, nie żądza dziejowej apoteozy, a miłość swobód ojczyzny? Sławne *Quousque tandem* Cycerona nie dowodzi bynajmniej, żeby Katyliną był wrogiem kraju swego, a następnie człowiekiem niktzemnym. I człowiek prywatny, w sferze swojej, iluż to nie ulega bezzasadnym opiniom! jak fałszywemi rysy kreślą krewni, przyjaciele, rodacy, jego obraz moralny! Jak błędnie ceniują i koloryją, zwłaszcza krewni, przyjaciele, rodacy!

Lipowczyński doznał téj prawdy na sobie, doświadczył na drugich; ztąd nabył téj pogardy dla opinii świata, której słowem i czynem dowodził. Potwarz odstręczyła go od ludzi, skłoniła żeby odosobnił się od nich i zamknął dni swoje w ciasnym kręgu nielicznych stosunków, w cichéj Arkadyi samotności.

Tam on był szczęśliwszym, niżeli na świecie; szczęśliwszym dla tego, że pomiędzy nim a dumaniem jego, nie było ani gwaru ludzkiego, ani ludzkiej złości; — że nic nie przeszkadza-

dzało umysłowi jego dążyć ku Bogu, sercu jego korzyć się przed Bogiem, całemu jestestwu jego opromieniać się światłem Wiary, Nadziei i Miłości!

W poufnych rozmowach ze mną, Lipowczyński nie szukał wcale ani deklamatorstwa, ani dyssymulacyi. Przyznawał się szczerze do wad swoich, i wykazywał sumiennie cień każdy moralnej swojej natury. I tak naprzykład, nie taił się z tém, że starożytność rodu cenił wysoko, i w demokratyzm nie wierzył.

— Jeżeli dopuszczamy — mówił Lipowczyński — rassy pomiędzy zwierzętami, czemuż ta sama klasyfikacya krwi nie ma istnieć pomiędzy ludźmi? Chabeta od brony, i bachmat Arabistanu, spółzawodnik wichru, są członkami jednego zbiorowego rodu koni, a przecież jak ich wielka różnica szykowności ciała, zapału i pojęcia, rozdziela. Tak i w ludziach: im się więcej rozwinęło w rodzie jakim, skutkiem kombinacyi zdarzeń i napływu czasów, wzorów szlachetności i podań honoru, tém wyżej sięga ród takowy nad pospolite, i rzadko bywa, żeby się kiedykolwiek poniżył moralnie, zaparł wrodzonych pociągów swoich ku temu, co piękne, szlachetne, wielkie. Co się tycze demokratyzmu, jest-to czyste *absurdum* w praktycznym sensie; albowiem nie było i nie ma kraju, gdzieby lud stanowił sam przez się ideę żywotną rządu, i tę ideę w czynie uskuteczniał. Za kulisą demokratyzmu, kryła się zawsze jakaś zatajona postać, kierująca zręcznie namiętnościami tłumu, przewodnicząca jemu niewidomie. Według jęj natchnienia lud milezał lub gwałtował, wznosił lub obalał, wiódł tryumfalnie na Kapitol lub strącał z Tarpejskiej skały, rósł aż do heroizmu, lub upadał aż do podłości, szaleństwa i bestyalstwa! A kiedy wyobrażał sobie, że sam rządził, nie wiedział, że był tylko ślepem narzędziem obcej woli, dumy i poządlivosti.

...Tak było i tak będzie.

...Demokratyzm jest zatem niczém inném, jak tylko czezym terminem, używanym pospolicie dla pokrycia dążeń osobistych,

rzadko łącznych z dobrem tego ludu, którego się dewizą zaleca. Pod firmą demokracji stąpa zwykle zazdrość przeciw socyalnej aureoli arystokratycznych imion, i niechęć ku nim: — zład prześladowanie szlachty i zniesienie szlachectwa we Francyi podczas pierwszej rewolucyi, a także i projekt bezsensowny zrównoważenia fortun. Nie mogąc podnieść się do szlachty, gmin chciał zniżyć szlachtę do siebie; a goły, pozazdrościwszy bogatym, zapragnął ich dóbr dla siebie. I ten, i drugi, gwałtowali w imieniu cnót obywatelskich, praw człowieka, szczęścia ojczyzny etc. etc. etc., a obadwa śmieli się w duchu z tych pięknych rzeczy, użytych przez nich tylko dla pokrycia samolubstwa i pychy.

Co do kwestyi ras ludzkich — mówił dalej Lipowczyński — dodać wypada, że, na wzór wszystkich ogólników, i ona także ulega wyjątkom. Pomiędzy ludźmi klas niższych hierarchicznie, zwłaszcza rolniczych, znałem ja ludzi wielkiej szlachetności i zadziwiającego pojęcia. To się tłómaczy tém, że jeżeli tylko rody ludowe szły ciągle torem przeznaczeń swoich, nie wychodziły ze swojej sfery i żyły tradycjami pracy uczciwej, połączonej z bogobojnością; czas i wytrwanie uszlachetniły je do tyła, że pomimo niepolerowności swojej, wyrównały zacnością i rozumem najsłynniejszym imionom arystokratycznego świata, — źle mówię: zacność tych wybranych rodów plebejskich, nieraz okazała się czystsza od pańskiej, bo tę ostatnią często psuła cudzoziemszczyzna, plamiły wyuzdane popędy dumy, lekceważenie religijne i zgubne szaleństwa, nieznających przeszkody, ni granic. Lud ma także swoją arystokrację, nie rozkoszy lecz trudu, nie wawrzynu lecz cierni, nie poloru, lecz zdrowego sensu, nie patentu, lecz cnoty. Przed uczciwym chłopkiem gotów jestem uchylić czapki; przed panem, rzadko, bo mi równy; przed parweniuszem nigdy, bo nim pogardzam.

— Zkąd pochodzi — spytałem Lipowczyńskiego — że po-

gardzasz nim, kiedy najstarsze rody mieć musiały jakiegoś parweniusza na czele?

Lipowczyński na to :

— Człowiek, który zdołał uświetnić ród swój jakimś niepospolitym czynem męstwa, poświęcenia, lub talentu, chociażby się urodził w siermiedze, nie jest parweniuszem. Był on już wielkim, nim się takim ukazał światu; należał do grona ludzi sławnych, nim stanął pomiędzy nimi; miał prawo do świetności, nim się nią raczył przyozdobić. Nie czyn sam przez się stanowi cenę człowieka, lecz zdolność skuteczniej go. Strut Winkelried, bohater Szwajcaryi, Wiliam Wallas wybawca Szkocyi; nieśmiertelny Waszyngton, cnotliwy Franklin, przed epoką swęj sławy, przed chwilą czynu, byli już wiele duchem, szczytni naturą jestestwa swojego. Czyn nie uzacnił ich, nie uszlachetnił, a tylko odkrył, objawił, postawił w należytem świetle. Były to słońca za chmurą, niewidzialne, choć pełne blasku. Wiatr zdarzeń rozwiął chmury; słońca błysnęły i ludzie im hołd oddali. Czyliż tacy, jak Giotto, Vanucci, Sanzio, Robusti, Cano, Americhi, Rosa, Carraci, Zampieri, Rembrandt, w malarstwie; Mozart, Haydn, Weber, Rossini, w muzyce; Lineusz, Kopernik, Newton, Cuvier, w naukach, chociaż nader skromnego pochodzenia mogą się nazywać parweniuszami? Bóg wcielił w nich cząstkę swojego promienia, duszę ich otoczył aureolą wysokich pojęć piękna, szczytnych objawień rozumu; a imionom ich kazał świecić nad ludźmi po najpóźniejsze wieki, świecić wyżej i jaśniej od tych imion złowieszczych, co jak meteory spustoszenia, iskrzą się w dziejach czynami dumy, gwałtu, pożogi i rozgromu!

Bo nie ten wielki, co gwałci, kaleczy,

Ale ten co ból koi i co rany leczy;

I byli tacy! byli! — ludzkości ozdoba!

Pośród wieków nocy

Świecą oni, jak cicha i promienna doba,

Czynami poświęcenia, miłości, pomocy:

Lecz imiona ich święte gwar ziemski zagłuszył!

Głośniej w dziejach brzmi taki, co mordował, kruszył,

Co był Attylą dla świata,

Kaimem dla brata!

O! hańbo!...

...Alem się oddalił od mego przedmiotu. Wracam doń.

...I w sferze rolniczej, przemysłowej, każdy co pracą uczciwą, talentem, przedsięwzięciem jakimkolwiek, zacnie i pomyslnie uskuteczniom, wyniósł się z ubóstwa na zamożność i znaczenie, nie jest parweniuszem i godzien szacunku. Nie o nich tu mowa. *Ne misceantur sacra profanis*. Parweniuszem zowie się właściwie pseudo-szlachcic, albo nawet prawdziwy szlachcic, który wygramoliwszy się gdzieś na ekonomią, praktykuje *sub rosa* cne zasady komunizmu, chełpiąc się głośno z uczciwości swojej i narzekając co chwila na ciężkie czasy. On bierze zwykle 200 złotych pensyi, z których 1000 lub więcej chowa do szkatuły. On bierze także ordynaryę, której cyfrę podniesioną nieprawnie do wysokości potęgi, na własny karb z pod ręki żydkom sprzedaje. Jeżeli majątek zamożny, właściciel niedbały, a Bóg udzieli panu ekonomowi zdrowia i życia, w lat kilka lub kilkanaście poczwarka zmieni się w motyla, ekonomskie manatki pójdą w ką, a kosztowne atrybuta pańskości wyjdą na scenę. Ludzie będą kręcić głową, spozierać nań ironicznie, przebąkiwać pod nosem o bajowej sukmanie, którą widzieli, o goliźnie jegomości, którą pamiętają, o niektórych jego figielkach niezgodnych z 7-ym punktem Dekalogu i jasno tłómaczących *urbi et orbi* pochodzenie parweniuszowskich dostatków; ale on kpi z tego: już się usadowił w resorowym powozie; z powozu wlaźł na urząd; z urzędu na popularność i fawor obywatelski *in gratiam* smacznej kuchni i sutęj piwnicy.

Olśniony blaskiem zaszczytów i wziętości, dmie nosa; gardzi

biedniejszą szlachtą; pnie się pomiędzy pany, którzy z niego szydzą; i w końcu usypia snem wiecznym na laurach świetnego zawodu, uczczony pompatyczną egzortą jakiegoś tam pocziwego bernacha, który, mając zapewne na względzie, że *de mortuis aut bene, aut nihil*, hojnie przerabia *bene* na *optime*, ku większej chwale ś. p. spanoszonego złodzieja.

— Żeby zostać takim parweniusem — mówił dalej Lipowczyński — trzeba być człowiekiem niesłychanie nizkiej godności, czyli mówiąc lepiej, nie mieć jej wcale. Parweniuse tworzą udzielną kastę, ród odrębny, i przynoszą z sobą na świat wszystkie moralne warunki parweniuszowstwa.

...Znam ich wielu, a wszyscy z małą odmianą, mają pomiędzy sobą rasowe podobieństwo moralne, różniąc się dobitnie od klas niełącznych z nimi, niezwykłym rozwojem organów X. i XI, i brakiem XVI, z których pierwszy, według frenologii Galla, oznacza miłość samego siebie, drugi zamiłowanie pochwał, a trzeci sumiennosc.

CZEŚĆ DRUGA.

Rozdział I.

Wycieczka po okolicy. — Janko Smalko. — Wieś Janówka. — Pan Sar...
i pani Sar... — Słowo prawdy.

W kilka dni po tej rozmowie, Lipowczyński pytał mnie czy nie chciałbym towarzyszyć jemu w wycieczce po okolicy?

Chętniem przystał na to, i dnia następnego ruszyliśmy

konno z Lipowca do Joannówki, gdzie mieszkał blizki krewny Lipowczyńskiego, Józef Sar...

Za nami jechał w biédce, strażnik podróжных rupieci Szanszo naszego donkiszotyzmu, cny Janko Smalko, ukraiński autochton, junak samochwał, trefniś bundziuczny, a przytém anegdociста, jakich mało, nicujący prawdę na wywrot, bohater przygód wielu na ławie i pod ławą, gdzie się często wysypiał po rzęsiстых libacyach okowitą. Smalko, stary dworak, pamiętał czasy zamożności Lipowczyńskiego i, jak gdyby sam do krwi jego należał, pysznił się nie żartem z rodowej godności swojego pana.

Okoliczni dziedzice nie mieli u niego łaski. Byle byś nazwał którego, wnet twarz wykrzywił sardonicznym śmiechem, i puszczał wodze językowi. Wróg wszelkiej obmowy, Lipowczyński, gromił go nieraz za tę kronikarską gadatliwość. Dostawszy burę, Janko szedł zwykle wysapywać nieukontentowanie swoje do piekarni, gdzie zapaliwszy króciutką *nosohrejke*, tonął w gęstym obłoku bakunu, i opowiadał po setny raz zgromadzonej czeladzi dziwne przygody, jakich doświadczył na Besarabii, w Chersonie *nad Niemnem* i w Wilnie *nad Dnieprem*.

O samém południu stanęliśmy w Joannówce. Przed trzydziestu niespełna laty założona przez ś. p. Joannę z Zamojskich Strutyńska, która ją od swojego imienia nazwała, świeża ta osada zaludnia się stopniowo przesiedleniem gospodarskich *semii* ze wsi znaczniejszych, których ludność nie była w odpowiednim stosunku z ilością ziemi, niewystarczającej na łany skarbowe. Okoliczność podobna spowodowała także założenie Julianki, Strutyńki, Teklinówki i Feliksówki, tak nazwanych, każda z osobna, od imienia jakiegoś członka rodu, który przed półwiekiem, całą część kraju pomiędzy Ilińcami, Kossakówką, Omentyńcami i Pliskowem, posiadał, panował nad kilką miastami i kilkudziesięcią wsiami, a teraz istniał ubogo, podupadły,

w osobie ostatniego potomka swojego, Lipowczyńskiego. *Sic transit...*

Wnuk po kądzieli założycielki Jannówki był o tój porze jój posiadaczem. Zastał pustkowie i rudera, nieład i zaniedbanie. Gdyby Robinson jaki, musiał on urządzać wszystko na nowo i tworzyć; a ponieważ nie był to człowiek lubiący robić rzeczy na hała, na bała, (jak mówią nad Dnieprem), a dbał o porządne i racjonalne wykonanie przedsięwzięć koniecznych, wkrótce więc przekształcił opuszczoną Joannówkę na czystą, piękną, zamożną osadę, godną być rezydencją obywatela wyższego gustem i pojęciem.

Zwyczajem jest u nas, sadzić się na monstrualne jakies budowy, które zowiemy oficjalnie pałacami. Odjąwszy różnicę rozmiarów, zależną od większej lub mniejszej zamożności budującego, każdy z tych, tak nazwanych, pałaców, jest niczem inném jak skrzynią, do której przyczepiony niezgrabnie fronton pseudogrecki, wylega się ociężale na czterech słupach, parodujących styl kolumn Akropolu, albo Partenonu. Trudno wyobrazić sobie jakiej profanacyi gustu dopuszczają się u nas w tym względzie. Jeżeli się nie może, lub nie umie wybudować pięknego, estetycznego domu, czy nie byłoby lepiej zaniechać pretensyi a ograniczyć się zachowaniem bezpieczeństwa i wygody? Według mnie strzecha szlachecka więcej przystoi szlachecowi, niżeli te dziwaczne pałace, w których częstokroć prostota duszy idzie torem zbroczeń gustu i sensu samój budowy.

Pan Józef Sar... nie zgrzeszył w sposób wyżej rzeczony. Postawił domek trwały, wygodny, ciepły i jasny; domek szlachecki w pełném znaczeniu słowa, tylko okrzątniejszy, cywilizowańszy niż zwykle. Za domkiem, na spadzistości, spływającej do stawu, założył ogródek, gdzie młode krzewy, zharmonizowane z drzewami starszemi, doznają troskliwój i umiejętnój opieki. Kiedyśmy do Joannówki przyjechali, akacje i bzy były w kwie-

cie, kwatery zalecały się Florą wonną i różnobarwną, a mała Mania, córeczka gospodarza, różany pączek kobiety, biegła lotnie pomiędzy nimi współ z piosnką dziecinną i motylkiem...

Przedstawiony samój pani Sar... młodej jeszcze osobie, której twarz wyrazista jaśniała podwójnym promieniem dobroci i rozumu, nie mogłem nie uznać jój zalet wyłącznych i nie oddać im hołdu. Pani Sar... jest rzeczywiście istotą godną badań psychologa i filozofa. Skoro się wpatrzysz w jój duszę, zdziwisz niepomatu, widząc jak się w niej łączą ściśle i harmonizują różnorodności i kontrasta; jak tkliwość serca zlewa się z surowością zasad, poetyczność z prozą dążeń praktycznych, zapal — z chłodną rozwagą, słabość niewieścia — z potęgą ducha. Ona przywłaszczyła sobie wszystkie zalety rzymskiej matrony, spartańskiej obywatelki, chrześcijańskiej żony i matki, i silna niemi, czysta w obec Boga i sumienia, nieskazitelna w obec świata, wylana nie słowy, jak się to zwykle dzieje, ale skłonnością, uczuciem, czynem.

Dom dla niej światem; praca umysłowa żywiołem; świętość i obowiązków celem; mąż i dziecko szczęściem. Nie szuka ani zewnętrznych stosunków, ani zewnętrznych uciech. Żaden bal jój nie nęci, żadna huczna zabawa nie ciągnie. Strzecha domowa starczy jój sercu, bo jój serce do niej przyrosło; słowem, nikt więcéj od niej nie zasłużył na tę pochwałę rzymskiej matrony, domu strzegła, wełnę przędła (*domi mansit, lanam fecit*), w której zawarte chlubne świadectwo ścisłego spełnienia obowiązków żony, matki i gospodyni.

Chcąc się lepij obeznać z Joannówką, towarzyszyłem panu Sar... w jego wycieczce gospodarskiej. Rzadko zdarzało mi się widzieć tyle racjonalności i porządku. Każda budowa zalecała się trwałością i ścisłą analogią z przeznaczeniem swym. Każde przedsięwzięcie dążyło do jakiejś widocznej korzyści. Pan Sar... nie skąpił rubla, bo wiedział dobrze, iż bez

nakładu nic się nie zrobi ani w porę, ani fundamentalnie; a o to szło jemu najwięcej, chociaż mieszkał w okolicy odznaczającej się niedbalstwem i niedołężnością gospodarskich urządzeń, źle obmyślanych, gorzej wykonanych, chytrymudro.

Widząc te szopy obdarte, pokurczone, z osuniętą strzechą, te stodoły zaledwie zdolne utrzymać się wertykalnie na kurzych nóżkach, ugrzęzłych w błocie lub gnoju, te chlewy chwiejące się chorobliwie, jakby upojone cykutą, i rażące oko brudnymi łachmanami swęj nędzy plugawęj, widząc to lekceważenie warunków ładu, trwałości i korzyści; nastęrcza się mimowolnie pytanie: czy to wszystko nie jest dziełem jakięjs koczującej hordy, co się tu zatrzymała na dobę, a jutro dalej powędruje?... A jeżeli zdarzy się napotkać gdziekolwiek obraz stałej, porządnej osady, nacechowanej wpływem zdrowej myśli lub gustu, zdziwisz się niepomau, jakby na widok czegoś nienormalnego, obcego naturze miejsca i charakterowi kraju. — Nie przesadzam bynajmniej.

Mieszkańcy tutejsi, z małym wyjątkiem, są wielce niedbali. Oni żyją dniem obecnym tylko, lub puszczają się na przedsięwzięcia, do których się nie przygotowali poprzedniczo, ani teorią, ani doświadczeniem. Ztąd to namnożyło się u nas tyle zakładów cukrownictwa, o które się rozbijają, gdyby o podmorskie skały, szlacheckie fortuny, i losy rodzin gruchocą; nie dlatego, żeby ta spekulacya była sama przez się niekorzystną, lecz że się onęj imają ludzie, po większej części nieświadomi, obcy znaczeniu cyfry, nieposiadający własnych zasobów odpowiednich potrzebie, a następnie zmuszeni szukać żydowskiego kredytu na procent, bodaj czy nieprzewyższający dochodów, źle wyrozumowanego i niedbale prowadzonego przedsięwzięcia. Kraj i tak już małeśny, skutkiem nierozważnego użytkowania lasów, zostanie wkrótce zupełnie bezleśnym, i wnukowie tutejszych mieszkańców nie będą nawet wiedzieli,

jak wygląda brzoza, co to jest lipa, i czy na wierzbie rosną gruszki lub nie?

Przecież wartoby zastanowić się nad zgubnem następstwem tego zapamiętałego ogałacania kraju z leśnej wegetacyi, tak wielce wpływającej na stan klimatu, na świeżość, tudzież obfitość wód, to jest na wygodę i zdrowie wszystkiego, co żyje.

Starzy ludzie zaledwie poznać mogą tę ziemię. Zewsząd odkryta, a tém samém uległa wszystkim bez wyjątku pędom powietrza, które z czterech kardynalnych stron świata, przybywają harcować na jęj płaskiej powierzchni, nie jest już ani tak zdrową, ani tak malowniczą, jak przedtém. Rudy obszerne, ojczyzna źródeł i zwierzyny, pozbawione cieniu, schną o tęg porze, lub wyschły, od słońca i wiatru. Topór wytępił lasy. Gdzie nigdzie tylko czekają ostatecznej zagłady nieliczne gaje, tulące się, jakby szukając ratunku, około jakiegoś stuletniego dębu lub sędziwego jawora, tych praojców swojego podupadłego rodu! W tych gajach przeredzonych i bezcienistych, nie słycać już dawnego szmeru zdrojów, dawnęj muzyki nurtów tajemnych.

I łąki schną bezgłośnie na słońcu, smutne po swoim brzęczącym strumyku, i wieś niejedna, rozpostarta nad wyschłym łożyskiem swojego stawu, oplakuje nieboga stratę dobroczynnej toni. I nie o jednę tu chodzi malowniczość kraju, bo to rzecz podrzędna: zdrowie ludzi na tęg cierpi; cierpią siły ich i życie. Znam takie sioła, gdzie lud poi się mętami; błotem, dla braku wody, zaprawia swój barszcz codzienny i kaszę. W tych mętach moczy on swe lny i konopie, i tym smrodliwym fusem, którym się tylko zdoła delektować bezkarnie cyniczna kasta nierogacizny, napawa swoje mizerne bydełko, skazane tym sposobem na chorobę i śmierć przedwczesną.

Takie to są skutki wytępienia lasów. Niesłyszano tam nigdy za dawnych czasów, o tych straszliwych epizotych, o tęg rdzy zbożowej, o tych szkodliwych zmianach tempera-

tury, co się tak często w obecnym czasie objawiają. Był to kraj bujny, wesoły, bogaty, malowniczy, zdrowy!...

Towarzysząc panu Sar... w przechadzce jego po gospodarstwie, cieszyłem się z duszy, że się przecież znalazł choć jeden obywatel, postępujący wbrew ogólnemu niedbalstwu, w sposób znamionujący rozsądek i serce. Troskliwy o byt poddanych swoich, zwrócił wzgląd baczny na zachowanie wszystkich nieodzownych warunków ich pomyślności i zdrowia. Staw, zaniesiony mułem, porośły oczeretami, kazał oczyścić i wyszlamować; a poziom jego podniósł do miary nowój, wysokiej i fundamentalnej grobli, która zastąpiła dawną kiszeczkę z gnoju i ziemi, corocznie przerywaną naporem wiosennych powodzi, ku wielkiej szkodzie stawu i niewygodzie sioła. Gdzie tylko odgadł albo zoczył pan Sar... jakie źródółko, wnet je sprowadził do ogólnej masy wody, żeby nie marniało. Moczary zacienił wierzbołozą, żeby ich wilgoć ochronić od zbytcej ewaporacyi. Miejsca próżne pozasadzał drzewami, dzikie uszlachetnił kulturą; a to, czego już dokonał, świadczy o tém, czego dokonać zamierza. Joannówka wzrasta, zdobi się, cywilizuje widocznie. Niezadługo będzie ona osadą wzorową, jedyną w tych stronach.

Pan Józef Sar... nie jest postacią codzienną i pospolitą. Obok żywych zdolności umu, posiada on duszę płodną w szlachetne porywy, duszę pełną poezyi i harmonii, słowem taką, jakie się w dzisiejszej spekulacyjnej dobie nie rodzą, bo... i nacóżby się rodziły? — Najdziwniejszą w nim jest, wielostronność zdolności. Gdyby się tylko nie lenił, jak na szlacheica przystało, mógłby celować nie w jednym przedmiocie, nie jeden talent wrodzony rozwinąć szeroko: bo czegoż nie zdołają logika wespół z gustem i natchnieniem? Ta ostatnia własność ducha jego najżywiej się obudza w nim przy fortepianie, kiedy z trąconej trafunkowo nuty, tworzy sieć harmonijną własnych pomysłów, i pogrążony w zapomnieniu zewnętrznego świata, dąży potężnym rozmachem idei coraz wyżej i wyżej, w pro-

mieniach muzykalnego natchnienia. Talent jego nie jest utworem ludzkim: żadna teoria nie wpłynęła na jego twórczość, na jego sprężystość i wielobarwność. Bóg odznaczył go z pomiędzy wielu piętnem swoim, i uposażył wrodzonym pojęciem sztuki, najzdolniejszej tłumaczyć i wzniecać uczucia.

Rozdział II.

Słowo o kozaku Karabanie. — Futor Karabanów, alias Mohorta. — Stary Łebed'. — Konfederacya indyków.

Po obiedzie zaproponowano spacer na futor Karabana, należący do pana Sar... Ten Karaban, o ile wiadomo, był wychodźcem z Zaporozża. Zostawszy spółnikiem band hajdamackich Gonty i Żeleźniaka, zebrał nie mało pieniędzy i osiadł, po upadku Koliszczyzny, na Lipowieckiej ziemi, gdzie, jako dawny watażka mołojców i człowiek bogaty, wielkiej używał powagi pomiędzy chłopstwem. Działo się to w ostatnich latach 18-go wieku.

Na gruncie, nadanym sobie dożywotnie przez p. Starostę Łukasza Strutyńskiego, założył on futor, Karabanowym przezwany. Pan Sar... zostawszy jego właścicielem, nazwał go futorem Mohorta, na cześć pięknego, poetycznego rapsodu Wincentego Pola.

Kiedy się p. Sar... dostała Joannówka, futor ten przedstawiał samotność i pustkowie. Kilka grusz staruszek, kilka-naście śliwek, zasadzonych czcigodną ręką jego babki, ś. p. Joanny Strutyńskiej, świadczyły tylko, że tém miejscem opieko-

wała się kiedyś troskliwa pamięć człowieka. Stawek zapłynął mułem, grobelkę wody rozryły, nie było ani chaty, ani *kurenia*, ani *katrahy* żadnej: słowem, pustynia!

Przypadło do smaku p. Sar... to ustronie; zwłaszcza, że się zalecało tkliwemu sercu jego uroczystością pamiątek, i że tam mieszkała cichość głęboka, płoszona tylko kiedy niekiedy tajemniczym szmerem dębów, gwarzących z sobą dokoła, lub świstem wiatru w sitowiu.

Nie minęło kilka miesięcy, a już futuru tego niktby nie poznał od razu. Ów stawek błotnisty, co żabom tylko służył za mieszkanie i gadom, rozlał się obfitą powodzią czystej i zdrowej toni, gdzie snuły się młode pokolenia ryb rozmaitych, i rak flegmatyk szczydził z ich ruchów swawolnych. Tak uporządkowaną wodę, p. Sar... wziął tego w kluby, za pomocą szerokiej grobli, uposażonej szluzą dębową i mostkiem dla przejazdu. Znowu przemówiło pustkowie głosem człowieka; ożyło ruchem czynności rzemieślników; i leśne Dryady ujrzały z podziwem wracające życie w tę obumarłą siedzibę milczenia i dzikości.

Wkrótce stanęło wygodne mieszkanie dla kurniczki, arcykapłanki kur, gęsi, indyków i kaczek, które miały czerpać z jej przykładów zasady moralności i dobrych obyczajów. Opoдал wybudowano drugą chatkę, rodzaj porządnej *katrahy* dla starego Łebedia pasiecznika i ułożono z okłotów małą budkę dla niego, na prawém skrzydle frontu ulów, stojących rzędami na toczkach. Dokoła zakwitły dla pszczół roboczych miodne rośliny różnobarwne; żółte kwiaty harbuzów rozpełzły się gromadnie na długich łodygach swoich i mnogie rody pełnego kwiecia dyszały wonnie na traw zieloném posłaniu.

Całe obejście futuru, opasane fosą, zawarowano tęgą bramą dębową; a zewnątrz rozrzucono bogaty kobierzec maku, wespół z błękitną makatą lnu, obramowaną taśmą łąk szmaragdowych i frędzlą powiewną lasu. Taką to koleją, gdyby feniks

z popiołów, odrodził się futor Karabana w bogatszej i szlacheńszej naturze futoru Mohorta.

Myśl zapłodniła pustynię; dusza owiała ją ciepłem swoim; byt powstał ze zniszczenia i życie ze śmierci wykwitło. Pan Sar... dokazał tego rozsądną wolą i trwaniem w chwalebném dążeniu. I on także miał odtąd, na wzór Lipowczyńskiego, swoją cichą, samotną Tebaidę, gdzie mógł podumać ustronnie, pomóc z naturą poufnie. Kiedyśmy do tego miłego miejsca przybyli, słońce chyliło się już ku zachodowi, i w szacie promieni jego stała opodal wysoka postać Łebedia, opartego na kiju i pogrążonego w zamyśleniu.

— Patrz na tego starca — rzekł do mnie Lipowczyński — i wyznaj, że przytomność jego w tém miejscu i przy fizycznych warunkach obecnej chwili, udziela całemu krajobrazowi jakiegoś biblijnego charakteru, godnego Exody. Patryarchalna doba świata staje uzmysłowioną przed oczyma duszy, i zda ci się, że wnet usłyszysz głos Jehowy, wołający z nieba słowem przestrogi lub błogosławieństwa. Nie uwierzysz, ile obrazy podobne dla mnie mają uroku! Ten cichy zakątek ziemi, tęnący prostotą i niewinnością pierwszych dni stworzenia, gdyby karta Genezy, większym ducha mojego przenika zachwytem, szczytniej jestestwo moje podnosi, niżeliby tego dokonać mogły najświetniejsze pomysły człowieka i arcydzieła jego ręki. Marmary Eginy i Partenonu, sławne fryzy małaazyjskich świątyń, grupa Nioby Praxytela, skulpturne polychromy i chryzoelefantyny wielkich peryodów sztuki, nie przemówiłyby do mnie tém wrażeniem, jakiego doświadczam i jakim się w tej chwili napawam wobec dzieł natury.

Wyznaję, że mnie bynajmniej nie dziwił zachwyt Lipowczyńskiego, wynikający z własności, jaką posiadał, idealizowania samej nawet natury, kiedy zwłaszcza jej charakter miejscowy odpowiadał moralnemu jego usposobieniu. On przyodziewał zwykle każdy obraz w szatę swojej wyobraźni; émił go lub

opromieniał tłem swoich uczuć; ożywiał odgłosem żalu swego lub swojej nadziei. Brał sam z siebie zarysy i farby utworu, cienie i światła perspektywy, tudzież myśl główną znaczenia; słowem, był jednocześnie widzem i artystą obrazu. Cóż więc dziwnego, że i w tém lubém ustroniu widział wyższą potęgę wdzięku od realnej, chociaż niezaprzeczonej.

W chwili ukazania się naszego w obwodzie futoru, naród indycy, niesłyszący bynajmniej jednością, zawiązał był dwie konfederacye, sprzeczne duchem i grożące widocznie krwi rozlewem. Dwa napuszone jędory przewodniczyły każdy z osobna swój partyi. Wrzaski i tłumna niesforność, dowodziły jawnie, że i pomiędzy indykami rozum nie zawsze służył za *laborum* przedsięwzięć i czynów. Spełniło się nakoniec, co się spełnić miało! Gniewne i szalone, zwarły się z sobą zawzięte stronnictwa, i bratobójczemi dzióbami szarpane zapamiętałe, posypały się pierze do koła. Na ten gwar, pisk, szum i jęk boleści, wypada z prętem kurniczka Katarzyna, i nuż łupić zwaśnionych, którzy radziby już zlać się w jedną zbawienną usilność obrony, ale im sił nie staje do tego, bo je zmarnowali występnie, roztrwonili głupio. A więc... poszli do ciupy!... a gęsi, świadki wypadku i pomne swój kapitolinśkiej sławy, zagdakały poważnie o potrzebie łączności i zgody, i pomaszerowały długim rzędem na stawek. Ten heroiczny epizod mocno nas zabawił. Mania chichotała serdecznie. Lipowczyński, szukający we wszystkim analogii i stosunku, widział w téj zabawnej scenie jakąś moralną zgodność z tradycjami rodziny i ludów, i wnioskował nie bez sarkazmu, że wolno było i ludziom robić głupstwa, kiedy się i cne indyki onych dopuszczały.

Słońce kryło się już za górę i morzem szkarłatnych przerozcy faliła się zachodnia część nieba. I cicho było dokoła; tylko szmer lasu przeciągły, tajemne Dryad westchnienie, ułatał z powiewem wieczora; i odległe wołanie pastuszków, pędzą-

cych trzodę do sioła, jednoczyło się w dali z wesołą przegrywką *sopilki*.

Nazajutrz opuściliśmy Joannówkę tym samym trybem, jakimeśmy do niej przyjechali, to jest konno. Prześliczna była pora. Lipowczyński mówił do mnie: „Pokazałem panu dom zacny, podupadły w zamożności, lecz nieporuszony w honorze; dom stary pochodzeniem, bogato uposażony w zasady religii, w tradycje rodowe cnót obywatelskich. Teraz ujrzysz sprzeczność rządzącą; stronę odwrotną medalu. Ujrzysz parweniusza *pur sang*, otoczonego blaskiem milionów, które wyssał ze krwi uciśnionego ludu. Nie szukaj bowiem w nim popędów szlachealnych, ani instyktów piękna, ani kultury umysłu, ani tkliwości serca. Nie znajdziesz ich. Obaczysz! Jego żona, moja krewna. Poznasz ją i ocenisz.

Rozdział III.

Wieś Łapigroszki. — Monografia pana X. — Pani X. — Spekulacje rodzicielskie. — Trafność publicznego sądu. — Pokój pani X. — Gabinet pana X.

Na południowym krańcu kijowskiej gubernii, stoi pośród jaru wieś Łapigroszki, tak nazwana zapewne od gorącej namiętności jej właściciela, który nałapawszy groszy po świecie, *per fas et nefas* z mizernego szlagusa został panem, czyli mówiąc lepiej, bogatym parweniuszem, co nie jest to samo.

Pan X., ów dostojny dziedzic Łapigroszek, człowiek(?) systematycznie skąpy, obrzydliwie chciwy, a następnie zakamieniały egoista, winien był tym szlachealnym przymiotom możność

prędkiego nader postępu w rozmnożeniu majątku; skutkiem czego posiadał już przeszło dziesięć tysięcy dusz, w porze kiedyśmy do niego zawitali. Wszędzie i zawsze płynęła ludzom ślinka pożądliwości na widok cudzych dostatków; wszędzie i zawsze, biblijny cielec złoty był wiernym symbolem ubiegania się ludzi za mamoną; lecz nigdzie i nigdy tyle się w niej nie kochano jak teraz, i jak w opisywanój przezemnie okolicy.

Z tego to powodu pan X., niepoczesna figurka zkąd inąd, i nader pospolita, ujrzał się przedmiotem czci ogólnej, powszechnego szacunku, natarczywych czołobitności okolicznej szlacheckiej tłuszczy, która, mimo przekonania swego, że eny dziedzic Łapigroszek, wcale nie był skłonny zostać adeptą komunizmu na korzyść jój kieszeni, latała przecież gęstemi rojami około niego, łechcąc nieoswojone ucho parweniusza eufoniczną muzyką zalecanek.

Nie było w tém sensu za grosz, a jednak takich bezsensownych rzeczy najwięcej dzieje się na świecie. I pan X. ze swojój strony, dał tego nowy dowód, bo zaczął mieć siebie za personata, czmychać i dać nosa szalenie. Już skromna strzecha nie starczy jego dumie; ogródek za ciasny dla niego.

Trzeba mu było pałacu, i pałac stanął; trzeba mu było angielskiego parku, i park obszerny rozesłał się dokoła bogatym kobiercem gazonów, klombów, alei, gajów i labiryntów. Tego mało — zakłady gospodarskie nadto kosztowne, wzniosły się na hasło próżności pana X. ogromną masą murów, nad poziom nędznych lepianek osady, jakby szydząc z biednego ludu, kontrastem wspaniałości i nędzy.

Sprzecznosc ta boleśnie raziła duszę. Skoroś wjechał do Łapigroszek, czuleś tęsknotę, wiejącą z serc ludu do twego serca. Jeżeliś człowiek dobry, zostawałeś spółnikiem ogólnego cierpienia; a kiedyś spojrział dokoła, nie spotkałeś ani jednéj wypogodzonej twarzy, ani jednéj cechy pokoju, ani jednéj oznaki wesela. Ludzie snuli się, gdyby cienie jakie, obdarci, wy-

chudli, z piętnem smutku na czole. W dzień świąteczny, nie widziałeś tam przy karczynie tych wesołych korowodów, ożywiających wieś szczęśliwszą *); nie widziałeś tych białych namitek, kraśnych kośników, kwiecistych kibałek, wstążek różnobarwnych, i świeżych jak malina twarzy; nie słyszałeś tej hulaszczęj muzyki, skrzypki, cymbałów i bębna, której zwykły wtórzyć rześiste hołubce parobków, szczerze śmiechy młodych, piosnki swobodne i chichotania krasnolicek dziewcząt. Nic tego nie znano w Łapigroszkach.

Funkcje wiejskich wirtuozów były żadne; instrumenta ich wisiały gdzieś w komorze, zapyłone i zapomniane, oczekujące lepszych czasów dla skocznej przegrywki wesela.

Ale za to w pałacu, jakie ucztę i bale! Pan X. z personata, zrobił się koligatem; pojął w zamęcie pannę nie bogatą wprawdzie, lecz wielkiego rodu. Podwoił zatem czmychanie i dęcie nosa. A co straci bywało na hulanki i bankiety, to zedrze napowrót z chłopka. I cóż dziwnego? Parweniusz, który się dochrapał majątku i z jego łaski zajął jakie takie socyalne stanowisko, musi troskliwie pilnować całości tej jedynej rękąjmi swojej wziętości i przewagi, bo nie mając ani imienia, ani wysokich rodowych stosunków, ani osobistej moralnej potęgi, w cóżby się obrócił, gdyby go dostutki opuściły?

Z tej to racji nie widziano prawie nigdy, żeby pan z panna, chociażby podupadłego rodu, uciemieżał poddanych swoich, albo sadził się ich kosztem na zbytki i wystawy. Nie potrzebując pożyczanego blasku, kontentuje się tym, jaki odziedziczył po antenatach, i nie szuka innego.

Pan X. siedł torem przeciwnym, wierny tradycyom raso wym parweniuszowstwa. Przecież niebo zdawało się błogosławić nieprawościom jego, bo i żonę miał dobrą, i dziatki mu się hodowały, i karbowaniom miejsca nie było w kuferkach,

*) Podobnych Łapigroszek nie było wiele w tych stronach.

i lud przebaczał mu... Co do sumienia... bało się go, i milczało.

Kiedyśmy do Łapigroszek przybyli, pan X. wałęsał się gdzieś po gospodarstwie; sama zaś gospodyni była w domu. Zastaliśmy ją siedzącą na małej sofce, obitej kosztowną materyą, w pokoju ozdobnie ubranym.

Przed nią stał, na toczonój spiralnie nóżce, małeńki mahoniowy stoliczek: na stoliczku leżała książka otwarta, zapewne romans francuzki, darmo wzywający tą razą uwagi nadobnej swojej właścicielki, której oko, omglone bezwładnością zamyslenia, nie raczyło nawet patrzeć na welinowe karty, świecące cieniuchną linią złota, i pyszne ze swój kosztownej oprawy.

Gust i bogactwo cechowały ten pokój, cudny przybytek wdzięków i poezji, gdzie przedmiot każdy nosił na sobie piętno wyższych pojęć umysłu, szczytniejszych objawień ducha. Zimna symetria i ład surowy nie miały tam miejsca. Przeciwnie, malowniczy jakiś nieporządek, jakieś, że tak powiem, od niechcienia, pełne harmonii i uroku, przewodniczyło urządzeniu tego, prawdziwie estetycznego, zbioru szczegółów potrzeby lub zbytku, pośród których pani X. pędziła chwile tęsknoty i udręczenia, przykuta do człowieka, którego ani kochać, ani szacować nie mogła.

Bo jakież były realnie prawa pana X. do miłości i szacunku żony?

Jaka zgodność, jaka sympatya, mogły zapełnić przedział, istniejący pomiędzy brzydkim, złośliwym, nieokrzesanym parweniusem, a piękną, dowcipną, tkliwą i ujmującą córką wielkiego domu, którą panu X. dziecięciem prawie jeszcze, jakby towar jaki, zaprzędano?

Podobne handle, czémże są szlachetniejsze od sromotnej sprzedaży dziewic na bazarach Wschodu? Wszak i tu uczucia milczą przed dźwiękiem metalu; sumienie bije pokłony przed złotem. Wszak i tu frymarczy się losem, godnością i enotą

kobiety, a co gorsza, własnego dziecka; frymarczy się tém podlój, tém ohydniej, że chytrze, nie otwarcie, nie wskutek błędnej idei kraju, nadającej pewny rodzaj legalności występ-kowi, ale pod maską jakiegoś niby serdecznego względu, ro-dzielskiego baczenia, kłamliwej troskliwości uczuć.

Młode, niewinne dziewczę, owiane tchnieniem wiosennój doby, z poezją w duszy, z uśmiechem na ustach, z jasną aureolą nadziei i złudzeń na czole, zmuszają kłamać świętą przy-sięgę miłości u stóp ołtarza; krępują do człowieka, którego nie zapytano wprzód, czy ma duszę? ale czy ma pieniądze? i wiele? — zapominając spytać go, jakim je sposobem nabył, dobrym, czy złym?

Ludzie wołają: dobrze wyszła za mąż! — tatunio wespół z mamunią dzielają zdanie tak zwanych ludzi, a córka ich nieszczęśliwa płacze sercem, cierpi duszą, więdnie ciałem, gaśnie życiem, traci swoją czarowną aureolę uśmiechów, złu-dzeń, nadziei, i zatapia we mgle rzeczywistości ostatki swój won-nój, jasnej, nieskazitelnej poezyi.

I cóż ztąd wynika zwykle? Oto, że płacz jój serca wzbudzi litość innego serca; że cierpienie jój duszy da się ukoić spół-czuciem innój duszy; gwiazda miłości ukaze się nagle na jój tumannem niebie, i każe dumać, śnić, nie o mężu, którego jój marzuciono, którego nie chce, bo nie zdoła kochać, ale o in-nym, co ją napotkał śród gościńca bytu, co ją pojął, ocenił, pocieszył. On dobry, tkliwy, szlachetny; a do tego on młody i piękny. Już jój myślą owładnął, do serca wnikał, istnienie opromienił, nieznanego uroku przed nią roztoczył powaby. Ona go kocha!...

— Zbrodnia! — wołają cnotliwi, bo wszyscy są cnotliwi, kiedy idzie o potępienie bliźniego.

Tymczasem gwar oburzonej cnoty publicznej dochodzi do uszu męża. On słucha, pojmuje, złorzeczy i zasłużone rogi wściekłą targając dłonią, wyrzuca żonie obelgę, wyrządzoną jego

honorowi, wyrzuca plamę, rzuconą na jego imię; jak gdyby człowiek który się ożenił, przyjmując dar gwałtu i tyranstwa, miał honor; jak gdyby człowiek, który nie umiał uczyć i osłodzić łzy kobiety, posiadał imię godne jakiego względu!

Boże! ile to sumiennej sprawiedliwości w wyrokach świata! ile w nich baczenia i loiki! Wszyscy powstali na biedną ofiarę chciwości męża, wszyscy ją potępili, okryli błotem szyderstwa i hańby; a nikt nie stanął w jej obronie; nikomu nie przyszła myśl szlachetna ukazać, nazwać po imieniu prawdziwych sprawców jej upadku i nieszczęścia!

Pani X. była także jedną z powyżej opisanych ofiar, z tą jednak różnicą, że pomimo odrazy, jaką czuła do męża, pomimo udręczeń codziennych, jakimi pan X. usiłował jej pozycie ubarwić, była mu wierną i w spełnianiu obowiązków swoich nieposzlakowaną.

Lipowczyński, świadek jej cierpień i powiernik uczuć, miłym był dla niej gościem. Przyjęła go z radością; mnie z ujmującym wyrazem zaufania. Przekonana, że przyjaciel Lipowczyńskiego musiał być nieco godnym i jej przyjaźni, nie zamykała swęj rozmowy w ciasnym obrębie form konwencyonalnych, i zamiast być skrepowaną, ostrożną, zimną, jakby tego wymagać mogła przytomność nieznajomego, mówiła swobodnie, poufnie, szczerze, i duszę swą całą otworzyła przed nami. Lecz w tém wyłonieniu się jej, nacechowaném głębokim pojęciem obowiązków matki i żony, nie było ani jednego wyrzutu, ani jednej skargi.

Nic takiego nie powiedziała, coby ubliżało jej mężowi lub tchnęło szemraniem na srogość losu; nic takiego nie wyrzekła, coby zdradzało jej łzę wewnętrzną, jej tłumioną boleść i niedolę. Najcudniej zatem była zharmonizowaną w niej, ta potrójna piękność: duszy, umysłu i ciała, złana w jedno ognisko uroku, w jeden niebieski promień boskości człowieczej. Serce u niej szło w parze z rozumem, jednoczyło się z wdziękiem postaci, brzmiało w słowie, świeciło w oku, pałało w ustach godnych

Gracyi, ale Gracyi chrześcijańskiej, owianej skromnością, wiarą, rezygnacją.

To był wzór dla Praxitela! tu pędzel Sanzia uświetniłby szczytniejszy ideał wdzięku od powabów italskiej Fornariny! A do tego przedmioty otaczające tę zachwycającą istotę, dziwnie podniecały wyobraźnię. Cień perłowy, łagodzący dzienne światło, zalewał tajemniczością pełną poezyi i czaru ten cudny pokój, w którym z pomiędzy drzew balsamicznych i kwiatów, wyglądały bóstwa Grecyi i Romy, z marmurów barga, karrary, i pelsewery, chylące się hołdownie przed żywym bóstwem tego miejsca.

Nadejście pana X. zapoconego gospodarskim znojem, w brudnym nankinowym tużurku, spartańskiego lakonizmu, przerwało i mój zachwyt i naszą rozmowę. Lipowczyńskiego powitał z nadskakiwaniem smorgońskiego dandy, ze mną obszedł się dość grzecznie, a żonę cmoknął po plebejsku, głośnym naporem ust zaślinionych w czoło. Po dopełnieniu tego wstępnego aktu, pan X. rozwalił się niedbale z gwałtownym naciskiem swojego centru ciężkości, w prześlicznym fotelu, w guście odrodzenia, mówiąc mięszanem narzeczem:

— *Ce diable de* gospodarstwo, rzecz fatalnie męcząca! Zwłaszcza takie wielkie *comme le mon*. Musiałem krzyczęć i szturchać. *Coquins des* chamy! Co ubijesz to ujedziesz! Szelmy! *A propos*. — Będziemy mieli *du monde*. Wszak jutro święto naszej Lolci! *Le comte* Próżniński, *avec sa femme* i marszałek Tokowski, obiecali *de venir*. I młodzież będzie na dansy. Ot! dobrze żem przypomniał. Pójdę zalecić, żeby gościnne konie odsyłano do karczmy. Owies podrożał.

Po tych słowach wyszedł.

Pani X. odetchnęła. Czuli, że przy niej Pan X. nie mógł się wydać awantazownie, a nie chciała zyskiwać na porównaniu kosztem swojego męża. Przy nim niespokojna i pomięszana, zajaśniała widocznym uczuciem ulgi, ba nawet wesela, skoro się oddalił. Grzeczność kazała mi udawać, żem jęj walki wewnątrz-

nój nie uważał. Lipowczyński to samo uczynił. Mgła jej czoła ulotniła się pomału i znowu potoczyła się swobodna rozmowa.

Po przejściu bystrzej godziny, Lipowczyński wezwał mię z sobą dla oddania wizyty panu X. w jego gabinecie.

Pokój, w którym dostojny gospodarz zwykle przesiadywał, sływał pomiędzy pałacową czernią, pod nazwiskiem gabinetu *alias* pracowni, dla tego właśnie, że tam pan X. nigdy nie robił. I tą razą czynność jego była w odwrotnym stosunku z tytułem miejsca.

Pan X. rozwalony w brudnym szezlongu enigmatycznej barwy, ogryzał smakowicie resztki parweniuszowskich paznogci, spoglądając z upodobaniem na jakieś odwieczne konterfakta dygnitarskich postaci, które mianował bezczelnie przodkami swoimi. Były tam figury wąsate i niewąsate, brodate i niebrodate, dumne i łagodne, rycerskie i duchowne, lecz wszystkie ściśle senatorskie, te w zbroi, te w todze, te w rokiecie, z gwiazdami i bez gwiazd. Na przeciwnej ścianie wisiał cały tuzin niewieścich portretów w robronach, perukach, kornetach, czepkach, tokach, zawojach: starsze matrony, sztywne, surowe, nadęte; młodsze zgrabne, zalotne, ponętne; wszystkie nakształt komputowej drużyny, zwerbowane z rozmaitych pańskich i starszylacheckich domów, kupione hurtem na jakiejś licytacji i zarejestrowane wraz z kolekcją męzkich wizerunków, w poczet antenatów pana X.

Nieco niżej, naprzeciw jakiegoś opasłego biskupa w infule i z pastorałem w ręku, umieszczono na ścianie obraz olejny, italskiej szkoły, cudnego pędzla, wyobrażający porwanie Sabinek; obraz nabyty zapewne *jure caduco* z jakiegoś magnackiego domu; przez kogo? nie wiem. A że zdolność klasyfikowania przedmiotów sztuki, nie może być udziałem spanoszonego fagasa, który o estetyce nigdy nie słyszał, a następnie żadnej kultury nie posiadał, przeto i w tak nazwanym gabinecie pana X. dziwny panował chaos, dziwna nieracjonalność układu.

I któryż z artystów lub z oświeconych ludzi, nie wzdrygnął-

by się z oburzenia, gdyby się mu zdarzyło wejść do tego przybytku ukraińskiego parweniuszowstwa; gdzie pan X. dopuszczał się takiej profanacji gustu, takiego pohańbienia sztuki? Widać tam było od razu materyalne bogactwo parweniusza, obok jego duchowej nędzy.

Wysokie dzieła pędzla i dłuta, ciekawe godła epok znakomitych, kosztowne zabytki przeszłości i gustu narodów, wszystko to wałało się po stołach, półkach, komodach zapyłonych, wespół z przedmiotami niejednostajnej natury, nieodpowiedniej ceny. I cóż w tém dziwnego? Skarby artystyczne, o których mowa, dostały się panu X. w spadku po enym tatuniu, ex-ekonomie Lubomirskich, który je posiadał, albo jako zakład pieniężny za kredyt udzielony jakiemu marnotrawnemu magnatowi, albo jako zdobywcę pochodzącą z filozoficznego poglądu na treść VII-go punktu dekalogu; co dowodziło, każdy przyzna, w ś.p. tatuniu niepospolitych filozoficznych zdolności. Po śmierci dostojnego rodzica, skarby te, niezrozumiane, a tém samém nieocenione należycie, poszły na rzecz niemniej dostojnego syna, który nie znając ich wartości (bo niepochodziły z mennicy) porozrzucał je niedbale po wszystkich kątach, jako niepotrzebne graty, niegodne baczenia.

W urnie z korynckiego brązu, widziałeś sznurek suszonych grzybów; starożytna amfora, areydzieło rzymskiego garnearstwa, stała pod stołem z próbkami ozimnego ziarna: kilka naczyń etruskich z Pantikapei, kilka czar kamiennych przecudnego dłuta z kopalń Herkulanu, kryło się pod komodą w pyłe zapomnienia i pogardy: na gierydonie, z epoki Medyceuszów, bogatej formy i dziwnie pięknego rysunku *en marqueterie* (z hebanu, macicy i szyldkretu, na dnie brązowém) leżały plugawe stopy regestrów i fascykułów, szpagatem związanych: pod gierydonem zaś krył się, wstydlivy pohańbienia swego, osnuty pajęczyną, okurzony pyłem, sędziwy zegar ścienny, wysokiego kunsztu.

Nie było już indexów na sztucznie emaliowanym cyferblacie,

tylko się złościł jeszcze na nim napis podwójny głębokiej i smutnej treści.

Vulnerant omnes:

Ultima necat;

i ten drugi

Vides horam:

Nescis horam:

Oprawa zégara ze złoczonego bronzu godną była Benvenuta.

Tylko genialna fantazyja mogła wymarzyć taką gęstą, spletaną, dziwaczną, a razem lekką i jasną kombinacją arabesków; tylko dłoń wielkiego mistrza zdolną była zmusić metal do takiej różnorodności kształtów, rzutów, wytrysków, i załomów linii, zharmonizowanych pomiędzy sobą loiką talentu, prawodawstwem gustu. Każdy liść akantu kończył się Gorgoną; z każdej Chimery wybiegał snop liści i kwiecica. Tu widziałeś Dafne, wołającą ratunku bogów; ręce jej, wzniesione ku niebu, już się laurowym liściem pokryły; z palców strzelił rzut roślinny gałązek cieniuchnych, i zespolony z ogólnym rysunkiem całości, nikał gdzieś stopniowo z oczu w tajemniczych zakrętach i biegach metalu. Tam znowu z płaczących sióstr Faetona, rosła gęstwina topoli, lekka, powiewna, strzelista. Słowem, było to arcydzieło w swoim rodzaju, kaprys kunsztu, szal wyobraźni, czarodziejstwo bronzu.

W przyległym pokoiku, pełnym gratów, pajęczyny i śmiecia, walało się wespół z kolekcją dziurawych butów, kaloszków, pantofli i berlaczów, kilkanaście obrazów zapyłonych i pleśniejących od wilgoci.

Komużby z ludzi estetycznych mogło przyjść do głowy, że te płótna, tak srodze znieważone, były to po większej części szacowne oryginały szkoły florentyńskiej, neapolitańskiej i flamandzkiej? Przecież tak było w istocie! Widziałeś tam swobodną

rzutność pędzla Brouwera, wykończoność Teniersa, ognisty kolor Ghirlandaja, wdzięk pogodny Fiesola.

Lecz klejnotem tego zbioru był krajobraz wiejski, łagodnej natury, *ameno villagio* Józefa Ribery (*lo Spagnoletto*) nader wysokiéj ceny; a także portret dobrego Rowleya (Karola II Stuarda) nie wiem czyjego pędzla, ale takiéj wyrazistości i prawdy, że na wzór Michała Anioła, który, jak wiadomo, patrząc na statwę św. Marka, dłuta Donatella, zapytał: *Marco! perche non mi parli?* i ja chciałem zapytać biednego Rowleya, poco do Łapigroszek zawitał?...

W tymże samym pokoiku wisiał za szkłem, złożoną ramą ozdobny, swawolny obrazek partackiego pędzla...

Rozdział IV.

Lola. — Obchód jéj imienin.

Pod skrzydłem macierzyńskiej miłości, rósł, wdzięczył się, kwilił, i gruchał miły aniołek, ośmioletnia córeczka państwa X. istny klejnot dobroci i wdzięku. Rysy tego dziecka, świeży i naiwny odbłysek matki, jaśniały pogodą i uśmiechem niewinności. W głosie Loli, gdy szczebiotała, albo nuciła piosenkę, było coś tak rzewnego i tkliwego, że wyrazić trudno. Jakoż w istocie, wszyscy ją w domu lubili, wszyscy jéj błogosławili, wszyscy zazdrościli panu X. takiéj córeczki, przypisując jednogłośnie tę łaskę nieba cnotom matki, jako wynagrodzenie za tyle rozczarowania i smutku. I dla pana X., tego twardego samoluba, Lola była skarbem nieocenionym. Nie kochał on jéj dla zalet duszy (bo nie posiadając sam tych przymiotów, nie mógł ich cenić

i w drugich), ale go wdzięk dziecka, naiwność, słodycz, a może nawet i krwi głos tajemny, do tyła wzruszały, iż się rzadko zdarzało, żeby miał cokolwiek dla Loli do odmówienia. A przecież na częste wystawiała go próby. Skoro tylko ujrzała ni e dole w jakiegokolwiek to było postaci, biegła natychmiast do ojca, pieściła go, ścisłała, całowała, tuliła się doń z takim uśmiechem, z taką błagalną minką, że pomimo twardej obojętności swojej, powiększonej zastarzałą harpagomanią, nie mógł się oprzeć figlarniej dziewczynce i musiał rad nie rad, mrużąc pod nosem, maszerować do zakłętogo kantorka po grosz i złotówki, którymi uradowana Lola, obdzielała potem wdowy, sieroty i nędzarzy, prosząc ich o paciorek za mamę i papę.

Takię to lubęj istoty obchodzono święto dnia następującego. Błogosławieństwo i miłość matki spoczęły na niej; ojciec cmoknął ją w buzię dość ognisto. Matka dała jęj na wiązanie prześliczny obrazek Częstochowskię Bogarodzicy za szkłem w złotęj ramce; a ojciec darował brudną, pięciorublową asygnatkę z wydartemi od użycia numerami, czém się naturalnie nie bardzo zrujnował. Po mszy świętęj, którą odprawił w sali, sprowadzony wilią staraniem pani X., proboszcz miejscowęj parafii, udaliśmy się do ogrodu. Wkrótce poczęli się zjeżdżać goście. Pan X. wystrojony, z ogromnym krzyżem świętęj Anny na szyi, pobiegł skwapliwie na ich przyjęcie do pałacu; i nam tęż wypadalo pójść za jęgo przykładem.

Kiedysmy weszli do salonu, zastaliśmy tam kilka nieznajomych figur i hrabię Próźnińskiego z żoną. Dom Próźnińskich nie zalecał się światu ani świetną przeszłością, ani obecną zasługą. Z protoplasty parweniusza niedawno powstały, uzurpował on, wzorem niejednej polskiej familii, tytuł hrabiowski, w przekonaniu zapewne, że kto ma pieniądze, wszystkiego sobie pozwolić może. Na mocy tedy podobnego argumentu zostawszy hrabią własnej kreacyi, pan Próźniński dał nosa wobec biedniejszych; deptał zupełnie biednych; równym dłoń podawał; wyż-

szym ulegał i ciał niziutkie pokłony; słowem nie zbaczał w niczém z rodowych cech parwienuszczyzny, wierny gniazdowym instyktom, jak wyżeł co staje, chart co goni, adwokat co bałamuci. Między panem Próźnińskim i panem X., ludźmi zkądinąd jednostajnego moralnego poziomu, istniała wszakże pewna różnica ukształcenia. O ile pan X. był szorstkim, nieokrzesanym, tępym, o tyle gość jego był układnym, przyjemnym, bystrym. Pan X. szydził otwarcie z opinii; Próźniński zdawał się dbać o nią. Tamten miał naturę wilka, ten lisa. Czyjój pierwszeństwo należy?... *ambo meliores!*

Obok nadobnej gospodyni domu, która nas poprzedziła, aby swoich gości powitać, piętrzyły się i wydymały na kanapie poprzeraśnięte formy Jaśnie Wielmożnej Kunegundy z Trzaskalowiczów hrabiny Próźnińskiej, damy centnarowej wagi, mamutowej tuszy, burakowej cery, gęsięgo rozumu i osłój zarozumiałości. Głowę tak hojnie uposażoną zdobił czepek, arcydzieło Jampolskiego *fashionu*, udrapowany w esy, floresy, kokardy i arabeski ze wstążek, reprezentujących wszystkie podobne i niepodobne barwy świata, splecione z sobą jak myśli waryata, w rążący dysonans kolorów. Suknię miała aksamitną (co było wielce stosowne do pory lata kanikularnej) a na tej sukni, w strefie centralnej, to jest żółdkowej, jaśniał na złotym łańcuchu kosztowny zegarek, okolony podwójnym rzędem pereł. Sędziwy piesek gatunku *King' Charles*, gniewliwy i wypłowiwały, mrugał zapłakanymi oczyma, leżąc rozkosznie na kolanach wypasłej pseudo-hrabiny. Widocznie było mu do smaku legowisko, bo się czasami wywracał do góry brzuchem, przesycony komfortem, i w tej pozycji zamykał powieki, jakby w upojeniu szczęścia i zachwytu.

Mimo takiego rozwoju zdrowia, panią Próźnińską trapiła ciężka choroba, niewłaściwa jej zupełnie, chociaż na nieszczęście, realna... choroba rozumu! Komużby przyjsć mogło do głowy, że pod tą potrójną warstwą aksamitu, mięsa i słoniny,

kryła się dążność szalona, uchodzić za *esprit fort*; mówić tonem hotelu *Rambouillet*; być panną Paulet lub Scudery swego czasu; i odznaczać się wygórowaną sentymentalnością precyzyek, tak ostro wysmianych przez Moliera? Przecież tak było w istocie. Pani Próźnińska nie umiała mówić inaczej, jak peryfrazą, dla uniknięcia pospolitych wyrażen niegodnych jój ust delikatnych. Tkliwość jój, plód jakiegoś dziwaczego narowu nie zaś usposobień duszy, gotową była zawsze rozlać się powodzią łez udanych, lub dać wiatrem westchnień, jęków i wykrzykników przeciągłych. Taką być zwykła przy gościach, w salonie, wobec świata; lecz wrócona samotności domowej, puszczała wodze swój realnej naturze, i zgasiwszy pożyczany *nimbus* tliwości, filantropii i skinderyzmu, nie omieszkała nigdy przy zręczności wyłajać, wyszturchać po plebejsku i wezwać sto tysięcy djabłów na biedę bliźnim, znajomym i nieznanym, nie wyłaczając męża.

Nie godziłoby się jednak myśleć, że w tej dziwacznej pani zawarł typ moralny obywatelki z okolicy którą maluję. Podobnych pani Próźnińskiej nie znalazłoby się tam wiele. Płec piękną tego kraju cechuje niezaprzeczoną wyższość duchowa nad płcią naszą; a cnoty domowe, które czynem wyraża nie słowy, są u niej nierzadkiem zjawiskiem. I salon pani X. począł się stopniowo napełniać kobietami, z których każda posiadała mniej więcej praw do względu i szacunku. U tej, pod korą zaściankowej rubasznosci żyła poczciwość szlachecka; inna znowu zdobiła swą niezręczność i przesadę gruntownością zasad moralnych i chrześcijańskich dążeń. A obok tych matron poważnych, tklivych i zacnych, ileż to jaśniało świeżych i ponętnych twarzy! ile serc biło nadzieją pod białą szatą niewinności! a biło skromnie, poczciwie, bez chęci występnej, bez myśli brudnej, bez fałszu! — Świat wielki znalazłby tam zapewne nie mało do zarzucenia; wyśmiałby do woli niepłynność francuzkich frazesów, niewykończoność salonowej szykowności i brak tej modnej kokie-

teryi, którą do takiego stopnia bezczelności doprowadziły w one czasy niektóre lwice — ale, zato czy ten świat wielki, taki świetny, ułudny na pozór, pochwali się taką prostotą uczuć, jednością zdrowego rozumu, takim ciepłem życia, ogniem zapalów chwalebnych? Cześć więc niech będzie naszym zagrodowym matronom! cześć naszym młodym kobietom! naszym świeżym i niepokalanym dziewicom! Tu miejsce zawołać słowa jednego z moich przyjaciół, co się czasami dopuszczał rymowania w sposób księdza Baki:

Mój kochany! wierz,

Na wsi żonę bierz!

Więś nie zdradzi — zdradzi świat —

Sapienti sat!...

I męskie grono rosło, co chwila. Nie wielu tam miała reprezentantów krew karmazynowa i szlachecka poczciwość, ale zato ilu genialnych mężów naliczyć mogłeś! jaki kwiat parweniuszowstwa! jakie fenomenalne rozумы! Boże uchwaj! A każdy peroruje ni w pięć, ni w dziewięć; plecie koszałki opałki i smalone duby; każdy tnie na oślepy gordyjskie węzły najzawilszych kwestyj; przeczy temu, o czém nie ma wyobrażenia; potwierdza to, czemu właśnie należałoby przeczyć, zbija prawdy niezbite, a na ich miejscu sadowi błąd, fałsz i urojenie!

Pomiędzy tymi ostatnimi, najczynniejszą grał rolę pan Kleofas Tokowski, szlacheć wątpliwy, niegdyś pisarz prowentowy w skarbie Tulczyńskim, a teraz powiatowy marszałek, *ergo* Jaśnie Wielmożny, choć mówiąc prawdę i nie jasny, bo ciemny, i nie wielmożny, bo mało mogący. Pyszny z dostojęństwa, pan marszałek nie sądził, żeby zdanie jego, w jakiejkolwiek materji, mogło nie być normą i prawem dla reszty śmiertelnych, i w tém przekonaniu nie żenował się wcale i paplał niestworzone dziwy. Byli tam wprawdzie i tacy, co go mieli za fałszywego proroka,

alias kuglarza, a do ich liczby i pan Próźniński należał; ale większość w grubém pogrążona zaćmieniu, brała dymne światelko marszałkowskiego dowcipu za słońce, i hołdowała szczerze jego geniuszowi. Górującą dążnością pana Tokowskiego było: uchodzić za personata, mającego wpływ w rządzie i arystokratyczne stosunki. Tego mało: chorował na rozum książkowy, chciał, by go miano za człowieka uniwersalnego, za fenomen-dziwo, cud! Lecz jakie były prawa pana Tokowskiego do żądzy podobnej, dowiedzieć się było można z dyskursu, jaki się toczył, przy ponczyk i fajeczce, na galeryi pałacowej, w którym pan Tokowski co chwila składał dowody najopłakaniejszej ignorancji.

W sali balowej tymczasem grzmiała orkiestra nadworna i liczne tłumy różnorodnych gości snuły się bezładnie. Orkiestra godną była towarzystwa i na odwrót. Pomiedzy instrumentami, jak i pomiedzy gośćmi, równa niełączność i niezgoda. Ten do sasa, ów do lasa. Oboj przedrzeźniał waltornię, waltornia puzona, skrzypce skowyczały nieznośnie nad uchem poważnej gwardyoli, usiłującej nadaremnie ten rój rażących tonów gęstym rozmachem smyka rozpedzić. A tu, na licha, i klarynet puszczał swoje gęsiory, i fagot dziwacznie bzdurzył, i trąba opętana gwałtowała Bóg wie czego w niebogłoty. Istna kakofonia!

Najmniej estetyczny z parweniuszów, pan X. rozpływał się z radości, że jego rzępiciele tak donośnie grali, tyle robili hałasu... Próźniński obdarzony większym instynktem piękna, czy więcej obeznany z dobrą muzyką, zatykał bawełną uszy, pod pozorem fluksyi, rozwodząc się wszakże z pochwałami nad mistrzowską precyzyą i zgodnością orkiestry, czém wielce łechtał dumę pana X.

Młódź, mniej dbająca o doskonałość wykonania, zamiast przyganiać niestrojności ogólnych akordów, i fałszywemu brzmieniu pojedynczych tonów, wołała oddać się zabawie i płasom, machnąwszy ręką na resztę. Pod wpływem sympatyj, lub interesu, to

jest wdzięku lub posagu, wiązały się taneczne pary; i płód obecnej chwili, nie jeden los kształcił się tajemnie.

Tańczono mazura. Niech tam sobie mówią, co chcą, ale nie ma tańca nad mazura! Zachwalone niegdyś menuety, gawoty, rygodony, które z Wersalu i Tryanonu, rozbiegły się po Europie pod firmą mody i dobrego tonu, były niczem innem jak suchą gimnastyką nóg, surowo ocyrklowaną prawami ruchów, sztucznych wprawdzie i zręcznych, ale tak dalece sztywnych, obojętnych, magistralnych, że się prawdziwie nie chce wierzyć, żeby żywość francuzka mogła w nich kiedykolwiek gustować.

Walc niemiecki, cieplejszym pałający życiem, więcej daleko zapala, porywa, unosi; to prawda; ale jakież jest realne znaczenie tego monotonnego, że tak powiem, kręcenia się, jakby w szale ekstazy derwiszów, albo po opiciu się belladoną?

Jeżeli wale ma wyobrażać wir czasu, unoszący doczesność ku przepaściom wieczności, to któż nie przyzna, że ta idea właściwsza dla pogrzebu niżeli dla balu, dla smutku, niżeli dla wesela?... Lipowczyński utrzymywał, nie bez ironii, że ten taniec wymyślonym został zapewne przez jakiego głębokomyślnego Niemca, jako środek odkręcenia głowy, która mu się od Kantów, Heglów, Szleglów, Szlejermacherów zakręciła.

Hiszpańska kaczucza, to co innego! W niej pała niebo południa; odbija się cała rozkosz, gracia i namiętna uczuciowość krainy laurów, pomarańcz, legend miłosnych, zefirów Sierry, i słońca. Poezyą ruchów i pozy, grą oka, uśmiechu, taktu i nuty pełnej brzmień wymownych, taniec ten jest wiernym choreograficznym wizerunkiem narodu i kraju; tłómaczem ducha Hiszpanii i natury, epopeją miłości, i jej zachwyty czarownych, jednoczących dwie chęci, dwa uczucia, dwa istnienia, na hasło uderzeń serca i kastaniety.

Kaczucza, jest-to uszlachetniony tan Alm Wschodu, i Bajadererek Hindostanu; mniej dziki, lubieżny, cielesny; więcej poetyczny, i duchowy, lecz równie namiętny, i jednostronny, bo

nie innego nie wyraża, oprócz miłości, do niczego innego nie dąży, jak do uciechy.

W mazurze, przeciwnie; jakie bogactwo znaczenia! jaka różnaitość idei i dobitność rysów moralnych narodu! — Tkliwość i prostota, dobroduszość i zapał szlachetny, dzielność, odwaga i heroizm, słowem cała charakterystyka sarmackiej natury, zdolnej kochać sercem, maluje się żywo w tych ruchach, to skromnych i układowych, to różnych, śmiałych i swobodnych. W nucie mazura i rytmie, technie życie całą pełnią; śpiewa ton rzewny czystej, duchowej miłości dla kobiety.

Patrz! jaka dzielność i powab jaki w tym hożym młodzieńcu, co z tą świeżą i nadobną dziewicą taneczne koło obiega! Skoczyli, unieśli się i krążą. Ona zakwitła rumieńcem, zajaśniała okiem, i odrodzona w natchnieniu, złączyła swój polot z polotem młodzieńca. On jęj druh, przewodnik, opiekun; on jęj obrońca w niepewnym zawodzie żywota.

Uspokoił ją uśmiechem: zniewolił wejrzeniem; i nuż! dalej i dalej, zawsze razem, zawsze zgodni wrazeniem zmysłów i ducha!

Gdy się rozbiegną — to na chwilę; gdy się znów zbiegną — to z uniesieniem. Oko w oku, dłoń w dłoni, życie w życiu, tak oni tańczą, tak obiegają czarodziejskie koło spólnych przeznaczeń, nierozdzielnego bytu.

Pani X. tańczyła w pierwszej parze, z tęgim jakimś i przystojnym młodzieńcem. Kawaler wart był damy, i na odwrót. Wszystkie oczy spoczęły na nich. Do pani X. pięknej, szykownej i powiewnej, zastosować można było następny wierszyk Lafontena:

Mille fois plus légère

Que ne dansent aux bois la nymphe et la bergère;

L'herbe l'aurait portée, une fleur n'aurait pas

Reçu l'empreinte de ses pas...

Co do pani Kunegundy z Trzaskałowiczów pseudo hrabiny Próźnińskiej, wypasłej połowicy męża, który sam był nie więcej jak ćwiercią swojej żony, ta siedziała nieporuszona, gdyby Sfinks egipski, złorzecząc zapewne w duchu niemożności być spółniczką mazura.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Rozdział I.

Wyjazd z Łapigroszek. — Futor Zarudeński. — Wschód słońca. — Opowiadanie.

Nazajutrz o świcie opuściliśmy Łapigroszki. Jużemy ujechali z pół mili, gdy słońce wschodzić zaczęło i obszar stepu roztoczył się do koła bogatym malowidłem zjawisk.

Z lewej strony, podobny cienistej oazie, czerniał opodal futor Zarudeńskie, ulubione miejsce pani X. Nad białym domkiem, przeglądającym się w spokojnej toni jeziora, strzelał wysoko rząd piramidalnych topoli.

Niżej chwiały się brzozy płaczące, i kilka dębów starców dumowało. Stodółka, szopka i żóraw kryniczny, dopełniały wiejskiego obrazu, co się o tej porze iskrzył uroczym pryzmatycznymi połyski rosy i cudnie barwił grą światłocienia. Z prawej strony, step biegł daleko, aż do ostatnich krańców widnokregu, gdzie w siniej przepadł pomroce, gdyby w morzu tajemnic bezdennym. Przed nami majaczyły odległe lasy, i orzeł, król stepu, pławił się w obszarach.

O jakże było wspaniałem to wstąpienie słońca na niebo! Jak

wielką i uroczystą była ta chwila, budząca zachwyt w duszy, a następnie modlitwy i cześć należną Bogu. Krzyż wysoki z wyobrażeniem męki Pańskiej wznosił się na szczycie kurhana. Zbliżyliśmy się doń i zlazłszy z koni, padliśmy przed nim na kolana. Po pacierzu Lipowczyński zaintonował hymn Karpińskiego „Kiedy ranne wstają zorze“, hymn uroczysty ideą przymierza wszystkich żywiołów świata z duszą człowieka, w czynie czci i miłości dla Stwórcy. Chociaż nie posiadam głosu dźwięcznego, a ztąd nie mam zwyczaju popisywać się ze śpiewaniem, przecież tą razą mimowolnie pierś tonem zabrzmiała i podniosła się w pienu natchnioném ku niebu. Lipowczyński był niemniej wzruszonym.

O wiorstę bez mała za Łegiedzyną, po nad samym humaniskim szlakiem, szumiał bajraczek samotny. Koń spętany pasł się w zarosłach i człowiek jakiś, dość podtatusiały, chociaż jeszcze rzeźwy, siedział na rowie i palił *bakun* z krótkiej *nosohrejki*. Zachciało się i nam fajeczki; a że i koniom naszym nie wadziło odpocząć, pozdrowiwszy przeto po ukraińsku nieznanomego, usadowiliśmy się przy nim na rowie i wkrótce dym naszego *diubeka* zmieszał się w powietrzu z dymem plebejskiego *bakunu*.

Nim przystąpię do bliższego poznamienia czytelnika z samotnym właścicielem owęj ponętnej *nosohrejki*, co w nas obudziła chętkę do fajeczki, opiszę w krótkości jego powierzchowność.

Miał na sobie płócienne szarawary w buty i *mereżoną soroczkę*, grubą, ale czystą. Pas czerwony, związany grubym węzłem z lewego boku, obwijał szykowną kibić, wystrzeloną wysoko. Switka z białego samodziału, zalecająca się kapiszonem, obszytym czerwono w esy floresy, leżała przy nim na trawie. Na głowie miał długą baranią czapkę, czarną i nieco węższą u wierzchu; a nóż wielki, składany, sterczał mu za pasem, opatrzony mosiężnym łańcuszkiem, którego koniec przeciwny krył się gdzieś tajemniczo za *oczkurem*. Przez plecy wisiał na rzemyku nahaj kozacki. Nos orli, bystre czarne oczy, wąs krzaczysty, biały i nadzwyczajnie długi, dopełniał całości obrazu, którego cecha

ogólna zwiastowała niepospolity rozwój siły ducha i ciała, obok sercowej tęsknoty, powleczonej sarkazmem. Brody nie nosił wcale, co kazało mniemać, że albo miał dworską służbę w domu obywatelskim, albo był niegdyś żołnierzem, i zachował dotąd nałóg dbania o powierzchowność swoją, czém się lud prosty bynajmniej nie odznaczał. Sądząc z pozoru, mógł mieć lat sześćdziesiąt. Spreżystość i siła przebijały w każdym jego ruchu. Cechą zaś twarzy, pełnej energicznej determinacji, naprowadzał na myśl, że pochodzi z gniazda orlego, i pierwiastkiem rodowym różnił się od miejscowego ludu.

— Dobry koni u was, — mówił po ukraińsku, wpatrując się w nasze konie, które dostojny Janko Smalko, nasz pachołek, wodził po szlaku dla ochłody.

— A wy znacie się na koniach? — zapytałem.

Zaśmiał się cichym, wewnętrznym śmiechem na to pytanie, i rzekł:

— Ja jeździł na takich koniach, jakich wam ani widzieć; ale to było dawno, bardzo dawno.

Po tych słowach wstał, rów przeskoczył, i poszedł do naszych koni, by się im zbliżka przypatrzeć, czego dopełniał z całą bacznością znawcy, nucąc dumkę zaporozką:

Oj! życie nasze mynułesia,

Żytje burłaćkoje!

Kołyb ono wernuło sia,

Sławne żytje kosaćkoje!

Hej bratcy! woźmyte w ruky

Pisoczku — taj posijte;

Oj, todi ono wernetsia,

Jak toj pisoczok zyjde!

Gdy powrócił i na dawnym usiadł miejscu, zapytał go Lipowczyński, azali nie wiedział, kto ułożył tę dumkę, co nucił dopiero?

Nim starzec odpowiedział, przeszło kilka minut; w końcu

jakby zbudzony ze snu, spojrział na Lipowczyńskiego i przemówił:

— To duma na śmierć Siczki Zaporozkiej! — Teper znajesz?

— Znam! — rzekł Lipowczyński — ale z kądżeś się jej nauczył?

— Z kądem się jej nauczył? — przerwał niecierpliwie starzec — i kto ją ułożył? — Nauczyłem się w koszu; a dumę tę ułożyły tam, i duch kozaczy, i wicher stepu, kiedy Sicz upadła, a z nią ustało nasze kozackie życie! — Miałem wtedy dziesięć lat, i pamiętam wszystko jak dziś, choć to było dawno — bardzo dawno!

I znowu zanucił tęskno:

Oj! iz za zełenoho haju,
Czerwonoje sołnyczko ziszło,
Oj! iz ruskoho kraju,
Wełykoje wijsko pryszło...

Zajęcie Siczki przez rosyjskiego generała Tekeli, z rozkazu Potemkina, oraz ostateczne rozwiązanie zaporozkiego wojska, miały miejsce w sam dzień Zielonych Świątek roku 1775. A więc nieznamy miał 93 lata wieku!

W najwyższym stopniu zainteresowani oglądaniem tak ciekawszego zabytku słynnej Rzeczypospolitej Zaporozki, postanowiliśmy wy badać ze starca, ile się da wy badać.

On dumał głęboko, a żaden z nas nie śmiał przerywać dumy jego.

Nie długo jednak trwało jego milczenie. Przepelniona wrazeniem dusza starca, musiała je przelać w słowa, wyłonić w pofuńnym wyznaniu, wysławiać wobec stepu, który ją wypielęgnował.

— Posłuchajcie szczo wam skazu! — zawołał gorączkowie starzec, biorąc na przemian za rękę to mnie, to Lipowczyńskiego — Ludzie mówią: *w pieśni prawda, w skazci brechnia*. Bywa to!

bywa! Ale ja wam opowiem prawdę w skazce i zaśpiewam w pieśni; bo Zaporoziec nie Lach. U niego nie ma chytryści, a prawda jego naturą, jak wojna i wolność.

Czy chcecie, żebym wam powiedział, z kąd ja wziął się na świecie? Kiedy chcecie, to powiem. Moi rodzice żyli w Łegiedzynie. Za siołem od zachodu była chata; a około chaty wiśniowy sadek; a za sadkiem ług zielony nad wodą. To była nasza *sadyba*.

Kiedy kończyłem siedm lat, nie było tęższego odemnie chłopca w całej Łegiedzynie. A taki byłem swawolny, że ani momentu nie posiedziałem na miejscu. Wszędzie mnie było pełno, i tam, i siam, a zawsze tam gdzie nie potrzeba. Czy gdzie bywało koń chodzi na paszy; już skoczyłem na niego, i latam po stepie. Czy gdzie dojrzę krowy na łące; to i na krowie haruję. Ona wierzga, a ja śmieję się do rozpuku, trzymając się oburącz za rogi. Aż tu leci za mną pastuch i gwałtuje; gonia psy z okropnym hałasem; nie pomaga! Oni swoje, krowa swoje, a ja swoje. Słowem sam by czort nie doszedł ładu. A ile to ja dostał szturchańców, i niuchańców od ojca i matki... ani policzyć! Nie pomogło! Urodziłem się nie do pługa, ani brony, ale do konia i szabli. Tak powiedział ojciec i tak wyszło.

Tym sposobem dożyłem dziewięciu lat wieku. Byłem największy z moich jednolatków i najsilniejszy. Bali się mię jak ognia, bo też naczubiłem ich do woli.

W same żniwa, była to niedziela — nzbierało się do karczmy mnóstwo ludzi, młodyc, dziewczek, i bab, słowem tłum. *Muzyki* *) wycinali takiego kozaka, że aż mnie smarkaczowi same nogi skakały; cóż dopiero starszym? Jakoż hulali, hulali, bez końca, karczma trzęsa się od hołubców i okrzyków; a *med*, *horyłka*, i wiszniak, lały się jak woda.

Kiedy tak hulają i tną obertasy, weszło dwóch ludzi nieznanomych. Mieli na sobie czerwony *każan* kozacki, przepasany

*) Muzykanci.

w stanie *pojasom* szalowym; szarawary sukienne granatowe; *czoboty* z krasnego safianu; a z pod czapki kabardynki z czarnego baranka, wyglądał u obydwoh *osełedec* zapleciony w kosę, i taki czarny jak ich ogromne wasy, co szły od ucha do ucha. Tęgie to byli chłopcy!

Skoro się ukazali, dziewczki i mołodyce na nich zérk, zérk! a parobkom aż w oczach *posotowiało* od zazdrości! a oni jak zaciągną na całe gardło:

Da burłacze, burłacze,

Mołody kozacze,

Da szczo ty zaroblajesz

To i te propywajesz;

A jak zahulajesz

Muzyki najmajesz!

Z ostatniem słowem sypnęli po garści *karbowańców* muzykom, i roztrąciwszy tłum zdziwiony, puścili się w tan po zaporożku. To się pomykali jeden do drugiego i nazad powracali *podboczywszy się licho*, i przeskakując z nogi na nogę; to lżejszym ruchem niesieni sypali *dribneńkiemi* kroczi, jak maczkiem, schodząc się i rozchodząc naprzemian. Zapał rósł co chwila, i co chwila wzmagała się ognistość tańca. Coraz więcéj twarz się rumieniła. Pokręcili wása, czapki na bakier wsadzili, i mierząc dumnie tłum zachwycony, szli w tańcu i żywiéj, i nagléj, i posuwiściéj, jakby wróg na wroga. Ten knuje napad, tamten go unika; to się jeden w *prisiudach* zaczai, to drugi. W końcu zaniechali zasadzek i wykrętów; męztwo zawrzało w sercu. Już się rzucili podskokiem na siebie; zagrzmieli strzałem hołubców i podkówek; drażnili się wzajemnie szyderstwem i przechwałką; kaleczyli grotem wejrzenia i niewzycięzeni obydwaj, zawodzili na całe gardło:

Kozak pana ne znaw z wika,
Bo zrodywsia na stepach,
Ptakom stawsia z czołowika,
Bo wzrys w kińskich stremenach.

Gdy skończył piosnkę, starzec zamyślił się na chwilę. Potém rzekł do nas:

— Wam, Lachy późno będzie. Jedźcie, kiedy macie jechać. Noc nadchodzi. Szukajcie wygodniejszej gospody od stepu. — Ja zostanę sam — wszak zawsze jestem sam.

— Nam nie śpieszno — odpowiedzieliśmy. — Step dla nas nie straszny; a jeżeli to nie zrobi tobie przykrości, przenocujemy razem po kozacku.

— I owszem, i owszem — ozwał się starzec uprzejmie. — Jak widzę, to wy dobrzy ludzie; nie gardzicie sierotą, nie strońcie od biednego starca. A gdzież lepiej wysłuchać dziejów syna stepu, jak nie na stepie? *Spasybii* wam!

Skutkiem tedy przedsięwziętego noclegu, kazaliśmy rozsiadłać konie, i spętane puścić na paszę w ostępie *bajraczka*. Z obawy zaś, żeby się i naszym żołądkom nie zacheiało gwałtować z głodu, posłaliśmy dostojnego Smalka do sioła po pro-wiant.

Skoro odjechał nasz Merkury, starzec powstał żwawo i oddalił się w gęstwinę, wzywając nas z sobą. Celem wyprawy było zaopatrzenie się w suszniak na ognisko. Chętnie przystąpiliśmy do pracy; lecz ku wielkiemu wstydowni naszemu przekonaliśmy się, niestety, że chociaż młodszy daleko, nie mogliśmy jednak sprostać starcowi w zręczności i pośpiechu. Nim który z nas zdołał nazbierać swoją wiązkę chrustu, już on kilka większych nierównie wiązek zgromadził i zaniósł do legowiska naszego.

— A szczo? — mówił z uśmiechem starzec. — Moja to rzecz, a nie wasza. A jednak dźwigam na sobie cięższą od waszej wiązkę lat, przygód i niedoli!

Wkrótce urosł spory pagórek paliwa. Wesoły ogień buchnął do góry, jakby na powitanie księżycy, który w tej chwili, połowę swój srebrnej tarczy nad stepem ukazał. Cudowną falą technień i balsamów rozlał się wieczór dokoła. Cudowną falą błękitu i złota, rozlało się wieczorne niebo. Starzec tonął okiem w przestrzeni, jakby wywoływał z jej głębi zjawiska zdarzeń ubiegłych, postacie lat zeszyłych, lub duchy przychylne zmarłych towarzyszy swoich. I my także z Lipowczyńskim, każdy z osobna, goniliśmy marę naszą, wpatrując się z hołdownym zachwytem w ten obraz uroczy natury. Z dala dochodziło nas szczekanie psów sioła i ryk bydła, wracającego do zagrody. W powietrzu snuły się przelotne powiewy i brzmiały znikome odgłosy. Swawolny zefir gonił za zefirem, a każdy unosił śpiesznie zdobycz swoją: to strofę urwaną jakiegś odległej piosenki, to dźwięk jakiegoś wołania, to nutę pastuszej *sopiłki*. Czasami i cięższy ładunek tonów drażnił ucho nasze: albo szum daleki sitowia i burzanów stepowych, albo przeciągłe roztrącanie się fal jeziora o brzegi, albo nakoniec huczne okrężne młyńskiego koła ze swoją pokrewną Najadą.

Nagle usłyszeliśmy tentent cwałującego konia. Donośnie brzmiały bystre kopyta pośród milczenia obszarów. To wracał nasz goniec z Łegiedzyny. Przywiózł chleba, soli, słoniny i torbeczkę kartofli; a więc pokój wstąpił do naszych żołądków.

Kiedyśmy po dopełnionym podziale prowizyi usadowili się koło ogniska, gdzie się miało odbywać auto-da-fé nieszczęsnej baraboli, starzec ozwał się w te słowa.

— Zapomniałem wam powiedzieć, że mój ojciec Hnat Hordyj nie był *tuteszny*. On był stary Zaporoziec i człowiek *prowordny*. Nie zląkłby się samego *bisa*, a co ludzi, to miał za nic. Zdarzyło się tak, że ataman koszowy potrzebował posłać kogoś sprytnego do gubernatora ekonomii humańskiej. Asauł wojskowy nie znalazł sprytniejszego, i Hnata Hordyja posłano.

Sprawił się gracko w Humanu, a odebrawszy odprawę,

puścił się napowrót do Siczy. Aż tu jemu *bis* szepnął na ucho: „Zajedźno do karczmy w Łegiedzynie!“ Rad nie rad musiał zjechać. Ludzie hulali, i on zahulał. Ludzie pili, i on z nimi czarki wypróżniał. Nie ma w tém nic złego? Nie prawdaż?—Ale tam była w karczmie harna Tetjana, córka Sawy Tuponosa, najbogatszego gospodarza w Łegiedzynie. Pogawronili na siebie, potańczyli, pogawędzili, i pokochali się.

Krótko mówiąc, Hnat pojechał do Siczy, zdał sprawę atamanowi koszowemu z polecenia; a potém, powrócił do Łegiedzyny i ożenił się z *harną* Tetjaną.

Ot, z kąd wziąłem się na świecie. Widzicie teraz, żem nie sroce z pod ogona wyleciał, a że taki pochodzę z rycerskiego gniazda.

Otóż jakem obaczył w karczmie tych dwóch zuchów Zaporozców, co tak *lich*o tańcowali, zawrzała we mnie krew kozacka i duch zaporozki zakipiał. Choć nie miałem jeszcze nad dziewięć lat, tak mi się zachciało odetchnąć stepem, pohulać z wichrem, zamienić głuchoe dnie wiejskie na dnie gwaru, trudu, polotu, że sobie dać rady nie mogłem. Napróżno mówiłem do siebie: Spirydyonku! ty jeszcze smarkacz! Spirydyonku! *na jakoho bisa* ty zdał się komu na Siczy? Spirydyonku! Ciebie wezmą djabli w drodze! — Nie mogłem wybić sobie klina z głowy! ani weź!

Czy chcecie wiedzieć co się stało?

Stało się bardzo naturalnie. Tójże nocy uciekłem z Zaporozcami.

Lipowczyński. — Jakże uciekłeś?

Spirydon. — Jak? — Podobałem się kozakom i wzięli mię z sobą.

Ja. — Na czémże uciekłeś?

Spirydon. — Na czém?—Jużciż na koniu. U nich było dwa. Trzeciego uprowadzili ze skarbowego tabunu i mnie dali.

Lipowczyński.—A nie byłoż tobie żal ojca i matki?

Spirydon. — *Taj* cóż że było? Jużciż było. Nawet był taki moment, że wróciłbym z drogi; kiedyż nie było można.

Ja. — A to czemu?

Spirydon. — Coś pędziło naprzód; ot tak, jakby kto arkanem ciągnął za szyję. Zawrócić nazad, ani sposobu! A chciało się serdecznie. Ten żal i ta chęć trwały, dopóki słychać było szczenie psów rodzinnego sioła. Kiedy zrobiło się cicho i nie już ztamtąd do mnie nie dochodziło, uspokoiłem się stopniowo. Lecz kiedy mię owiało stepowe powietrze, i pierś wypełniła się świeżością obszarów; kiedy miesiąc osrebrzył trawy pustyni, i na dal głęboką, co nas czekała, rzucił świt jasny swego blasku; kiedy nakoniec przysłuchałem się lepiej całej téj dziwnej i nowój dla mnie muzyce szumu burzanów, szelestu oczeretów, świstu w *bałkach* i *komyszach*, gwaru stad, tabunów, *wałek* czumackich i tententu naszego własnego cwałowania; o! wtedy tak mi się zrobiło na sercu, jakbym nigdy niczego i nikogo nie żałował! wtedy zdało mi się, że nagle z lat dziecięciu wyrosł na dwadzieścia! że nagle z dziecka zmężniał w czło-wieka! i umem dojrzał, i duchem wybujał, i ciałem stwardniał jak skała! *)

Nie wiem ileśmy wtedy mil ubiegli. Noc jeszcze była, kiedy Zaporozce, pogwarzywszy z sobą, zwrócili kręto w prawo i zapadli do głębokiej *bałki*, gdzieśmy pozłazili z koni.

Jeden z nich wyszedł na czysty step i zawył: „*Pugu! pugu! pugu!*”

Na to hasło ozwał się ktoś opodal: „*kozak z Ługu!*” **) — i nie uszło kilka minut, jak dwóch nowych Zaporozców nadjechało, co widać siedzieli na czatach. A gdy nadjechali, coś z sobą pogawędzili, czego nie mogłem zrozumieć, a ciągle

*) Nie zmieniłem myśli *Spirydona*. — Zmieniłem tylko słowa, co odjęło największą wartość całemu temu ustępowi.

**) Zwykle hasło Zaporozców.

pokazywali na mnie. Potém zlazłszy z koni, dostali z trok *pastramy, pastrydy* i *zahrebów* *), i zaczęli posilać się, usiadłszy w kółko na trawie. O mnie także nie zapomnieli, z czego byłem mocno uradowany, bo mi się szalenie jeść chciało.

W trakcie tego jeden z przybylców kopnął mię nogą tak silnie, że aż wywróciłem kozła. Tamci w śmiech, wzięwszy się za boki. Złość mię porwała szalona! Jak skoczę, jak wyrnę w mordę, jak porwę za łeb winowajcę, aż zaskowyczał z bólu. A tamci krzyczą: *dobre! dobre chłopcze! — teper ty nasz!* — Pokazało się, że to była tylko próba. Umówili się pierwój.

Wskutek tego nastąpiła zgoda. Mój przeciwnik i ja, pocałowaliśmy się serdecznie; i uważałem że stanąłem w ich opinii wysoko.

Gdy się dobrze posilili, koledzy moi rzekli do przybyszów: „*Wy spały, a my ne spały — idit na beketu!*“ — „*Dobre*“ odpowiedzieli tamci. Tuż za bałką stał majdan rozkopany w środku. Tam oni powiedli konie i zapadli w kotłownię, a my, ułożyliśmy się na ziemi pokotem. Wkrótce zasnąłem głęboko.

Ponieważ w podróży naszej do Siczy nie się nam nie przytrafiło ciekawego, nie będę się nad nią długo rozwodził. Mieliśmy trzy przeprawy do Dniepru; przez Siniuchę, przez Inguł i przez Ingulec. Przebiegliśmy kawał stepu Nowej Serbii, ziemię Bohogardowej pałanki i kodackiej pałanki, jadąc pośpiesznie i nocując pod gołem niebem i na gołej ziemi.

W miarę jakieśmy się zapuszczali w posiadłości Kosza, coraz gęstsze napotykaliliśmy kurenie, reduty i figury, a w nocy zatrzymywały nas kozackie *bekety*, co pilnowały stepu z kurhanów. Nigdy więcćj nie stawało kozaków na *bekecie*, jak jeden, dla różnicy od Nogajów, co wyjeżdżali kupami na majdany, albo kurhany. Reduty i figury stały od strony hetmańszczyzny i od koczowisk tatarskich, to jest od rzeczki Oreli do Konki, co

*) Baranina wędzona.—Pastryda, suszona ryba.—Zahreby, placki pszenne.

to ją nazywają Końskie Wody. A chcecie wy wiedzieć co to takiego było? Jeżeli chcecie, to powiem.

Lipowczyński. — Prosimy.

Spirydon. — Redutami nazywano na Zaporozu, wielkie budynki, pokryte oczeretem, albo mchem, i otoczone parkanem. Reduta od reduty stała w takiej odległości, żeby sobie były widzialne. W każdej bywało po 50 kozaków z asaulem dla pilnowania stepu. Były tam i stajnie dla koni. — O jakie pół wiorsty od takiego szańca stały figury, to jest rodzaj wież, czy baszt, z dwudziestu smolnych beczek ułożonych wysoko. Przy tych figurach czuwała wiecznie straż, z kilku kozaków najprawniejszych i tego uzbrojonych. Skoro tylko bekety, albo podjazdy zoczyły horde, co szła rozbiegiem ku granicy, czy to hetmańszczyzny, czy to zaporozia, wnet pędziły do reduty, były trwożę, a asaул wypadał z kozakami do figury i zapalał beczki. Za ukazaniem się ognia, inne reduty robiły to samo; a tak, w jednej chwili cały step wiedział że horda idzie i stawał do broni.

Lipowczyński. — O! cudny to musiał być widok tych wież ognistych, płonących hasłem boju!

Spirydon. — Prawdu skazawes Lasze! — Cudny to był widok! — Może myślicie, że tylko jedni kozacy stawali wtedy do broni? — Nieprawda! — Wszystko co żyło na stepie, brało się do oręża. — Byle ujrzeni hasło figury, tabuńszczyki *) wyciągali z burzanów, albo z jakiej rozpadliny, spise, nieraz doświadczoną. Skotar **), wieczny koczownik pustyni, brał się także za jakąś broń, co krył w swoim koszu ***). Czumak, co albo słyszał o czambule, albo już bywał w takiej tarapacie, nie szedł, ma się rozumieć, na Don po rybę, lub do Perekopskiej-Basztty po sól, bez rusznicy, i uzbrajał się nią w razie potrzeby. Słowem, step

*) Strażnik tabunów.

***) Pastuch.

***) Szałas na kołach.

najeżał się bronią. — Nie było majadana, gdzieby nie siedziały czaty. — Nie było bałki, rozpadliny, komyszu bez zasadzki. — Wszędzie sterczało ostrze spis, lub szabli; wszędzie rusznice i pistolety czekały w pogotowiu; a po osadach i zimownikach śpiewano dla ochoty pobudkę kozacką:

Oj! bat'ki, zbirajcie drużynu,
Chodim wraba byty!
Beryt' i mału detynu
Szob znała jak wrażoho syna łupyty!

Lipowczyński. — Byłżeś kiedykolwiek świadkiem boju?

Spirydon. — Nie łów ryby przed niewodem. — Poczekaj Laszeńku, a doczekasz się. — Nie myślcie, żeby to, co wam opowiadałem, było zamego czasu jak dawniej. Było to coś podobne go, ale niezupełnie tak. Step tylko, dzieło Boże, pozostał taki, jaki był, piękny! wspaniały! bez granic! — Słyszałem ja na Sicy dumi i skazki o Daszkiewiczu Ostafim, o Bajdzie *) o Swirgowskim, o Serpiaże, kiedy Siez siedziała na Hileju i na Czar-tomełyku. Śpiewano tam i gadano o Sahajdacznym Konase-wieczu, o Sierku, Pawluku i Skołożubie. Inaczéj wtedy żyło kozactwo! inaczéj biło! Gdzie bywało powieje zaporozka cho-ragiew i zabłyśnie spisa, tam bieгло śladem zwycięztwo, i nie-przyjaciel upadał! Lecz nie tak działo się już na Sicy, kiedy ja do niéj przymandrowałem! — Nie tak działo się!

— U *Nikitina przewozu*, na Dnieprze, zebrała się była z *Czarnego Szlachu*, wielka moc czumackich wałek. Szły do Krymu po sól, wełnę, i wino. Niektóre miały zajść na Don, po rybę. Każdy z czumaków **) miał przy sobie to rusznicę,

*) Książę Dymitr Wiśniowiecki.

**) Czumak miał także zawieszony przez plecy haman skórzany, a w nim jarłyk swojej ekonomii, po rusku i turecku, dla pokazania murzom, albo

to nóż szeroki. Inni mieli długie spisy, i berdysze. Gotując się do przeprawy, wysmarowali swoje koszule i szarawary dziegciem, od robactwa i dżumy, i chodzili jak djabły, przyrządzając jarzma i maże.— Łatwo pojmiecie, jak ciekawie przyglądałem się temu wszystkiemu, i jak mię nowość tego widoku bawiła. Ruch, życie, gwar, wołanie, pieśni i dumy, brzmiające tęskno w cieniach wieczora; ryk bydła, i tentent koni, i ten Dniepr, jak step bez krańców, i ta przyszłość moja głębsza jeszcze od Dniepru, bo niepewna, wszystko to przenikało mię, i radością, i podziwem, i tęsknotą, i wahaniem się, i zapałem nad lata. Słowem, działo się ze mną, jak to powiadają, *ni teje, ni seje*.

Jeden tylko Zaporoziec pozostał przy mnie; tamci gdzieś poznikali w tłumie. Był-to dobry i dzielny, chociaż już nie młody kozak; niegdyś *mołodyk* asauła wojskowego, Sydora Biłaho, a teraz *towarzysz* kurenny. Nazywał się Opanas Sowa; bo kiedy bywało stał w nocy na bekecie, to tak zawodził jak sowa, żeby ostrzedz inne bekety i podjazdy, że ktoś cudzy wałęsa się po stepie. Nie było zimownika, ani kurenia, ani pałanki na całym Zaporozu, gdzieby nie znali jego i nie lubili. On był sławnym bandurzystą; grał na teorbanie i śpiewał dumy; a skazek umiał co niemiara.

Puściliśmy konie w pętach na paszę, a sami stanęliśmy biwakiem nad Dnieprem. Słońca nie było już na niebie; a od *Starój Siczy*, co była na *Wielkim Ługu*, mandrował miesiąc czerwony. Pomędzy czumaactwem ruch ustawał stopniowo, i ogniska taborów gasły w popiele.

Siedziałem na kamieniu brzegowym, i patrzałem na Dniepr,

agom po aułach, a kajmakanom tatarskim w Perekopskiej-Baszcie. Czarny Szlach nazywał się także szpakowym, a szedł z Wołynia na Humań, Bałtę i Orlik. Karawany od hetmańszczyzny trzymały się tamtéj strony Dniepru i szły Murawskim Szlachem, koło wierzchowiny Worskły i Berestowatěj, do Końskich-Wód.

i słucałem szumu wód jego, i biegłem dumą za niemi daleko; a ta głęboka dal, a ta przestrzeń bez granic, wciągały mnie do siebie, tak, że się oderwać nie mogłem. I cóż dziwnego? Wszak nie takiego nie widziałem jeszcze; a choć dni kilka spędziłem na stepie, nigdy się nie spotkał dotąd ani z taką wodą jak Dniepr. ani z takim natłokiem zjawisk. Opanas, więcej oswojony, zestarzały w podrózach i wojaczce, zamiast dumać, jakem to czynił, rozkładał ogień na wieczerzę, zawodząc sobie jakąś odwieczną piosnkę.

Potém machnął dokądś. A kiedy wrócił, niósł w jednej ręce garnek pusty, a w drugiej konew z brahą, i na ziemi postawił. A że miał w trokach zapas żytniej mąki, więc wyspał kilka garści do garnuszka, zalał brahą i postawił na ogniu. Tym sposobem zgotował sławną zaporozką *teterę*, która, Bóg to raczy wiedzieć, czyby wam smakowała, ale co nam, to bardzo przypadła do smaku.

Nie na tém koniec. Stary Opanas był kozak doświadczony i przezorny. Wiedział dobrze, że po pracy trzeba posiłku, jak po strawie trzeba pracy. Pomandrował więc do szynku, i przyniósł drewniany *wagan* *) horyłki, pełny *michajłyk* **) miodu, torbeczkę suszeniny, i garść zamorskich korzeni na *warenychę*. A kiedy zmieszawszy to wszystko, zgotował ten cudny napój, napiliśmy się obydwaj, każdy po swojej sile, a mnie i jemu tak zrobiło się dobrze, żeśmy zapomnieli o znoju, i nowych sił nabrali.

Lud wędrowny czumaków spał głęboko pomiędzy taborem, i wielka była cichość na ziemi. Z karczmy tylko dochodził nas z daleka gwałt kozackiej swawoli; a Opanas mówił z oburzeniem, że to nasze koleżki tak ładnie popisywali się.

Miesiąc stał na niebie wysoko. Przez ostrowy dniewrowe

*) Waza.

**) Rodzaj drewnianego kieliszka.

i gęszcze komyszów, leciał ku nam od *Starój Siczy* jęk półgłośny stepowego wiatru, jakby płacz mogił zapomnianych, albo westchnienie bolesne duchów bohaterskich Zaporozża.

Opanas siedział przy ognisku i dumał. Oczy miał zwrócone ku ostrowom, gdzie pierwsi zaporozce mieszkali przed laty, kiedy im mężny Daszkiewicz przewodził; kiedy Lanckorońskiego imię brzmiało szeroko po kozackiej ziemi, i po za kozacką ziemią. Nie przerywałem dum jego, bo i mnie smarkaczowi coś się marzyło dziwnie; a choć nie znałem dokładnie przeszłości tej strony, przeczynałem *) ją, domyślałem się jej, i zdawało mi się, że słyszał głos jakiś, co z pod ziemi przemawia do mnie: „Depcesz popioły mężnych!“ Głos ten był w istocie i ja go słyszałem. On przemawiał do orlej duszy mojej, językiem odgłosów natury, tonem dum i pieśni miejscowych, co brzmiały dzwięcznie w mojej pamięci! Przemawiał szumem dniewrowej fali, szelestem trzciny i oczeretów rzecznych, westchnieniem kurhanów i stepu! Przemawiał niebem i ziemią, łoskotem i milczeniem, prawdą i błędem! bo wszystko co mnie otaczało, miało dla mnie i głos, i ruch, i objawienie; a jakem wam już pierwej powiedział, Spiridon stepu, nie był Spiridonem Łegedzyny. Duch przerosł ciało, a ciało przyjęło hart ducha!

Opanas Sowa przerwał marzenie moje. On zawiodł tęskną dumę o Swirgowskim, co przed laty hetmanił kozakom, i był postrachem Turków i Tatarów. Napiew tej dumy wielce mi się podobał. Było w nim coś takiego, co pobudzało do żalu i do oręża. Sprobuję zaśpiewać wam tę dumę.

Spiridon (śpiewa):

Jak toho pana Iwana
Swirgowskoho hetmana

*) Żałuję mocno że zepsuł cały ten ustęp natchniony, starego zaporozca. Myśl tylko jego udało mi się pochwyć.

Bisurmany pijmały
Taj hołowu jimu rubały.

Oj! hołowu jimu rubały,
Ta na buńczuk wiszały,
Ta w surmy wyhrywały,
Z jiho hłumowały.

A iz nyzu chmara stiahała,
I woroniw klucza nabihala,
Po Ukraini tumany kłała;
A Ukraina sumowała,
Oj! Ukraina sumowała,
Swoho hetmana opłakała.

Jeszcze Opanas dociągał ostatniego tonu, kiedy usłyszeliśmy nagle śpiew odległy, co zdawał się płynąć do góry, jakby wychodził z wody.

Opanas porwał mię za rękę i rzekł: „Milez!”

Głos brzmiał coraz dźwięczniej i wyraźniej, śnać zbliżał się prędko do nas. Wkrótce usłyszeliśmy następane słowa:

Spiridon (śpiewa):

Oj! w horodi w Czerkasi surmy zasurmiły,
Tak, ti lacki komysary do hetmana pryhodyły;
Oj! w horodi w Czerkasi, bubny zaorały,
Tak, ti lacki komysary do hetmana prybuwały;
Oj! zarżały koni, koni, ta pid horu iduczy,
Zahołosyły bisurmany do Kilii iduczy.
Oj! tak, pan Swirgowski do Kilii pribuwaw,
Wsich kozakiw zbyraw, taj na radu pozwaw;
Syzym orlikom litaw, jaworonkom hnawsia,
Deż to ja, myli bratja, ta ispodinawsia?...

Spodinawsia pan Swirgowski w syri mohyli,
Jak kozaky pila joho ta zahomoniły!

— Podśluchano nas! — rzekł żartobliwie poczciwy Opanas.

— Jakto? — zapytałem.

— Na moję dumę o Swirgowskim — mówił Opanas —
odpowiadają nam inną dumą o tymże hetmanie. To ktoś z na-
szych, i głos ten gdzieś słyszałem....

Po tych słowach zbiegł z krętej wysokości brzegu na dół;
a gdy ostatnie słowo pieśni zamilkło, zawołał trzykrotnie: „pu-
gu! pugu! pugu!”

Natychmiast odpowiedziano: „Kozak z Ługu!” i dwie ogromne
tratwy wysunęły się wspaniale z dniewrowego załomu na czystą
wodę. Na tych tratwach majaczyło w cieniu kilku ludzi z dłu-
giemi żerdziami w rękę, co im służyły do kierowania.

Kiedy się zrównały z Opanasem, tratwy obiegały kręty zawrót
i podeszły na kilkadziesiąt kroków ku brzegowi, a jeden z ludzi,
widać ataman flisów, zaświergotał coś do swoich, skooczył do
czajeczki, uczepionej do tratwy, i odczepiwszy ją w oka mgnie-
niu, machnął raz, drugi, wiosłem i już był u brzegu.

Tkliwe było powitanie Opanasa z nowo przybyłym. Sądzi-
łem, że byli braćmi i nie omyliłem się, bo chociaż nie według
krwi, byli sobie braćmi według serca, o czém dowiedziałem się
później z ust samego Opanasa i jego druha Kostyja Bajbuzy.

Ten Kostyj był mieszkańcem sławnej na Zaporozżu *Retmań-
skiej kamionki*, a sławnej dla tego, że tam żyli najśmielsi retma-
ni, czyli przewoźnicy tratw przez porohy dniewrowe. Kostyja
Bajbuzę znała cała Sicz za najdzielniejszego pomiędzy dziel-
nymi. Flisy, co szli od Perewołoczny, albo Kremenczuka, z ładunkiem
Ukrainy, albo Hetmańszczyzny, nie ważyli się puszczać
swojego życia na ryzyko i zatrzymywali się zwyczajnie przed
pierwszym porohem. Tu dopióro powierzali i siebie i ładunek
retmanom zaporozkim, jako śmielszym od nich i bieglejszym.

Zdarzały się jednak przypadki. Jeden tylko Bajbuza był taki gracz do wody, że choć Dniepr rozhukany wył po skałach, i wiorował w przepaściach, choć głązy Kudaka, Łochanego i najstraszniejszego z porohów Nenasytea, groziły śmiercią śmiałkowi, on zawsze wychodził ztamtąd i zdrowy i cały, i powierzone sobie trawy szczęśliwie przeprowadzał.

Nadedniem Bajbuza pożegnał Opanasa i odpłynął do swoich statków, a my puściliśmy się do Kosza.

Kiedyśmy tam przybyli, Opanas poszedł zdać sprawę z podróży pisarzowi wojskowemu, zostawiwszy mię przy koniach na Kramnym Bazarze, co był przedmieściem Kosza. Mnóstwo tam było i kramów z towarami, i szynków dla hulanki kozactwa. Zabudowania były liche, nie wyłączając nawet chat kramnych atamanów i domku *Kantarzeja* wojskowego, co pilnował wag i miar na Bazarze. Przedmieście to nazywało się inaczej *Hassan Basza*; a kto chciał jechać ztamtąd do głównej części osady, czyli właściwego Kosza, musiał przejeżdżać wielką bramę, silnie obronną.

Kiedym się temu wszystkiemu ciekawie przypatrywał, powrócił Opanas Sowa i powołał mię ze sobą.

Za bramą, o której wam mówiłem, był plac wielki, większy daleko od humańskiego rynku, co przed cerkwią Lachów. Na tym placu stało 38 budynków podobnych... ot na przykład do wielkich szop, stodół, albo magazynów. Opanas powiedział mi, że to były *kurenie*, czyli mieszkania zaporozkiego towarzystwa; a *towarzyszami* kurennymi byli tylko kozacy nieżonaci, i oni to składali właściwą *Sicz*; bo żonaci siedzieli w pałankach stepowych, w rozmaitych *usad'bach* i mianowali się poddaństwem sławnego niżowego zaporozkiego wojska.

Przeszedłszy za te kurenie, pomiędzy wałem i rzeczką Podpolną, co ze trzech stron oblewała *Sicz*, stanęliśmy wkrótce u pałanki środkowej. Tam była cerkiew Pokrowy; tam były

budynki starszyny; i tam żył sam ataman koszowy, pan Piotr Iwanow Kałnysz.

Oczom moim nie wierzyłem, kiedy mi Opanas ukazał prostą, ledwie nie nędzną chatę, i powiedział, że w niej mieszkał najstarszy wódz Zaporoża, hetman siczowych młodców. Budowana wżrąb z dębiny, poszyta oczeretem, niczém nieozdobiona, mało co większa od pospolitych mieszkań kozackich, chata, o której mowa, sprzeciwiała się tak dalece wyobrażeniu, jakie miałem o władzy jój właściciela, żem zdurniał zupełnie od podziwu.

Opanas wziął mię za rękę i wprowadził do sieni. Kozak, straszliwie wąsaty i krzepki jak dąb, stał na straży z rusznicą. Na zapytanie Opanasa: czy bał'ko był u siebie? nie nie odpowiedział, tylko ukazał ręką na drzwi atamańskiej izby, co miało znaczyć, że był u siebie, i że wejść wolno.

Weszliśmy tedy; Opanas ze spokojną bacznością, ja, z bijącym sercem. Nie było w izbie nikogo. Ściel i ściany z gołego drzewa. Stół dębowy po środku. Takież ławy na około. Obraz Przeczystej w srebrnej ryzie w kącie i przed nim zapalona lampa ze srebra. Pod obrazem, zawieszona na ćwiekach żelaznych: buława hetmańska z gałką rogatą na końcu; buńczuk z trzema końskimi ogonami; piernacz, to jest buława z sześciu piórami zamiast gałki; znaczki wojskowe, trzciny i dwa mniejsze piernacze; a na drewnianych trójnogach grubej roboty, stały pod tém wszystkiem srebrne litawry z pałeczkami do bębnienia. W przeciwnym kącie stała rusznica, a przy niej szabla i dwie spisy.

Otóż macie całą fanaberyą koszowego atamana!

— Przeżegnaliśmy się przed świętym obrazem i czekaliśmy u progu, aż się pojawi gospodarz. Tymczasem Opanas opowiedał mi po cichu, co znaczyła każda rzecz, co tam była. — Dowiedziałem się, że oprócz szabli, rusznicy i spis, co stały w kącie, reszta nie należała do atamana, a do całego zaporozkiego wojska. Były to jego klejnoty od królów lackich, od carów mos-

kiewskich, od sułtanów tureckich, albo chanów perekopskich. Koszowy był tylko strażnikiem tych kosztowności i tyle miał do nich prawa, ile każdy kozak, to jest żadnego.

Wtém skrzyknęły drzwi bokowe i wszedł ataman koszowy, Piotr Iwanow Kałnysz. Był to człowiek lat średnich, tęgięj burłaćkiej budowy, słowem zuch jeszcze, choć kudy! Wąs jego ogromny sterczał do góry po zawadyacku, ale nie czarny, tylko szpakowaty. Najdziwniejszém było to, że choć przebijał w nim duch kozacki, choć oczy miał żywe i krok żywy, i coś bojowego w postawie, jednak twarzą wydawał smutek i zniekanie, jakby mu ciężki kamień leżał na sercu.

— A to wy, bratczyku Sawo! — rzekł ataman łagodnie do mego poczciwego koleżki, — a co to za smarkacz?

— To Bat'ku — odpowiedział Opanas — orlątko z orlego gniazda; nazywa się Spirydon Hordyjezuk. Jego ojciec, Hnat Hordyj, służył dawniej w Koszu za *argatama* u wielmożnego Andrya Artymowicza Nosaka, co był sędzią wojskowym, nim nastał jego wielmożność pan sędzia Kosep.

Z kolei musiał Opanas opowiedzieć koszowemu i to, że po swojej woli drapnąłem z kozakami; i to, że wyczubiłem tego, co mnie pokrzywdził; i to, że kilka dni leciałem na koniu i nie bałem się, i na siłach nie opadłem.

— A toś mi tęgi! — rzekł do mnie koszowy i pogłaskał pod brodę.

O małym nie wyskoczył ze skóry z radości i dumy! A on mówił smutnie do Opanasa:

— Oj! bratczyku! cóż pomoże orlik, kiedy naszym szpony podpadały! — Coby to powiedziała stara Sicz Wielkiego Ługu, albo Czortomełyka, żeby *podywyła* się na nową Sicz z Podpolnej i Bazawluka? — Ty stary kozak i ja także. — Czy prawda, że to, co się teraz dzieje w Siczy, nie działo się dawniej? — My hulali to prawda, ale więcej bili niż hulali; a choć i hulali umu nie tracili, i szabli z rąk nie wypuszczali — a teraz! teraz!

Spuścił oczy i odwrócił się.

Opanas przetarł oczy, i węża poprawił.

Zrozumiałem i ja o eo rzecz szła, i tak mi się zrobiło przykro, że o włos nie zabeczałem.

Pan Kałnysz chodził po izbie zadumany. Żal i oburzenie widne były na twarzy, a czoło miał poorane w skiby głębokie. Nagle stanął przed nami, i po chwili milczenia rzekł do Opanasa:

— Bratczyku! zdaj mi teraz sprawę z tego, coś widział na stepie i słyszał?

— Nic dobrego Bat'ku!—odpowiedział smutnie zapytany.— Nic dobrego!—Kozaki, co żyją semjami w pałankach stepowych, tracą zupełnie ducha zaporozkiego, i rzadki ten, eoby nie wolał kądzieli i wrzeciona, od szabli i spisy. — Dawniej bywało, kiedy, kiedy kozak musztrował *mołodyka* *), to uczył jego modlić się dobrze Bogu, jeździć konno *rypakom* **), tego rąbać szablą, celnie palić z rusznicy, kłuć spisą jak należy—to téż i byli u nas mołodce! — A teraz czego uczy? — poganiać parowice, drapać step lempjesem i spać do góry brzuchem! — Tak to Bat'ku, dzieje się teraz w pałankach, bo tam są baby, a wiadomo że baba do dobrego nie doprowadzi!

— *Prawdu skazawes!* — przerwał koszowy.

— Kiedy byłem w Boho-Gardowej pałance — mówił dalej Opanas Sowa — czerń budżacka przepawiła się nocą przez Sine-Wody, i napadła w kilkanaście koni na tabuny. — Dano znać do pałanki — a kto dał znać? — Może myślicie Bat'ku, że beketa? — Nie! — Bekety nie było! — Same tabuńszczyki przybiegli. — W pałance bajdykowało ze sto człowieka zdatnego do szabli. — I cóż? — Ledwie dwudziestu ochotników pobiegło pogonią za bisurmanami, a choć pobiegło, nic nie zrobiło, bo

*) Rodzaj giermka, albo kudeta.

**) Doskonale.

tabuny były już za Siniuchą; a im nie stało ducha. skoczyć wpław, uderzyć w spisy, odbić tabuny, i złodziejów przygwoździć do ziemi, jakieśmy to Bat'ku dawniej z wami robili, jakbyśmy i dziś jeszcze zrobili! — A kiedy powiedziałem im, że tak robią tylko tchórze i gałgany — odpowiedzieli — „*A nechaj ich mamu morduje! jeszcze by zaryzały!*” — Ot Bat'ku czego narobiły baby! — Przez nich i kozak zbabiał, i cześć kozacka upadnie. Tyle tylko mamy spis i szabel tęgich, co w samej Siczy, bo tu bab nie ma. — Ale cóż Bat'ku, kiedy tu za to inna bieda wkradła się—swawola!

— *Wraham na smich, a nam na pohybel!* — rzekł smutnie Koszowy. — Tak! — Swawola! — Ona to zrywa po jednemu wszystkie węzły stowarzyszenia, i podkopuje podwaliny zaporożkiej sławy, co się już nachyla, by runąć w gruzach i niemości! — Tobie stary kolego nie skrywam obawy mojej. — Czuję i widzę, że nasz koniec blisko!...

Nastąpiło milczenie.

Opanas stał jak skamieniały i bład bardzo.

Koszowy dumał głęboko, i ręką sięgnął mimowolnie do lewego boku, jakby do szabli. Potem wznosił oczy do góry, i obróciwszy się do *ikony* zawołał: „O! Preczysta! Nie daj zaginać ludowi twojemu!”

Po tych słowach ukląkł i uderzył trzy razy pokłonem; a kiedy powstał, twarz jego była weselsza, i rzekł do Opanasa:

— Nu przyjacielu! Co ma być, to będzie! — Dopóki Bóg z nami, włos nam z głowy nie spadnie! — Idź teraz do swego kurenia, a Spirydonek niech zostanie przy tobie mołodykiem.

To rzekłszy, pogłaskał mię po twarzy, uśmiechnął się łagodnie i oddalił się.

W kurenium, do którego należał Opanas Sowa, zastaliśmy

Syrno *), zastawione jedzeniem, i towarzystwo zebrane do obiadu.

Ogromny *wagan* drewniany z *teterą* stał na środku. Po bokach ustawiono *stiabla* **) z rybą, *pastramą*, prosięciem ostudzoném i z kaszą jaglaną gęstą. — Konwie drewniane, obwieszane *michajłykami*, były pełne horyłki, brahy, miodu i piwa, to jest wszystkiego tego, co smakiem i skutkiem różniło się od wody.

Na znak atamana kurennego, który usiadł na starszém miejscu pod ikonami, wszyscy zasiedli dębowe ławy, co szły naokoło stołu, dobyli z *hamanow* łyżeczniki i rozpoczęli obiad.

Zapomniałem powiedzieć wam, że mię już Opanas przedstawił był atamanowi kurennemu, który z tego, co się o mnie dowiedział, śmiał się do rozpuku. — I wszystkim podobała się widocznie moja historia, bo choć siedziałem koło mego opiekuna, a ten nie dałby mi dzwonić zębami z głodu, mimo to każdy częstował mię to tém, to owém, a nawet *michajłyki* z miodem i piwem przysuwano, ale ja nie piłem.

Pod koniec trapezy, porozpalały się głowy od napitku i zrobiło się szumno i gwarno; a choć ataman kurennny był przytomny, ani dbano o niego, i tak krzyczano, jakby w Bałcie na targowicy, albo w Berdyczowie, kiedy tam Lachy jarmarkują. A o co im chodziło? — Sami nie wiedzieli — ot, aby harmiderować! Dziwiło mię bardzo to nieuszanowanie dla atamana kurennego, co taki nie był żaden urwisz, ani przybłąda, ale pułkownik poważny, kozak zasłużony w koszu i taki zuch do korda, że go przezwano w Siczy, zamiast Hryć Rozumniuk, *Hryć Rubaka*, bo tyle w życiu swoim narąbał Tatarów, że byłoby można z nich las zasadzić. Hryć milczał i pokręcał węsą. Opanas to samo czynił; widać jednak było, że dłużej oburzenia swego nie

*) Stół.

**) Sitowe półmiski.

pohamuje, bo kraśniał i bladnął na przemian, w końcu odezwał się w te słowa:

— Cyt! cyt! bratczyki! Czy tutaj karczma, albo szynk, żeby gwałtować i wicherzyć się kłótnią? — Tu nie karczma, ani szynk, a kuren *towarystwa* pod opieką Preczystej i jej tu obraz przytomny; i wasz ataman z wami; i chleb Boży, i strawa Boża, coście pożywali, jeszcze nie zdjęta z Syrna! Któż to wprowadził do Siczy taką *powedenicę*, żeby nie szanować obrazu Preczystej, ani atamana bratniego kurenia, ani godziny trapezy, co wszyscy i wszędzie przepędzają skromnie, dziękując Bogu za jego dary? Srom i hańba nam starym kozakom, żeśmy takiego czasu dożyli, i na was odrodnych Zaporozców patrzeć musimy! *Ja wam teje każu!* Mówicie że Sicz osłabła, że *czort bere* Zaporozie; a przez kogo, jeżeli nie przez was? Nie szanujecie starszyny, nie żyjecie z sobą po bratersku, plamicie w rozbojach hajdamackich broń waszę, co powinna czerwieńić się tylko krwią wrogów chrześcijaństwa; to też i Bóg was za to odstąpił, a odstąpił sprawiedliwie! — O! *hore wam!* *hore nam!* Hospody! pomyluj nas!

Wszyscy milczeli, jakby piorunem rażeni. Opanas powstał i przeżegnawszy się pobożnie przed obrazem, skłonił się atamanowi i chciał wyjść z kurenia, aż tu wpada młodyk *pysara* wojskowego Głoby i mówi:

— Atamane Hryciu Rubaka! Niosę rozkaz wielmożnego Atamana Koszowego, żebyście z całym *towarystwem* kurenem gotowi byli sięść na czajki, o samej północy, z rusznicą, szablą i spisą.

— Dokąd? — zapytał Hryć Rubaka.

— Dokąd? — powtórzył niespokojnie Opanas Sowa.

— Nie wiem — rzekł młodyk i wyszedł.

Głośne hurra! zagrzmiało w kurenium, i tłum cały, uradowany nowiną, huknął jednym głosem:

— Niech żyje nasz Bał'ko, koszowy Piotr Iwanow Kałnysz!

— Niech żyje nasz Bał'ko ataman kurenni, Hryć Rubaka!

Ej ha! ha! ha! hurra ha!

Seczy! koły! ryż wraha!

Kiedy Kureń Baturyński (bo każdy miał swoje nazwisko) oddawał się radości i zaczynał trudnić się przyrządzeniem bojowego ryszunka, jego ataman Hryć Rubaka i Opanas Sowa wyszli z kurenia i ja z nimi.

— Czy nie domyślacie się Sowo — pytał ataman — co to ma znaczyć?

— Domyślam się — odpowiedział Opanas — i dla tego że się domyślam, jestem niespokojny.

— To mówcie, co myślicie.

— Myślę — mówił Sowa — że w tém wszystkiém tkwi mój stary druh Kostyj Bajbuza.

— Nie rozumiem.

— Czwarta noc temu będzie, jakem się z nim widział u Nikityna-Przewozu. — Prowadził Dnieprem tratwy flisów ukraińskich i miał przybyć do Siczy przedemną; a że go dotąd nie ma, musiał doznać nieszczęścia — bo on słów na wiatr nie puszcza.

— I jakież by to mogło być nieszczęście, którego się domyślacie? — zapytał po chwili Hryć Rubaka.

— *Boh pro teje znaje!* — przemówił zadumany Opanas. — Trudno wpaść na trop pewny, bo mało co może się człowiekowi przytrafić. -- Nie mogę wszakże wybić sobie tego klina z głowy i to tém bardziej, że Kostyj miał bogaty ładunek na tratwach, a musiał płynąć brzegiem koczowisk Jedyczkulskiej hordy, co zawsze gotowa na szelmowstwo, zwyczajnie po nogajsku.

Hryć Rubaka zamyślił się i coś *kmetował* w swojej głowie.

W końcu rzekł: „To być nie może, co powiadacie Opanasie. Znam i ja dobrze tych łotrów, bo zjadłem zęby na wojacze z nimi. Myślę jednak, że baliby się zaczepiać, tak blisko Siczy, siczowego retmana i grabić jego ładunek.

— Baliby się? — zawołał gromko Opanas — Oj! atamanie kurenny! nie ta już dzisiaj dola Siczy, żeby się jój bali! Sięgała ona kiedyś daleko — teraz nie ma czém sięgać, i nikt się jój nie boi, nikt! — Jednak powiem wam atamanie, że kiedy dobrze rozważę, to wierzyć zaczynam, że moglibyśmy jeszcze odżyć na nowo w dawnój sile. Nie zgasła zupełnie iskra, co zagrzewała dawnych zaporozców! — Czy uważaliście, jak wasz kureń rozognił się, kiedy się dowiedział o nocnej wyprawie? — Cóż to znaczy? — To znaczy, że byle umiano wziąć się do dzieła, i częściej pozwalano hulać naszym szablom, Stambuł zadrżałby nowu przed nami; chan Perekopu nie śmiałby nas lekceważyć, a Lach i Rus podaliby nam rękę. — Za Siczą poszłyby i pałanki, choć tam są baby, bo taki bądź co bądź, a kozak stworzony do wojny. — On sam nie wie, co robić z rękami, kiedy nie trzyma szabli, albo spisy. — Ztąd to i kłóci się i wichrzy, i szaleje, jakby go czort opętał.

— Może w tém i jest trochę prawdy, coście powiedzieli — ozwał się kurenny po długim milczeniu. — Kozak nie zastygł aż do serca; jeszcze go zbudzi szcęk szabli, albo strzał rusznicy; bo przestać być kozakiem nie podobna. — Mylicie się tylko, pocziwy Sowo, jeżeli sobie wyobrażacie, że Sicz mogłaby powstać w dawnój swój sile i sławie. Ani już Stambuł drżać przed nią nie będzie, ani chan Perekopu! — Wszak widzicie, jak nasz sąsiad północny naciska zewsząd Zaporozę? — Jego dzisiaj praznik na świecie, i długo, długo on po naszej zatracie świętować i krzepić się będzie! — Nie nam Opanasie stawić tamę jego przemocy. — Co do Lacha... żaden dobry kozak nie przyjmie jego ręki! — Przepadnie i on za to, że nas odepchnął i znie-

ważył! — Niebawem, dwie mogiły urosną na ziemi: w jednej zasypią Sicz, w drugiej Koronę!

Kiedy ataman tych słów domawiał, dochodziliśmy do odnogi Sesiny, co łączy Podpolną z Dnieprem. Słońce miało się już ku zachodowi, i staczało się z nieba het! het! na dalekie stepy. — Po Sesiną płynęło pod *parusami* *) kilkanaście greckich *tumbasów*, a z każdego leciał do nas śpiew majtków, to ciche, to głośny, tęskny, lub hulaszczy. — Ślicznie się to wydawało na tej wielkiej wodzie, o tej spokojnej wieczornej porze. Statki te stanęły w końcu na *jakorach* **) w porcie Ustupie, co był także odnogą Podpolnej. Zastaliśmy tam ruch wielki i samego Asauła wojskowego. Sidora Biłaho, co doglądał jak moderowano czajki do wyprawy. Była ich w porcie moc wielka, uwiązanych do przystani.

Asauł wojskowy Sidor Biłyj, skoro nas zoczył, zawołał surowo:

— *No! mospane atamane Baturyńskoho kurenia!* was tu najpierwszych! Tamtym, jak uważam, ani *bajduże!* Widać panowie atamani kurenia Briuchowieckiego, Korsuńskiego i Kaniowskiego, tak ponapijali się warenychy że im *posołowiato* w oczach, i nie mogą trafić do portu. — A idźcie no tam po nich, Opanasie Sowo, i wyszturchajcie z kurenia, bo ja tu czekam, a to im czekać na mnie, nie zaś mnie na nich!

Ledwie pomknął się Opanas, żeby spełnić rozkaz Asauła, aż obaczył nadchodzących zdaleka Atamanów i uwiadomił o tém Sidora.

Sidor Biłyj, był to starzec wiekowy, ale taki ognisty i silny, że w tańcu bojowym mało jaki młodzik potrafiłby jemu sprostać. Sława jego na Zaporozu była wielka, bo i zasługa wielka. — Step cały brzmiał odgłosem jego czynów i stariej prastariej ko-

*) Żagle.

**) Kotwice.

zackiej enoty. Nazywano go słupem Zaporozża, podwaliną Siczy. Życie swoje zapisał on krwią własną na stepie i na wodach. A wszędzie gdzie bywało szablą machnął, wróg upadł jak zboże podcięte sierpem. Nie było miejsca na całym Zaporozżu, gdzieby nie szanowano starego Sidora i nie bano się go jak djabła. — To jest, bali się go nie dobrzy, a źli. — Dla dobrych kozaków był on ojcem i opiekunem. Ale za to bieda tym, co stroili jakieś fanaberye, czupurzyli się niepotrzebnie, albo wprowadzali rozpustę i rozgardyasza pomiędzy kozactwem. — Nie jednemu z takich paniczów takiej zadał ciemierzycy, że ją ledwie wykichał i to z nie małym szwankiem nosa, którego mu Sidor porządnie naciągnął.

Skoro posłyszał od Opanasa, że atamani nadchodzą, rzucił wzrok orli w tę stronę, wyprostował się wspaniale, i z obliczem surowym czekał, aż się przybliżą. A kiedy przybliżyli się i powiedzieli z ukłonem: „Zdorow Bał'ku!” — to on nic nie odpowiedział, tylko brwi nasrożył i rzekł do nich:

— Cóż to wy bratezyki potracili głowy, czy mózg zaleli horyłką, że każecie czekać na siebie Asaułowi wojskowemu, jak smarkaczowi jakiemu, albo *argatamowi* ? *) Wam to, snać, wyleciało z pamięci, że po Bogu i Przekzystej, pierwsza rzecz dla dobrego kozaka służba, i że ten, co rozkazu starszyny nie szanuje, a tém samém uchybia służbie, może to łbem przypłacić, albo zaskowyczyć jak sobaka, na palu? — Wara wam! — Z Sidorem nie żartujecie! — Dopóki on Asaułem waszym, trzymajcie uszy ostro, bo Sidor pamięta dawne czasy, kiedy kozak był jeszcze rycerzem, a nie jakimś tam pijanym zawadyką, i tak był posłusznym woli starszyny, jak szabla słuchała ręki, jak zwycięztwo słuchało zaporozkiej spisy! — *Czujecie szczo wam każu ? Koły czujete, to pamiatajtez !*

Atamani stali jak piorunem rażeni.

*) Parobek.

Sidor odwrócił się od nich, i znowu zajął się przeglądem czajek. — Potém zawołał wszystkich czterech atamanów po nazwisku, i tak do nich przemówił:

— Doszła nas wieść, że Tatarzy Jedyczkulskiej hordy zasiedli na czatach w komyszach dniewprowych, niżéj Konki *), gdzie moc wielka ostrowów i cieśni. Otóż mają isć tamtédy tratwy naszego retmana Bajbuzy; a że ładunek na nich bogaty, połakomili się nań te łotry. Bajbuza przewąchał snąc *pohybel*, bo zamiast puszczać się daléj, stoi na wysokim Dnieprze, trochę niżéj *Nikityna przewozu* **) niedaleko *Wielkiego Ługu*. Wielmożny Ataman koszowy, skoro się o tém dowiedział, rozkazał mi wyratować starego Bajbę z biedy, i téjże nocy poostrzyć szable na grzbiecie Jedyczkuleców. — Wiecie teraz o co chodzi?

— Wiemy bat'ku Asauło! — rzekli atamani.

— Kiedy wiecie — mówił daléj Sidor Biłyj — to miejcież na baczeniu, żeby imię zaporozkie nie zhańbiło się téj nocy. — Ja sam powiodę was. — Ale niechaj nam pierwéj pobłogosławi przewielebny ojciec Włodzimierz Sokalski, archimandryta siczowéj cerkwi; bo niejednemu z naszych sądzono zapewne pożegnać Kosz na wieki. — Co do mnie, przysięgam, albo zwyciężyć, albo nie wrócić! — I wy tak zróbcie, *a wraha czort wóźme!*

— Przysięgamy bat'ku! przysięgamy! — krzyknęli atamani.

— Dobrze bratczyki! — mówił daléj udobruchany Sidor. — Teraz posłuchajcie bacznie mojego rozkazu. — Każdy z was wybierze po stu najdzielniejszych kozaków ze swojego kurenia, i posadzi na cztery czajki, a piątą pociągnie luzem pod rannych i zabitych. — Gdzie drwa rąbią, padają trzaski. — Wiosła pobwijać wołokiem; palną broń opatrzeć i nabić, a szable natoczyć jak brzytwy. — Spis brać nie trzeba; a prowiantu i horyłki wziąć nie wiele, bo to wyprawa nie długa. — Wpadniem,

*) Końskie wody.

**) Dzisiejszy Nikopol.

otoczmy, i wytniem. — Wy, atamanie Baturyńskiego Kurenia, Hryciu Rubako, i wy, atamanie Kaniowskiego Kurenia, Sydore Czerniju, popłyniecie razem w dziesięć czajek, z wiatrem, co teraz wieje od mogiły Stepana Hładkiego *). — Pójdziecie na jednych tylko *parusach*, z okiem i uchem, a wiosła niech będą w pogotowiu. — Jak wyjdziecie z Podpolnej na Dniepr, spuścicie *parusy*, żeby ich nogajskie czaty nie zajrzały, i popłyniecie ostrożnie, całą siłą wiosła, aż do ostrowu Demeki, poniżej starego Kodaka. — Tam zapadnijcie w komysze, a kilku najproworsniejszych niech popełźnie oczeretami i zalegnie na czaty, żeby wypatrzeć i wysłuchać, co się dzieje. — Skoro dostaniem od nich języka, gdzie zaczajone nogajskie zasadzki, zajedźcie tak czajkami, żeby im wziąć tył, i czekajcie bez głosu i ruchu, aż ja na tych psów niewiernych od strony Kosza uderzę. — Wtedy, zostawiwszy w czajkach po dwudziestu strzelców, wpadnijcie szablą na nich, i bijąc się odstępujecie ku czajkom, żeby Tatarów naprowadzić na strzał. — Co gdy zrobicie, rozstąpcie się, i niech dadzą ognia z czajek. Tym sposobem zalejemy sadła za skórę, i wyratujemy Bajbużę. — Wy, atamanie Briuchowieckiego Kurenia, Tanase Ohoń, i wy, atamanie Korsuńskiego Kurenia, Kindrate Taran, pojedziecie z oddziałami waszemi zemną, a także i Opanas Sowa, choć on nie wasz. — Idźcie teraz po Kureniach, a przed północą stawcie się tu z *towarystwem*, rzeźwo, trzeźwo, i zbrojno.

Skłoniwszy się Asaułowi, atamani odeszli.

O samej północy, po odbytych *molebenie*, sotnie weszły do czajek, i pierwsze dwa Kurenie odpłynęły najprzód. — W godzinę potem Asauł wsadził do czajek dwa pozostałe Kurenie. — Opanasowi dał miejsce przy sobie; a mnie rozkazał wrócić się do Kurenia, ale narobiłem takiego hałasu, i tak mocno uczepiłem

*) Koszowy.

się Opanasa, że w końcu Sidor pozwolił i mnie smarkaczowi należeć do wyprawy.

Domówiwszy tych słów Spiridon zamyslił się nagle, i zawiśł wejrzeniem nad obszarem stepu, owianym tajemniczością nocy.—Z po za przejrzystej zasłony cieni, majaczyły przed nami wieśniacze chaty Łegiedzyny.—Duch starca unosił się skrzydłem pamiętek nad miejscem, z kąd przed laty wytrysnął źródło życia jego, kipiący pianą zdarzeń i trudu, szałów burzliwych i rozczarowania.—Lipowczyński i ja nie przeszkadzaliśmy jemu wpatrywać się w przeszłość, istnieć przelotnie w dawniej dobie młodości, płonąć ogniami dawnych złudzeń i porywów; a on myślał długo, myślał głęboko, w końcu jakby się ocknął z letargu, i tak przemówił:

—Zadumałem się to o tém, to o owém.—Cóż dziwnego?—Żyło się dużo, doznało się jeszcze więcej, a z tego wszystkiego nic mi nie pozostało, kromia starości i sieroctwa!—bo sam jestem na świecie!—Tych, co dbali o mnie, wiatr prochy rozdmuchał!—Zostały mi tylko tęskne dumy o nich, ciężki żal po nich; bo takich, jakimi oni byli, dziś nie ma na ziemi!—Gdzie stała nasza chata, wala się kupa próchna i śmiecie. Sadek wiśniowy ktoś wyrąbał, czy może sam zmarniał i zginął z tymi, co go pielęgowali.—Lewada, niegdyś taka piękna i kwiecista, zdziczała i porosła chwastem.—A kiedym tu powrócił, nie znalazł się żaden taki, coby mi ukazał mogiłę ojca i matki!

Nocną porą najsrożej mi dokucza samotność moja i sercowa żaloba; bo kiedy wszystko spoczywa, ja rzadko wyblagać mogę snu chwilkę dla siebie.—Ciągłe mi stoją w oczach przygody owjej straszliwej nocy, o której wam opowiadać zacząłem; i widzę ciągle krwawe upiory poległych, i słyszę ich jęki żałośne.

Straszna to była noc Lachy!—Posłuchajcie—opowiem jak było.

Kiedyśmy wypłynęli z Ustupu na Podpolną, wiatr powstał wielki i całe niebo zaczęło się chmurami.

Sidor Biłyj siedział milczący; Opanas także, i wszyscy milczeli; bo Asauł nakazał największą cichość, a do tego, każdemu w głowie była śmierć, a nie gawęda.

Ciemność była bardzo wielka. Trzeba było mieć zaporozkie oczy, żeby nie zbić się z toru.

Po wielkości bałwanów, poznaliśmy, że czajki wyszły już z Podpolnej na Dniepr; a że siła wiatru wzmogła się znacznie, sternik opuścił *parusy*, i kazał wziąć się do wiosła.

Sidor z Opanasem szeptali coś sobie na ucho; a ja, leżąc na dnie czajki, czekał niecierpliwie końca żeglugi, żeby pogawronić prędzój na bojowy taniec, i popatrzeć jak to się biją w szable na seryo.

W miarę jakeśmy się zbliżali do celu, Dniepr stawał się mniej szeroki, dzielił się na większą ilość gałęzi, a niektóre z nich były tak wąskie, że wiosła sięgały krawędzi ostrowów, i nawet czasem rozmachu swego pomieścić nie mogły. — Wtedy czepiano się rękami oczeretów, i tak popychano czajki.

W jednym z takich miejsc, Sidor, co był cały okiem i uchem, rzekł półgłosem do sternika: „Z Koszowaty weź się w prawo i kieruj po pod Atamańską kose, prosto do Siczowej Buchty, co wchodzi w ostrow Demeki“.

Sternik nie odpowiedział, lecz po chwili, czajka zwróciła kręto w prawo, tak, że wiatr bił nam w lewy bok, ale daleko słabiiej niż pierwiój, bo tracił pęd w oczeretach.

Nie mogłem nacieszyć się nowością wszystkiego, co mię otaczało. Obawy nie czułem żadnej, bo taka moja natura. Owszem, czułem radość wielką i ciekawość, i coś jeszcze, jakby chęć popisania się czynem jakimś dzielności, żeby kazać ludziom zapomnieć, że jestem durny smarkacz i nic więcej.

Płynęliśmy ostrożnie. Pomagał nam bardzo do zatajenia się przed nieprzyjacielem, huk wielki wód dniewprowych, co,

wyparte z łożyska, były o brzegi ostrowów. Do tego łączył się czasami grzmot daleki, co otrąbiał na niebie zbliżanie się burzy.

Wkrótce czajka nasza zaryła nosem w gąszcz oczeretów i stanęła jak wryta. Reszta czajek przymknęła do nas. Sidor kazał Opanasowi odezwać się po sowiemu na hasło naszym. Gdy się to stało, Sidor kazał dwudziestu ludziom z każdego Kurenia uzbroić się w rusznice, i rozsiaść się tak w czajkach, żeby ława strzelców zajęła obszernie półkole brzegowej gęstwiny Demeki. — Pozostałym ludziom rozdano pistolety i szable. — Mnie dostał się nóż kozacki. — Chciano widać pożartować ze smarkacza. — Sidor z Opanasem wzięli w ręce gołe płachy. — W takim to rynsztunku czekaliśmy pory.

Wtém usłyszeliśmy lekki szelest w oczeretach, jak gdyby wąż przesuwiał się tamtędy.

Sidor nastawił ucha. — Wszyscy zwrócili baczność w tę stronę, i zataili ducha.

Czy szelest ustał? Czy go wiatr rozwiał? — nie wiem; ale pamiętam, że długo nie słyhać nie było, aż znowu, bliżej niż pierwić, i wyraźniej, coś się ku nam zbliżało, w końcu, chlupnęła woda, i człowiek jakiś wskoczył do asaulskiej czajki.

Był to kozak z czat, przysłany od Atamana kurennego Rubaki. Niósł wiadomość, że kurenie, Baturyński i Kaniowski, czekały tylko hasła, żeby rozpocząć bój. — Mówił, że Tatarzy leżeli zasadzką po obu stronach Czarniej rzeczki, co była gałęzią dniewprową między Demeką i Monasterskim ostrowem.

Asauł kazał natychmiast pchnąć się czajkami ku wschodniej stronie Demeki, żeby zbliżyć się do nieprzyjaciół. Co gdy się stało, Sidor ustanowił starszym nad strzelcami, co mieli zostać w czajkach, atamana Briuchowieckiego kurenia, Tanasa Ohoń, a sam wziął resztę ludzi, wsunął się pełzkciem w komysze, i zniknął w ciemnościach z całym oddziałem.

Tanas Ohoń i Opanas Sowa siedzieli nieruchomi i z wytężonym słuchem, w niespokojnym oczekiwaniu. — Nie ujść nie

mogło ich uwagi, ani pluśnięcie wody, ani drzew szelest przelotny, ani szmer najłżejszy trzcin brzegowych, które wiatr poruszał i tłoczył.

Ile czasu ubiegło? nie wiem.

Wtém *woron* zakrakał opodal, drugi mu odpowiedział bliżej. — Opanas trącił Tanasa, i rzekł po cichu: „To wabią się tatarskie czaty“.

Ledwie skończył, aż usłyszeliśmy okrzyk straszliwy, hurra! hurra! hurra! i drugi straszliwszy, ałłach! ałłach! ałłach! — I ten, i ów zbiegły się w jeden gwałt morderczy, nieubłagany, szatański — i noc oświeciła się ogniem tatarskich janczarek i kozackich rusznic. — I coś zaświstało w powietrzu, i coś zadzwoniło zdaleka, jakby stał pod ciosem stali. — To tak świstały kule, to tak szable dzwoniły. — Hurra kozackie szło górą, nogajskie ałłach niżej, odzywając się to razem, to oddzielnie.

Łatwo pojmiecie Lachy, żeśmy nie drzémali. — Strzelce trzymali broń na celu, gotowi dać ognia. Tanas Ohoń kipiał do boju. — Opanas Sowa słuchał spokojnie, i czekał. — Co do mnie, drżałem jak listek, nie ze strachu, nie! ale z żądz szalonej być świadkiem orężnej rozprawy, uczestnikiem walki. — Cisnąć nóż na piersi, wrzałem niecierpliwością, a łzy płynęły ciurkiem z rozognionych oczu.

Gwałt bojowy trwał ciągle na jedném miejscu. — Widać niebo pozazdrościło ziemi jój zamętu, bo zawiodło grzmotem potężnym, i wicher zawył nad nami, potem zapadł w komysze, gdzie grał i brzęczał po trzcinach, jak po strunach teorbana.

Nie było więc spokoju na świecie. — Ludzie walczyli na ziemi, fale biły się na wodzie, w powietrzu jawno wichrów, na niebie wojna chmur i piorunów — słowem, koniec świata!

W tém zaburzeniu trudno było rozpoznać uchem, jakim torem szedł bój naszych z bisurmanami. — Zdawało się jednak, że się zbliżał ku nam, i tak było w istocie. -- Przebiegły Asau! naprowadzał Tatarów pod ogień rusznic kozackich.

Ledwie uszło kilka minut, aż zatrzeszczało w komyszach od prędkiego biegu człowieka, i z okrzykiem *pugu! pugu!* wskoczył Zaporoziec do czajki, i huknął: „*Bud' te hotowy!*“

Strzelcy wzięli na cel przed siebie. — Sowa i Ohoń porwali szable. — Ja nagotowałem swój nóż.

Z pędem i wrzawą biegła walka ku nam. — Nasi cofali się ku czajkom. — Tatarzy napierali na nich gwarno i ognisto. — Coraz bliżej palą rusznice, świszczą kule, rąbią klingi. — Coraz bliżej tłoczą się, gniotą, ścierają, mordują wściekle.

Już blisko!

Nasi przytknęli palce do cyngłów, aż tu zagrzemiał z gęstwiny głos Sidora: „*Pażyt' iz czajok!*“

I palnęli, aż się ziemia zatrzęsła, a kul poleciało, jak grochu.

Horda zawyła; a nasi, co nabijają, to palą; i słyhać nam było, jak z lewój i z prawój strony kozackie lufy motłoszyły bisurmanów krzyżowym ogniem, i jak te szelmy, skowycząc po swojemu, latali po zarosłach, żeby skryć się od kul, co ich szpi-kowały.

Aż tu znów huknął Sidor: „*A biżyt'-no tutky, i z czajok!*“

— Hurra! wrzasnęli nasi, i rzucili się na oslep w komysze. — Ohoń i Taran skoczyli przodem. — Opanas nie trafił na kępinę a w wodę, ztąd opóźnił się nieco.

Czy myślicie, Lachy, że ja zostałem w czajce? — O! nie! — Jednym susem dogałem Opanasa, i wpadłem z nim w sam wir boju.

Wątpię, żebym potrafił opowiedzieć jak należy, co obaczyłem przy ogniu strzałów, i przy kagańcach uawałnicy. — Nie było liku trupom, rannym i konającym.

I nasi, i tatarscy walali się bezładnie na krwawój ziemi. — Ten już umierał, tamten z bólu jęczał, inny wołał pomocy i ratunku; a każdy splugawiony posoką i błotem; każdy z poszarpaném odzieniem, z licem wykrzywioném rozpaczą, wściekłością, albo cierpieniem. A nad nimi gęste obłoki dymu, co kłębiąc się,

unosily z wichrem; a wyzej jeszcze noc, i chmury, i blyski gromowe.

Mezny napad Zaporozcow nie znalazl silnego oporu, bo horda nie trzymala sie juz kupy, rozbita przez Sidora na drobne czasteczki, rozwiana jak plewa, kiedy ja wiatер pochwyci.

Ztad boj ten trwal niedlugo. — Tatarzy, jedni zabici, drudzy poranieni, — reszta rzucila sie wpław i gdzieś przepadla. — Kilkunastu tylko najmezniejszych bronilo sie zapamietale przy pomocy ciemności i gestwiny.

Ile razy blysnęło na niebie, tyle kul i grotów lecialo z ich reki, i tyluz naszych jękło.

Sidor wołal: „*A nuż beryt'sia do nych!*“

Tu starzec przerwal na chwilekę opowiadanie, jakby dla nabrania tchu, a potem mowil dalej:

Juz po raz trzeci nabijali kozacy, gdy naraz dal sie slyszec w dali, choc nie bardzo daleko, głos donośny, co lecial z wichrem w naszę strone:

Oj! ha! ha! ha! hurra ha!

Koły! siczy! ryż wraha!

Opanas krzyknal: „*To płynie Bajbuza!*“

I w téjże chwili buchnęły od strony wielkiego Ługu płomienie. — Trzask okropny pożaru rozległ się w powietrzu. — Ktos podpalil oczerety Monasterskiego ostrowu. — Roznieczone ognie wiatrem, wzbiły się wkrótce wysoko. — Cały ostrow gorzał, jak pochodnia, i łuną jaskrawą zapłonęło niebo.

— „*Spasybih Bajbuzo!*“ — krzyknal całą mocą głosu Opanas, który domyslal się, że to on przyswiecal swoim.

— „*Spasybih!*“ — powtórzyl Sidor.

— „*Hurra!*“ — wrzasneli kozacy, i rzucili się przy pomocy światła na pozostałych Tatarów.

Kindrat Taran, Sidor Czernyj, Tanas Ohoń i Opanas Sowa,

uderzyli na nich z tyłu i zgnetli. — Ale dwóch jeszcze uwijało się nietkniętych: murza, i jeden z agów.

Murza wypadł jak wściekły z za krzaku, i obalił śmiertelnie Ohonia.

Czernyż zemścił się za kolegę, bo jak płałnął murzę przez łeb, to ani drgnął.

W tymże czasie Taran rozprawiał się z agą. — Był to chłop duży i silny. — Skrzyżowali się szablami kilkanaście razy, a żaden jeszcze nie wziął góry nad przeciwnikiem. — Aga rąbał siłą, Taran niweczył siłę zręcznością. — Tatar co spuści klingę, to chybi, bo już Taran odskoczył, i zmylił cios wroga.

Ciekawy był pojedynek tych dwóch zuchów; a że nie było widać żadnego Tataru, coby nie był albo trupem, albo kaleką, albo jeńcem, to wszyscy gawronili się na nich, zaczawszy od samego asauły Sidora Biłaho, do ostatniego kozaka.

Kiedy się to działo, spostrzegłem ruch jakiś, zatajony w komyszach. Ktoś sunął się pełzkiem po za Sidora Biłaho, co stał plecyma do gęstwiny. Zwróciło to moją uwagę. Zbliżyłem się więc nieznacznie do tego miejsca, przysiadłem w osoco za Sidorem w najgrubszym cieniu i z nożem gotowym czekałem.

Aż tu patrzę, wyłazi pomalenku szelma nogaj, gdyby gadzina jaka, i posuwa się ostrożnie z pistoletem w ręku ku Sidorowi. Nim uspiął wystrzelić, już go nożem przebiłem. On krzyknął przeraźliwie a ja padłem bez zmysłów. — Co potem było — nie wiem.

Nie dziwujcie się, Lachy, że ja padłem bez zmysłów. Choć we mnie był duch nie muzycki a kozacki, choć miałem siłę nad wzrost, a dzielność nad lata; nie była to bagatel dla smarkacza, jak ja, zabić człowieka. Starszy nawet odemnie, kiedy tego dokona raz pierwszy, ręczę że przeboleje; a jeżeli udając zucha, mówi że nie, *ne wirte imu! bo bresze!* — Co człowiek, to nie pies, choć bywa i to, że gorszy od psa.

Do mego zemdlenia przyczyniło się i to, że byłem bardzo

zmęczony. Od Łegiedzyny do samej Siczy, leciałem jednym tchem prawie, i znowu nie odpocząwszy puściłem się na wyprawę. Byłoby to ciężko i dla starego kozaka, cóż dopiero dla takiego błazna jak ja, co to umiał tylko machać batożkiem, i za domową *lewadę* ani razu nie wyściбіł nosa.

Kiedy przyszedłem do siebie, leżałem na dnie czajki, a głowę moję trzymał Opanas na kolanach.

Ostrów Monasterski gorzał jeszcze za nami i świecił szeroko śród nocy. Wicher dał po dawnemu, a Dniepr srożył się wciąż i szumiał; bo to zła woda i *zahonysta*.

Przed czajkami naszymi płynął czołem na tratwach ten sam Kostyj Bajbuza, cośmy go wyratowali od *pohybeli*. W ślad za nim szła asaulska czajka, gdzie i ja byłem. Z tyłu posuwały się sznurami czajki kureni, Briuchowieckiego, Korsuńskiego, Baturyńskiego i Kaniowskiego, a na samym końcu wieziono rannych i zabitych. Jeńców nogajskich oddano Bajbuzie na tratwy. Nie wielu ich było, bo te szelmy bili się do upadłego i mało było takich, co mogąc bronić się, dali się wziąć w jassyry.

Dobrze już dniało, kiedyśmy do Ustupu wpłynęli. Wielmożny ataman koszowy czekał na brzegu ze starszyzną zaporozkiego wojska. Nim się ukończyło wylądowanie kureni, oraz rannych i zabitych, ukazały się chorągwie procesyi, którą prowadził z krzyżem w ręku przewielebny archimandryt siczowej cerkwi, ojciec Włodzimierz Sokalski.

Zdrowi stanęli w szyku wojennym; chorych odesłano do kureni, a za umarłych odprawiono *panichidę*. Poczem każdy z pułkowników kurenych zajął się pogrzebem swoich kozaków.

Dla prostych Zaporozców wykopano o parę set kroków za Podpolną głęboką jamę, gdzie ich zasypano razem i krzyż drewniany nad nimi postawiono.

Tanas Ohoń, jako ataman kureny, spoczął w osobnej jamie i wielką mogiłę usypano nad nim, a na wierzchu zatknięto krzyż wysoki ze *Spasytelem*.

Wszystkie 38 kureni z atamanami swoimi stały pod bronią w szykach porządnym. A kiedy przewielebny Archimandryt Sokalski odprawił nabożeństwo i dał znak odejścia, wtedy jego wielmożność ataman koszowy, rozkazał dać ognia ze wszystkich strzelb — a z Baszty strzeliła armata. Tém zakończył się obchód żałobny.

Tego samego dnia zostałem mołodykiem wielmożnego atamana koszowego za to, że wyratowałem życie asaulowi wojskowemu Sidorowi Biłomu.

Cóż wam powiem więcej? — Nie było już ani wypraw wojennych, ani czynów takich, żeby warto było mówić o nich. Sicz nie rosła ale malała; nie stała w sile, ale swą siłę traciła. Daremnie ataman koszowy i starszyzna starali się krzepić ją i od *po-hybeli* ratować; nie pomagało to! Cegła po cegle wypadała z wielkiej budowy. Kosz tracił wpływ na pałanki, bo zepsucie pałanek wnikło do kosza; a do tego ani Polska, ani Rossya nie dbały o Zaporozców, bo siła bisurmańska nie była już dla nich straszna. Podśluchałem ja nieraz tęskne rozmowy starszyny pomiędzy sobą. Widziałem coraz większą niesforność w kozactwie siczowém, coraz większy smutek na twarzy Opanasa Sowy i wszystkich dobrych kozaków. Nie rozumiałem jeszcze, z kąd mogła przyjść *po-hybel* i jak; bo to było nad mój rozum; ale czułem, że straszna jakaś bieda wisiała nad Siczą, i że ta bieda nie daleko.

Długo już byłem mołodykiem przy wielmożnym atamanie koszowym. Dobry on był pan dla mnie; a że mię znał wiernym i przywiązanym, więc lubił.

Trzeba wam wiedzieć i to, że Jakow Binda, najlepszy bandurzysta na Zaporozu, wyuczył mię grać na teorbanie; a że miałem głos czysty i mocny, to on mię i śpiewać wyuczył. Ile umiałem dumek i piosnek na pamięć, i na wołowej skórze nie spisać. Bywało siedzę sobie na przyźbie atamańskiej chaty, i zawodzę do późnej nocy na całe gardło, brzdąkając na teorbanie.

Argatamy i mołodyki siedzą na ziemi i słuchają. Czasami i starsi, ba nawet najstarsi po koszowym lubowali się moim głosem, a bywało i to, że nawet sam wielmożny Piotr Kałnysz, pan mój, wysuwał się cichuteńko ze swojej świetlicy, i wysłuchawszy w sieniach jakiejś zaporozkiej dumki, klepał mię po plecach mówiąc: *Harno spiwajesz Spirydonku. Spasybih!*

— Na zakończenie musiałem zawsze śpiewać jemu piosnkę o Omelku:

Omelko, kozak choroszy,
Wzdumaw jichat' na Zaporozie,
Win uże pidniawsia,
W sinij żupan ubrawsia,
Konia kupyw takoho,
Jak u atamana samoho,
Ne buło.

Sidło czerkieskoje z pitnikom,
Uzdeczka nowiseńka z bajrakom,
Ratyszcze z biłaho żeliza,
Para pistoletyw iz spiza,
Szabla wostra w pochwi,
Weś majątek w sakwi;
Siw na konia, pochyływsia
Rodynońci pokłonywsia,
I pojichaw!

Pewnego wieczora zdarzyło się tak, że kiedy ja zawodziłem swoim zwyczajem, dumę o Serpiaże, nadszedł niespodzianie wielmożny *pysar* wojskowy Iwan Jakowlewicz Głoba i rzekł surowo: *Hodi wże spiwaty!* poczem wszedł pośpiesznie do atamańskiej świetlicy.

Nie pojmując dlaczego mi śpiewać zabronił, rzuciłem teorbana o ziemię, i złość opanowała mię wielką. Wielu było świadków zdarzenia, ale nikt nie umiał odgadnąć przyczyny. Ten bąbał to, a ten owo, i długobyśmy suszyli sobie łby próżnemi domysły, gdyby głośne wołanie mego pana nie kazało mi biedz do świetlicy. Skoczyłem jak z procy.

W komnacie nie było innego światła, oprócz miesięcznego, co wpadało przez szyby, i mdłego płomyka lampy palącej się przed *ikoną*. Widne mi jednak były głębokie skiby czoła pańskiego i ogień ponury jego oczu, zwykle łagodnych. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i słucał, co mówił po cichu *pysar* wojskowy.

Skoro mię ujrzał, przystąpił i rzekł: „Spirydonku! weź najlepszego konia z mojej stajni, i leć po wszystkich kureniach z rozkazem do atamanów, żeby w ten moment przyszli. Potem rzuć się wpław do Podpolnej, wyskocz na step, aż za mogiłę Burjana, co stoi na dwa głosy bekety przed kurhanem Dymitra nad Czarną-Bałką. Tam stań na czatach, z okiem i uchem, a jak obaczysz na stepie coś takiego, *co być nie powinno*, powracaj co tehu z wieścią.

— Dobre Baćku! — odpowiedziałem i w jeden mig byłem już na koniu.

Obiegłszy wszystkie 38 kureni z rozkazem koszowego, przepłynąłem Podpolną i utonąłem w stepie.

Noc była i cicha i przezroczna. Ucho sięgało daleko i oko. Koń sadził, gdyby grot nogajski. Wiatr stepowy ściagał mię nadaremnie, a obłok, co sobie hulał po niebie, dał za wygraną i z tyłu pozostał.

Wy nie wiecie Lachy, jaka to rozkosz dla syna stepu, bując po stepie! — Tam lot i swoboda! świeżość i życie! siła i zapach niezwykły! — Tam duch rośnie w olbrzyma! zdrowie kamieniem twardnieje! człek zmienia się w orła ciałem i myślą! bo znój nie zwalczy ciała jego, ani myśl nie omdleje w przestrzeni!

Dzielny to był ten koń atamański, co mię unosił na sobie! Wam Lachy, i nie widziéć takich. Chan krymski przysłał go w darze wielmożnemu atamanowi koszowemu. Nazywał się *Sułtan*, bo w tureczczyźnie jest król, co go nazywają *Sułtan*; a on wiódł swój ród z jego tabunu. Zdawało się, że nie nogami bieży, a skrzydłami leci. Niedawno jeszcze wypadłem na step, a już przedemną mogiła Burjana, i kurhan Dymitra, i Czarna Bałka, i cel mojego biegu!

Skoczyłem z konia; wziąłem *Sułtana* za *czumbur* i sprowadziłem w głąb' Bałki. Potém wsunąłem się jak połoz, w gąszcz burzanów, w porosły wierzech kurhana, i zapadłem na czatach. Tu wyteżyłem całą moc oka i ucha, i spojrzałem, i słuchołem.

Step milczał, biały od miesięcznego blasku, i nic nam nie majaczyło, kromia burzanów i mogił.

Czasami tylko wilk wałęsał się daleko, albo lis wymykał się z jaru na zér. Słowem, nic takiego nie było na stepie, co być nie powinno.

Nagle *Sułtan* szarpnął *czumburem*, który trzymałem w rękę, i uszy nasrożył, i oczy wyskrzył i chrapnął. Spojrzałem dokoła — nic nie było! Tylko daleko, bardzo daleko, gdzie niebo dotykało ziemi, dojrzałem coś podobnego do czarnych zarośli, ba nawet lasu; a ponieważ wiedziałem dobrze, że tam żadnego lasu nie było, zdziwiłem się mocno, i niespokojny pchnąłem się konno naprzód, żeby się dowiedziéć, co to było takiego.

Kiedym zatrzymał konia, o jakie tysiąc kroków od Kurhana Dymitra, i ucho natężył, rozpoznałem gwar jakiś dziwny, co wychodził ztamtąd, jakby szum pochodu wielkiego tłumu ludzi, zmieszany z hukiem stąpania tabunów i ciężkiem toceniem się ładownych *maż* czumackich.

Sułtan strzygł uszami niespokojnie. Las mniemany posuwał się naprzód czarnym smugiem cienia, a w tym cieniu migotało coś, jakby ostrza spis, albo lufy strzelb.

Gwar, co mię pierwéj zastanowił, stawał się coraz głośniejszy

i wyraźniejszy, tak, że już niepodobna było wątpić, że to, co ja głupi brałem za las, nie było lasem, a wielkiem wojskiem.

Inny na mojem miejscu uciekłyby od razu, ale nie taka moja natura. Zamiast uciekać, pchnąłem się jeszcze naprzód, żeby lepiej rozpoznać to, z czego miałem zdać sprawę przed moim panem.

W téj chwili miesiąc tak mocno step oświecił, że jasno poznałem i konnicę, co szła w szyku na czele, i piesze oddziały, co szły długim rzędem za konnicą, i *puszki*, co się toczyły ciężko z tyłu pod strażą konnego ludu.

Nie było czego dłużej czekać, bo to nie były żarty, i każda chwila stracona spadłaby na mnie kamieniem. Puściłem się więc całą mocą lotu na powrót. Step zadudnił pod kopytami Sułtana. Kurhan Dymitra, Czarna Bałka, mogiła Burjana mignęły przelotnie. Woda Podpolnej bryznęła pode mną i byłem w domu.

Zastałem wielki ruch na dworze, i taki gwar, jakby w ulu. Mołodyki i argatamy snuli się tu i ówdzie. *Towarzystwa* kurenne tłoczyły się kupami, i gorąco o czémś rozprawiwały. Atamani wiedli tajemny rozhovor z asaulem wojskowym, Sidorem Biłym, u progu chaty koszowego. Samego wielmożnego Kałnysza znalazłem w świetlicy, gdzie radził z *pysarem* wojskowym, Iwanem Jakowlewiczem Głobą, i z sędzią wojskowym, Mikołajem Tymofiejewiczem Kosepem, co był taki chory, że ledwie stał na nogach.

Zjawienie się moje przerwało rozmowę. Wysłuchawszy mojego opowiadania, Piotr Kałnysz kląkł przed obrazem *Preczystej*, trzykroć uderzył pokłonem, i wezwał głośno jej przenaświetszej opieki dla wojska zaporozkiego; a kiedy powstał, twarz jego była spokojna, a z oczu tak jemu patrzyło, jakby miał sam jeden wszystkich nieprzyjaciół pokonać.

W téj chwili weszli do świetlicy nasz dzielny Sidor asaule wojskowy i starszy ataman kurenni Stroe.

Kałynsz powtórzył im wieść, jaką przywiozłem z czat, poczem tak przemówił do nich i do wszystkich:

„Wy *pane pysaru* wojskowy, rozeszliście w ten moment gońców do pałanek i zimowników, żeby kto tylko żyje i w Boga wierzy, siadał na koń i śpieszył do Kosza na bój.

„Wy panie Asaulo wojskowy, uzbrojcie należycie *towarystwa* kurenne, a wpływem waszym zapalcie je żądzą zwycięstwa, lub chlubnego zgonu. Niech wytoczą armatę na wały i Basztę uzbroją. Okrom puszarzy, posłać na wały cztery pełne kurenie bez koni, ze strzelbą i spisą. Kierować obroną wałów wy sami będziecie, panie Asaulo, a Hrycia Rubakę i Kindrata Tarana weźcie ku pomocy.

„Bramę wchodową opatrzyć w stu strzelców, wybranych z różnych kureni. Dać im kul i prochu podostatkiem i postawić nad nimi Opanasa Sowę, któremu przydać ku pomocy Martyna Karłana. Wszystkie czajki, co stoją w Ustupie, osadzić ludźmi. Wybrać najdzielniejszych do szabli i rusznicy, bo kto wie, czy wojsko odparte od Baszty nie uderzy całą siłą na Ustup? Na ten koniec trzeba także uzbroić tratwy Bajbuzy komputową drużyną pałanek. Czajki i tratwy mają stanowić brzegową obronę, w razie gdyby nieprzyjaciel chciał próbować przeprawy przez Podpolną. Przewodząc ma im starszy ataman kurenny Stroc, a ku pomocy dodać Sidora Czernyja.

„Resztę kureni rozstawić w zupełnej bojowej gotowości od Ustupu, do cerkwi Pokrowy. Połowa niech będzie na koniach ze spisą i z szablą, a druga połowa z rusznicą i pistoletem. Ja sam stanę przy nich.

„Idźcie teraz, i niech wam Bóg i Preczysta dopomaga!”

Odeszli. — Kałynsz udał się do alkierza. — Ja zostałem u drzwi świetlicy, i ciężkie dумы mnie obsiadły. To wojsko, com je widział na stepie; ten bój co się gotował; niebezpieczeństwo Siczy; a co większa, jakies przecucie jęj upadku, i zniszczenia — trapiły mię. Nawykłem już do tego życia kozackiego, co tyle

miało dla mnie powabu. Swawola złych nie zrażała mię, bo nie jedni źli składali kosz, a byli tam i dobrzy, których uczciwą koczacką prostotę, uległość starszym i mężstwo pragnąłem naśladować. Tacy, jak Opanas Sowa, jak Hryc Rubaka, albo Kindrat Taran, albo Sidor Czernyj, albo nakoniec sam asauł wojskowy, Sidor Biłyj, czyliż nie mogli obudzić we mnie chęci zostać czéms lepszym, jak pijanym zawadyką, albo niecnym koleżką hultajów i rozpustników? Jakoż kochałem ich z całej mocy. — Kochałem również i mego pana; a myśl, że Bóg wie, co się z nimi stanie, że może za chwil parę śmierć rozłączy ich ze mną, albo wir losu uniesie daleko, tak mię srodze dręczyła, że mi się aż łzy polały i nie spostrzegłem się, jak mię zeszedł płaczącego wielmożny koczowy, pan mój.

— Czego płaczesz Spirydjonku? — zapytał łagodnie.

Chciałem przemówić, ale nie mogłem. Ból jakiś ścisnął serce. Zawyłem głośnym płaczem i padłszy do nóg pana mego, oblewałem je łzami i całowałem, szlochając.

Kałynsz podniósł mię łaskawie, pocałował w czoło i dobrem słowem uspokajał, i dobrą otuchę wlewał do duszy.

Kiedy spojrzałem na niego, postrzegłem, że był mocno wzruszony, tylko się hamował.

Strój jego nie był już ten, co pierwój. Za pasem skórzanym sterczała para długich janczarskich pistoletów; a szabla turecka krzywa i szeroka wisiała mu u boku. W rękę trzymał tatarski jatagan, w srebro oprawny.

— Spirydjonku! — rzekł do mnie oddając ów jatagan — weź tę broń na pamiątkę!

Kiedy wyszliśmy na podwórze, nie zastaliśmy tam nikogo, oprócz kilku mołodyków, i argatamów.

Na placu, koło cerkwi Pokrowy, czekały już kurenie w bojowym szyku, ze strzelbą nabitą.

Armatę postawiono na brzegu Podpolnej i puszkarze trzymali zapalone lonty.

Noc trwała jeszcze, światła księżycem, chociaż ciemna i groźna burzą niedoli i zniszczenia. Serce rosło we mnie w tej wielkiej godzinie śmiertelnego boju, co się gotował. Spojrzałem na koszowego, był zimny i spokojny na pozór; choć ten pokój był z wierzchu tylko, bo wiedziałem dobrze, jak u niego było smutno we środku. Spojrzałem na siczowe drużyny — stały jako mur, i duch bojowy zdawał się im z oczu patrzeć.

Porównałem wtedy ilość niewielką naszych z ogromną siłą nieprzyjaciela, com go widział na stepie.

Noc całą przestaliśmy w gotowości. Kiedy świtać zaczęło, straż z Baszty dała znać, że wojsko stanęło obozem o pół wiorsty od Siczy i rozbiło namioty, a puszkarzy uszykowało z liczną armatą szeroko ku Siczy, żeby nas wystrzelać jak kaczki. Lecz ponieważ nie dało żadnego wystrzału, to też milczała i nasza armata.

Dwóch konnych gońców wpadło pomiędzy kurenie, szukając koszowego. Skoro go postrzegli, pchnęli się doń i zeskoczyli z koni. Byli to młodyki pysara wojskowego, co jeździli gońcami do bliższych pałanek, i wracali nazad. Wieści ich nie były dobre. Pałanki stepowe poddały się bez oporu. W zimownikach i redutach, wojsko zostawiło swoje załogi, słowem, na żadną spisę ze stepu rachować nie można było.

Gdy się o tém Koszowy dowiedział, ciężko się zachmurzył. Spojrzał po siczowych kureniach — mężne, ale nie liczne! Umrzćć potrafią, lecz nie zwyciężą! Spojrzał po drużynie komputowej z pałanek (co niosła służbę w koszu, a teraz stała w szyku za kureniami) spojrzeł i oczy spuścił, nie liczył na nią!

Kiedyśmy koło niej przechodzili, ktoś ozwał się w szyku: *Czy my żurawli, szob spaty na jidnoj nozi? Wedyt', a ni, to osyłajte!*

Kilka innych głosów bąknęło także buntowniczym słowem.

Koszowy wstrzymał kroku, potoczył groźnie okiem, i wzięwszy w rękę pistolet, co mu tkwił za pasem, krzyknęła pierśią: —

komu życie miłe, niech milczy, bo jak sobace w łeb mu wypalę!
— Co to? — Czy ja mołodyk jaki, żeby mię błazen jakiś miał uczyć rozumu? — Dopóki buława w moich ręku, ja tu rozkazuję, a nie kto inny! Słyszycie?

Głuche milczenie panowało w drużynie pałaneckiej. Koszowy mówił dalej:

— Wyście sami przyczyną niedoli, jaka nad Zaporozem zawiła! — Z waszych rąk, a nie z innych upada Sicz kozacka! — Wyście jój mordercami! wy sami!

Na te słowa zawrzało w szykach, jak w kotle. Gwar oburzenia przebiegł drużynę.

Koszowy zamilkł, spojrział szydyczko na tłumy i czekał. Gdy ucichło w szeregach, rzekł surowo:

— Powtarzam, że nie kto inny, tylko wy sami zabiliście Zaporozę! Dopóki kozak był kozakiem, Sicz była Siczą, i niktby nie pośmiał grozić jój bezkarnie! Czy to raz bywało wróg chciał dotrzeć do kosza, żeby w samém sercu zabić moc Zaporozę?... Z ogniem i mieczem leciały tłuszcze szalone, a chociaż ich bywało tyle jak szarańczy, rozbijały się na miazgę o pierś kozacką, i step zasypywał ich kości kurzawą wichrów, i kosz zwycięzki rósł w sławę wysoko. Chcecie-li wiedzieć, z kąd to pochodziło?... Oto ztąd, że jedność i zgoda wiązały ciasno Zaporozców; że kozak czcil *Preczystą*, szanował starszyznę, kochał swoją rycerską cnotę, a tém samém i dbał jak *sliduje* o sławę swojej chorągwi!

A dziś do wrzawy, niesforności, pijaństwa i rozpusty, każdy z was ochoczy. . A wiecie wy co z tego wynikło? — To wynikło, że się Bóg od was odwrócił, i *Preczysta* wypuściła was z opieki swojej? — To wynikło, że ja, wasz hetman, wstydę się was! że ja kozak stary, nie uznaję was za kozaków!

Po tych słowach spojrział wzgardliwie na drużynę pałanecką, i odszedł do siczowych kureni.

Tu zrobiło się jakoś inaczej w oku jego i na twarzy. Dumnie,

choć i boleśnie razem, potoczył wejrzeniem po dzielnych hufcach kurennych, a powitawszy, jak się wodzi, tak przemówił do nich:

— Bratczyki! to co mówiłem do tamtych, nie stosuje się do was. Swawoliliście czasami nadto i *bisowi* nadstawialiście ucha, to prawda; ale zato wy mężni, jak przystało synom orlego gniazda! Wam taki weselej w bojowym tańcu, niżeli w karczemnych *prysiudach*; i ręczę, że nie ma pomiędzy wami żadnego, coby wolał wylegać się do góry brzuchem, niżeli gonić na ostre! coby zniósł obelgę bez odwetu, albo srom jassyru bez walki śmiertelnój! Wszak prawda? bratczyki!

— Prawda! prawda! Bat'ku! — huknęły kurenie.

— Widzicie bratczyki! — mówił dalej koszowy — *szo ja was znaju*. Teraz pytam was, co mamy robić? Żmij i Mołnia, mołodyki pysara wojskowego, co on ich posyłał do stepowych pałanek, wrócili z wieścią, że na pomoc stepowych pałanek liczyć nie możemy. Pałanki nie podniosły szabli, ani spisy, gdy je wróg nachodził, i dały się opanować jemu bez walki! Cały zatem step odpadł od nas z redutami i zimownikami, to jest z nadzieją odsieczy! Tyle nam tylko pozostaje hufu, ile go mamy w koszu, co ma znaczyć nie więcej jak dwudziestą część tego, co wróg na Sicz przyprowadził. Teraz mówcie, bratczyki co mamy robić? Czy poddać Sicz spokojnie?... Czy bronić się do ostatka?...

Zaledwie skończył, zmięszwały się głosy, stłoczyły okrzyki: — Bronić się! bronić do upadłego! — zawołano. Głośne hurra! zapalczywe pogroźki, gwałtowne nalegania do prędszego boju, krzyżują się w powietrzu.

Koszowy stoi nieporuszony i z dumą toczy okiem na te ogniście wybuchy kozackiej dzielności. On radby sam uledez temu popędowi męztwa, i puścić wodze rycerskiej duszy, chciwój swobody i walki. Na ustach jego zda się wisić gotowe hasło wojny; ale widać że je powstrzymuje, bo on nie prosty kozak a hetman, i odpowiedzialność krwi przelewu na niego padnie. Pośród rozognionych tłumów, on jeden spokojny i zimny na pozór.

A zapal coraz większy dokoła. Łamią się szyki, tłoczą w kupy bezładne, i wrą jak dniewrowe wiry, nagląc koszowego, by skinął tylko na szable gotowe, na spisy chciwe mordy i zwycięstwa.

Aż tu wpada goniec od Baszty z wiadomością, że Rosyianie posuwają się ku Siczy.

Wiesć ta powiększa wrzawę i nieład. Wszystkie kurenie zbiły się w jedną kupę ludu, co szalem uniesiony, wicherzył się koło hetmana swojego.

W tej chwili uderzono w dzwony cerkiewne. Podwoje święte rozwarły się nagle i zdziwione tłumy ujrzały wychodzącą procesyą. Poprzedzany chorągwiami, bractwem i duchowieństwem siczowém, stapał z krzyżem w ręku przewielebny archimandryt, ojciec Włodzimierz Sokalski.

Na ten widok umilkły tłumy; upokorzyły się duchy ogniste, i czoła pochyliły hołdownie.

Gdy się przybliżył do kureni pasterz siczowy, pobłogosławił im krzyżem świętym, a potem rzekł:

— *Dity!* — Jaki was szal opanował? Czego wicherzycie się daremnie? Nie człek, słabe stworzenie, rządzi na świecie, ale Bóg, pan nieba i ziemi! — On to osądził w mądrości swojej, że byśmy upadli, i tak być musi! On znalazł w sprawiedliwości swojej, żeśmy na to zasłużyli, i nie pozostaje nam, jeno upokorzyć się i znieść zasłużoną karę! Wyzywać na bój nieprzyjaciela, kiedy on w takiej ogromnej liczbie, byłoby przelewać krew nadaremnie, a tém samém buntować się przeciw najwyższej woli. Zaporozie było, bo Bóg chciał. Zaporozia nie będzie, bo Bóg chce! Niech się zatem stanie, *Dity*, według tego, co on chce, a zamiast wicherzyć się i szaląć, zawołajmy raczej w pokorze: *Na tia Hospodi upowachom — pomyłuj nas!*

Cóż wam więcej mówić będę, Lachy? I tak już zanadto rozgadałem się. Stary jestem, a do tego sierota. Nie mam przed kim wynurzyć się, a że wy mię chcieliście wysłuchać, to się nad

tém, co było, rozwiódłem szeroko. Może [to ostatnia moja spowiedź! ostatnia poufna gawęda! Dokończę więc jój, kiedy chcecie. Nie wiele mi już zostało mówić.

Otóż wypadło tak, że postanowiono poddać się.

Koszowy rozkazał wywiesić na Baszcie białą chorągiew.

Po zajęciu Siczcy odesłano koszowego i starszyznę do Stolicy.

Od kiedy upadła Sicz zaporozka, nie widziałem uśmiechu na twarzy Opanasa; marniał zdrowiem pośpiesznie, i w rok po przybyciu do Kamionki pożegnał nas na wieki.

Ja i Bajbuza, nie mogliśmy utulić żalu naszego. Bywało po całych nocach modlim się na jego mogile.

Wkrótce i Bajbuzy nie stało! Cała Kamionka szła za jego trumną z modlitwą.

Zostałem tedy na straży tych dwóch mogił, gdzie dwaj najlepsi moi przyjaciele spoczęli. Dniem pasłem wiejską trzodę, żeby sobie zarobić na kawałek chleba; nocą, jak kozak na bekecie, stałem na mojem żałobném stanowisku, by strzedz drogich popiołów.

Ośmdziesiąt lat przeszło żyłem tak w Kamionce. Całe pokolenia padały w mych oczach, całe pokolenia powstawały, by rozwiać się prochem nicości. Mogiła rosła za mogiłą. Czasy, ludzie, zdarzenia, wszystko się dokoła mnie zmieniało, a ja stałem wiecznie, jak dąb niezwalczony burzą, pośród rozgromu wszystkich i wszystkiego, stałem wierną beketą na straży moich ukochanych mogił, o których nikt już nie pamiętał na świecie, oprócz mnie! oprócz mnie jednego!

Teraz przyszedłem do Łegiedzyny, żeby przed śmiercią odwieść mogiłę ojca i matki. Wiecie już, bo mówiłem wam, że gdzie było nasze *obejście*, nie zastałem nic, kromia pustkowsia. Lecz i grobu rodziców nikt z mieszkańców Łegiedzyny nie umiał mi pokazać! Bolesnie mi się zrobiło. Pomodliłem się za dusze zmarłych na wiejskim cmentarzu i poszedłem do chat wieśniaczych, gdzie dawniej krewni nasi, kumowie i przyjaciele mieszkali.

Nikt mię nie poznał bo mię nikt nie widział; a tych co mię znali, nie było już na świecie!

Chciałem opuścić te strony i powrócić do Kamionki, ale czuję że mię tu coś zatrzymuje, jakby wspomnienie przeszłości i czar miejsca rodzinnego. A więc zwlekam codziennie pielgrzymkę moję. Chciałbym odejść i nie mogę. Wyjdę z sioła — i cóż? — Zamiast iść dalej, siadę w cieniu tych zarosli i patrzę na Łegiedzynie, i słucham, jój gwaru, a choć wszystko ucichnie i mrokiem nocy zapłynie, ja tak słucham i patrzę, jak gdybym się spodziewał ujrzeć ich na jawie, jeśli nie blisko, to choć daleko przedemną! Sprawiedliwe wyroki nieba! — Ta żądza, tęsknota, to ciężkie sieroctwo moje, to kara Boska za to, żem rodziców opuścił i serca ich zakrwawił, i starość smutkiem omroczył! Upadam Panie przed Tobą, Ty zmiłuj się nademną!

Mocno nas te ostatnie słowa Spiridyona rozrzewniły. Kazdemu z nas stanęło i własne sieroctwo przed oczy. I my także nie mieliśmy ani ojca, ani matki! I nam także świat żywych był pustynią, bo ci, którzy nas kochali, już niestety! do świata umarłych należą! I chłodno nam bez nich, i tęskno!

Starzec miał oczy zwrócone ku Łegiedzynie i szeptał cichą modlitwę. Ognisko przygasało w popiele, i świtem porannym zachodziła wschodnia część nieboskłonu. Step budził się ze snu i poczynął otrząsać swą zasłonę mroków. Cichość była wielka w naturze, tylko dzwon cerkiewny brzmiał pobożném hasłem w Łegiedzynie, i na zielonych gałązkach *bajrac-ka* swiergotało ptactwo. I coraz widniej było na wschodzie. Rumieniec Aurory wyrzał z pod białej obsłony świtu i coraz okazałej promieniło się niebo purpurą i złotem, i coraz skwapliwiej uciekały w obszar cienie padołów. Już, już, wstępuje słońce nad poziomy. Smugiem szkarłatnych ogni zapłonęły czyste lazury i step wdział swoją świąteczną szatę z dyamentów.

Hosanna! zawołałiśmy z Lipowczyńskim, w porywie zachwytu i uwielbienia.

Starzec modlił się jeszcze, a młodociany promień poranku opadał złotym wieńcem na sędziwą skroń jego.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział I.

Oryginalne wpatrywanie się Lipowczyńskiego w naturę. — Nocleg w Humanii. — Zofiówka.

Jechaliśmy pomału, owiani marzeniem. Słońce stało w zenicie i rozległy krajobraz stepowy roztaczał się dokoła, ozłocony jego jasnością. W głębi ku Humaniovi, ćmiły się sine konary lasów, przecięte wstęgą pocztowego szlaku. Mniej w tym obrazie było uroku, nizeli dzikości; lecz i ta dzikość tchnęła poetycznością dziejową, i ta dzikość miała swój właściwy urok, wylęgły ze wspomnień, jakie z niej czerpał umysł i sercu udzielał.

Ten step milczący, jakże głośno przemawiał do wyobraźni! jak wiele dum poważnych nawodził! i jak wymownie znikomość rzeczy ludzkich malował! Tu każdy niemal cal ziemi miał historyczne znaczenie! Nie znajdziesz miejsca, gdzieby krew nie ciekła i nie rozstrzygał się los bojów zaciętych. To nogajskiej czerni huragan przelatał, to się kozak wręcz ścinał z sarmackimi hufy; szable lśniły i spisy; grom rusznic uderzał, tentent koni, gwar napadu, hasła i wołania brzmiały tutaj rozgłośnie—brzmiały i zamilkły!

Czas pochłonał głos ludów, ich ślady rozproszył, ich szczątki porozwiewał, ich losy przekształcił. Z tyłu duchów ognistych, gdzie choć jedna iskra? gdzie ton jeden tych gwarów? atom tłumów takich? Może kurhan lub majdan stepowy odpowie?

może jaka bałka zielona? lub cienisty bajrak? może wiatr, co pustynie przebiega od wieków? lub wicher, co kołuje czarnym pyłem stepowym?...

Milezy kurhan, choć dawne zapamięta dzieje; milezy majdan rozpadły w rozgromie nawałnic; bajrak liściem szeleści, bałka chwastem szumi — lecz ich mowa tajemna, jak otchłań przeszłości!... i wiatr dalej poleciał — i wicher ucieka!...

Kiedym tak dumał, Lipowczyński rzekł do mnie:

— Czy pan wie, że ile razy mi się zdarzy spotkać na stepie kołujący wicher, wyobrażam sobie, że to się kręci duch jakiegoś dawnego wicherzyciela Ukrainy, np. Chmielnickiego, Palija lub Sahajdacznego. Śmieszném to jest zapewne, wyznaję, ale cóż ja temu winien? Nie jam sobie dał wyobraźnię. Jaką mi dano, niech będzie taka. Wreszcie, zgodzi się pan ze mną, że ożywiona w ten sposób natura, większej nabiera poezyi i czyni mniej samotnym człowieka. Ztąd cały urok mytycznych podań i legend. Niezależnie od woli mojej, wyobraźnia nadaje żywe, analogiczne znaczenie wszystkiemu, co dla innych jest tylko prostym fenomenem fizycznym, lub martwym, bezuczuciowym przedmiotem. Nieraz mi się zdarzało szukać spółczucia jakiegoś znajomego dęba lub jesiona; wzywać pociechy źródła leśnego lub kwiecistej łąki; w jękach wiatru słyszeć płacz litośny, lub hasło duchów przychylne; a odgłosy puszczy i lasów brać za stukanie *lisowików* o drzewa, za szepty i korowody rusałek swawolnych. Wierzyć w to seryo nie mogłem, ale tak sobie wyobrażałem, a żądza chwilowa téj wiary stawała mi za samą wiarę. Zkąd to pochodzi? łatwo odgadnąć. Z połączenia wrodzonej poetyczności ze smutkiem, wynika potrzeba wyśpołecznienia się; a brak spółczucia ludzkiego prowadzi do szukania spółczucia natury. Nie ma w tém grzechu, bo to jest poddanie się chwilowe dziecinnemu złudzeniu zmysłów, nie zaś rozumu, bo główną pobudką tego pograżenia się w naturze, jest myśl hołdowna dla Boga i wiara w jego opiekuńczą obecność we wszystkiém i wszędzie.

Jeżeli dodasz do tego urok wspomnień, przywiązanych do miejsca, które chociaż piękne samo przez się, krasi się nadto powabem wrażeń dawnych i jasnych odbłyśków lat i snów młodzieńczych, pojmiesz, dlaczego tak lubię moją ukochaną Luliniecką Polanę, i dla czego nic równie miłego w długim obłędzie moim po świecie nie napotkał.

Dnia tego nocowaliśmy w Humaniu. Bywałem tam, kiedy jeszcze dziedzicem tego miasta był zacny Aleksander Potocki. Wyszedłszy z jego rąk, Human wygrał na pozorze; schludność zastąpiła miejsce dawnego nieochędóstwa, *makadam* pokrył błotniste niegdyś ulice; znikły kupy gnoju klasyczne, któremi odgradzały się żydowskie austerye od reszty świata; i same te, tak nazwane, austerye przerodziły się w postacię porządných, postępowych kamienie.

Dniem największej świetności dla Humania, bywała uroczystość apostołów Piotra i Pawła, rozpoczynająca szkolne popisy. Na dni kilka przed 29-ym czerwca, zewsząd spieszyli rodzice z familiami. Karety, koczki, bryczki, wózki, ba nawet napiętnowane archaizmem, wierne trzem pokoleniom karoce i landary, ciągnęły wtedy z czterech kardynalnych stron świata do tej mety ogólnego wojażu, ze sporym ładunkiem masła, bryndzy, powideł, szynki i bitego drobiu. I nie jedni tylko rodzice, krewni, przyjaciele uczestniczyli w tej wyprawie. Widziałeś tam mnóstwo figur, obcych interesowi ogólnemu; miłośników towarzyskości i zabawy; modnisiów, fireyków, wiercipiętów, spekulantów salonowych, dążących zwykle do świetnej, lub złocistej partyi; kuglarzy socyalnych rozmaitej barwy; wykpigroszów kartowych, zręcznie władających talią, która im dostarczała na zawołanie *honorów*, w zamian ich sponiewieranego honoru; trefnisiów gatunkowych i prostych, rozumnych i płaskich, mniej lub więcej wziętych w towarzystwie, którego byli członkami z rodu, a parazytami z powołania; słowem, nie było typu, któ-

regobyś nie znalazł w tém gęstém zbiegowisku różnorodnych indywidualności.

Wszystkie barwy duszy, umysłu i herbu; wszystkie stopnie pojęcia, zasługi, wdzięku, szpetności i bogactwa, przesuwały się kolejno przed oczyma twemi, rzekłbyś, próbki całego człowieczeństwa. Nie było kąta wolnego w żadnej austeryi; rzemieślnicze dworki i chaty mieszczańskie pękały od ścisku; bajecznymi cenami opłacano każdy prawie cal swobodnego miejsca. A po ulicach zgiełk, gwar, niesforne krzyżowanie się ruchów, niestrojna kakofonia turkotu, tentnienia, skrzypu, trzasku, ryku krów, bęku kóz żydowskich, wałęsających się swobodnie: słowem cała toniczna skala sabatu Łysój-Góry!...

W piękną pogodę całe miejscowe i napływowe towarzystwo Humania ze wszystkiemi odcieniami swémi, skupiało się zwykle w Zofiówce, téj cudnej epopei sztuki i gustu wsławionego *Melcla*.

Komuż obce uroczé imię Zofiówki? Dźwięcznie przebrzmiało ono na lutni natchnionej Trembeckiego. Nie jedno pióro słaWiło ją. Nie jedna wyobraźnia młodzieńcza opromieniona poezją, nie jedno serce młodzieńcze pragnące miłości, lub szczęśliwe jéj nadziemskim czarem, dumaly błogo w jéj cienistych gajach, w jéj świeżych i tajemniczych grotach, gdzie nieraz i smutek szukał schronienia, i rozpacz szukała pociechy! Jakże wielką być musiała potęga estetyczności mistrza, co w tym ciasnym parowie zdołał tyle gustu uzmysłować, tyle zawrzeć piękności i poezyi. I sztuką sięgał on wysoko; bo nie naturze winna Zofiówka swe wdzięki, a sztuce, która tym głazom dzikim nadała malowniczość układu; tym kniejom i gajom przepisała prawa światłocienia i form harmonijnych; tym wodom niesfornym nakreśliła biegi porządne, wierne i niezmiennie.

Melcel był polskim *Le Notrem*, jeżeli nie wyższym od niego. Ten co stworzył Zofiówkę, stworzyłby i wersalskie ogrody. Jak umiejętnie korzystał on z miejscowości; jak analogicznie stoso-

wał przedmioty doidei i kreślił martwemi bryłami, gdyby pędzlem lub piórem, duchowe pomysły. Patrz na tę kolumnę, ściętą u wierzchu i umieszczoną w cieniśm ustroniu... to obraz dni przeciętych w kwiecie; *memento mori* znikomości naszój!... I gdzież umieścił on ten głąz wymowny przestrogi?... nad bystrym strumykiem, allegoryą chwil przelotnych; obok ścieżki złudzeń i uciech życia, bo wiodącój od światła, zieleni i wrzawy rozlegającój się do koła jasnej toni ze złotými i srebrnymi rybkami*), gdzie olbrzymi wazon z porfiru technie balsamem najcudniejszego kwiecia; gdzie modra toń jeziora igra wytryskiem fontanny; gdzie kaskada, strącona ze skały, rozpuszcza swe białe zasłony dziewicze; gdzie bóstwa Grecyi i Romy, witają marmurową zrenicą snujące się tłumy, zapominając własnego smutku w brzmieniach ogólnego wesela.

Zofiówka się dziś odznacza staranniejszém daleko utrzymaniem; roboty zwłaszcza hydrauliczne odbyły się nader troskliwie pod zarządem generała *Traskina*, naczelnika Okręgu, który kazał wszystkie żyły fontan i komunikacyjne kanały wód, oczyścić i odnowić. Ale na powierzchni wielkich kamieni, którym natura miejsca łącznie z myślą *Melcla*, kazała pozostać w normalnej dzikości swojej, nakreślono regularne rabatki z różnobarwnych stokroci... w koła, trójkąty i czworoboki. Na terrasie ułożono z dzikich kamyków grotę. Zamiast owęj lekkiój drewnianęj galeryi nad jeziorem, którą dźwigały bez trudu słupy korą okryte, w stylu eklogi lub idylli, stanęła ciężka budowa z cegły, trwalsza może od tamtęj, lecz wcale nie estetyczna.

Projektowano nawet jakiegoś olbrzymiego węża, który miał leżeć skręcony na kamieniu, pośród jeziora i gargaryzować sobie fontanną *Melcla*. Idea ta już była w części uskutecznoną. W mojęj przytomności położono monstrum straszliwe na kamieniu; ale cóż?... pokazało się, że poczciwiec musiał nie lubić

*) *Ciprinus aureatus* i *Ciprinus rutilus*.

wody, bo pomimo usilności rzemieślników i nalegań hydraulika, tak się zaciął, że tylko łyssał oczyma, ziewał czerwoną paszczą, a strzelić wytryskiem odmawiał.

Skończyło się bardzo naturalnie: wąż nieposłuszny poszedł do ciupy, to jest do składu, a fontanna rada z oswobodzenia swego od tak straszliwego spółnika, skoczyła w górę wesoło.

Rozdział II.

Zofiówka. — Piotr Potocki. — Książd Truchses. — Adam Rzewuski. — Waleryan Przyłuski. — Staruszkowie.

Będąc w Humaniu, byłoby grzechem nie odwiedzić Zofiówki. Poleciwszy zatem Jankowi, żeby konie opatrzył i przygotował do drogi, udaliśmy się tam pośpiesznie. Pułkowa muzyka grała uwerturę z Frejszyca, w nowój galeryi nad jeziorem i szmer wód wtórzył jój donośnie.

Bywałem w Zofiówce corocznie od 1823 roku do 1829, to jest przez cały prawie końcowy peryod jój największej świetności.

Najpierwsze miejsce między gośćmi, tam się na ówczas zbierającymi, trzymał Piotr Franciszek Potocki, starosta Szczerzeczki, potomek pięciu kasztelanów krakowskich, sześciu hetmanów i ośmnastu wojewodów. Był to starzec przeszło ośmdziesięcioletni. W zawodzie obywatelskim, znakomity. Posłując od stanów Rzeczypospolitėj do Turcyi, chlubnie się zalecił. Mieszkał zwykle w gubernii kijowskiėj, w miasteczku dziedzicznym Biłółowce, gdzie słynny powagą, rozumem i szlachetnością prawdziwie pańskiėj duszy, dożył dni swoich, otoczony miłością i hołdem. Była to perła Potockich. Gościnność jego odznaczała się kordyalnością i prostotą. Lubiał wspominać dawne rzeczy. Ogród,

gawędka poufna i czytanie dzieł poważnych, były to uciechy, którym się *con amore* oddawał. Zdarzało się i to czasami, że dla rozmaitości, ciął sobie marysika z dostojnym proboszczem Biłolowieckim, księdzem kanonikiem baronem von Truchses, którego wielce poważał dla cnót jego kapłańskich i rozumu.

Ten ksiądz Truchses była to postać kolosalna, rubaszna i więcej militarna niż duchowna. I cóż w tém dziwnego? wszak był rzeczywiście przed laty rotmistrzem czy kapitanem; ręczę że waga jego teutońskiej prawicy musiała nie jednemu dać się porządnie we znaki. Truchsesowie są pochodzenia krzyżackiego. Dom ten dotąd stoi wysoko w Prusiech i zdobi się hrabiowskiem godłem na swojej herbowej tarczy.

W pobliżu Biłolówki, rezydencyi pana starosty Szczerzeckiego, mieszkał spólcześnie w Pohrebyszczach, Adam Wawrzyniec Rzewuski, tajny radca i senator rosyjski; przedtém poseł do Danii od stanów Rzeczypospolitej i kasztelan Witebski. Był on synem Stanisława feldmarszałka-lejtnanta wojsk austryackich, i księżniczki Radziwiłłówny, córki Radziwiłła-Rybenki.

W liczbie antenatów swoich liczy także słynnego hetmana wielkiego koronnego i kasztelana krakowskiego. Jaką dozę moralnego spadku wzięł po tym obywatelu pan kasztelan Witebski, wiadomo to było najlepiej jemu samemu i Bogu. Co do mnie, tylko to mogę twierdzić stanowczo, że nikt go nie prześcignął blaskiem pozorów, nikt mu nie wyrównał ukształceniem, wymową, godnością układu, nauką i wspaniałością postawy. Wszystko w nim tchnęło arystokratyzmem, wykończonością, oglądą, a piękność, którą się za młodu odznaczał i tak wysokie na dworze Duńskim osiągnął successa, towarzyszyła mu stale aż do podeszłej starości. On to był ojcem autora *Pamiętników Soplicy, Listopada i Zamku Krakowskiego*.

Wspomnieć jeszcze należy Waleryana Przyłuskiego, dziedzica Mszańca, Pustochy i Napadówki, ludnej i pięknej wsi w powiecie Lipowieckim o mil trzy lub cztery od Pohrebyszcz położonej.

Przyłuski był za rządu polskiego komisarzem cywilno-wojskowym i szambelanem Stanisława Augusta. W późniejszym czasie piastował urząd marszałka powiatu Lipowieckiego. Zręczny, dowcipny, krotofilny, ciekawy, a zatem wściubski, nie puszczały mu mimo oka i ucha, musiał nie być biernym widzem tego wszystkiego, co się w ówczesnym wielkim świecie warszawskim, a mianowicie u dworu, działo. W istocie z kąd pochodziły stosunki jego z Wołkońskim, Repninem, Tutulminem, Igelströmem, Stakelbergiem?... stosunki realne i bliskie, udowodnione pozostała po jego śmierci korespondencją? W jakim celu odbył w tymże czasie podróż z Warszawy do Paryża, gdzie miał poznać żyjącą jeszcze wtedy panią Dubarry, i gdzie, jak powiadał, podobano się Paryżanom nazywać go nie Przyłuski, ale *prince Luski*?...

Nie pozwalając sobie budować stanowczego zdania na domysłach i pozorach, wnoszę jednak, że w tém wszystkiém kryła się tajemnica jakaś polityczna, lub intryga dworska, której sprężyną obrano szambelana Przyłuskiego. I rzeczywiście natura stworzyła go do takiej roli. On był wieloną gazetą gwarów, plotek, szeptów, wieści, skandalów jawnych i skrytych, realnych i wymyślonych, którymi obdzielał hojnie gości, znajomych i sąsiadów, z dodatkiem własnych koncepcików, nader sarkastycznych i ostrych. Nie było zdarzenia tak drobnego w okolicy, o którymby się nie dowiedział, któregooby nie wysledził przez swego arendarza Fiszka, lub starego kozaka Netudę, tych genialnych agentów jego nadmierniej ciekawości.

Kiedy go poznałem w domu babki Lipowczyńskiego, sędziwej pani Joanny Strutyńskiej, starościny Horodelskiej, musiał mieć bodaj czy nie dziewięćdziesiąt lat wieku. Był suchy i zgarbiony, ale dość żywy i ruchawy. Sarkazm i dowcip cechowały twarz jego chudą, z lekka przyémioną wiekiem starości. Lornetki nie odejmował od oka, a facecyom nie było końca. Mieszkał wtedy w swojej bogatěj i pięknej Napadówce, trzymał dom otwarty,

gęsto uczęszczany, bo gościnny i zapaśny, i delektował się swoim Jasiem, Benjaminem rodzicielskiego serca, który był już o tej porze kamer-junkrem dworu, kawalerem orderów, marszałkiem Lipowieckim, brzuchatym ośmiopudowym i półwiekowym Janiskiem a nie Jasiem.

Jeden z jego antenatów, a mianowicie Jakób Przyłuski szeroko słynął nauką. Był wielkim hellenistą i łacinnikiem. W 1553 roku wydał księgę praw, która dała imieniu jego sławę rozgłosną w narodzie. Orzechowski cenił go wysoko. Jan z Dukli, brat Waleryana Przyłuskiego, był starostą piotrkowskim, kasztelanem brzeskim, kawalerem Św. Stanisława i Orła białego i mieszkał w Butowcach na Wołyniu.

Nie na tych trzech typowych postaciach ograniczał się komput przedstawicieli epoki Stanisława Augusta w naszej okolicy. Wielu ich żyło jeszcze po różnych jęj zakątkach. Widziałeś ich stąpających poważnie wśród młodych pokoleń, co się do nich tuliły, jak drobne krzewy do stuletniego dębu.

Znałem ich wielu, sędziwych wiekiem, skromnych zasługą, bogatych w klejnoty wspomnień, którymi obdzielali młodszych i nieświadomych. Znaczne te i sędziwe postacie, żywa tradycya pojęć i czasów ubiegłych, nie były bez wpływu na ogół społeczeństwa.

W dniach uroczystych Zofiówki, kiedy się cała okolica stawić zwykła na jęj hasło, i staruszkowie nasi, uniesieni ogólnym potokiem, przybywali także do tego ogrodu Armidy, by trochę pomarzyć przy szumie fontan, wodospadów i strumieni, by życiem młodych pokoleń ogrzać chłód swojej starości i białość siwego włosa ubarwić znikomem kwieciem wesela. Słyszałeś wtedy nie-raz poważne jakieś opowiadania, obok swawolnej młodzieńczej ochoty, obok zalotnych frazesów wierecipiętów i modnisiów i facecyjek jakiegoś społecznego trefnisia lub nuty ulotnej jakiejś śpiewki nocnej, w gronie rzeźwiącej się młodzi.

Rozdział III.

Dyzma Tomaszewski. — Paulina I....ska. — Genowefa Dachowska. — Eufrozyna Tyszkiewiczowa. — Jan Przyłuski. — Mikołaj Przyłuski. — Książę Eustachy Sanguszko.

W liczbie przybyłych na powitanie państwa Sarneckich, nazwałem w poprzedzającym rozdziale pana Józefa Tomaszewskiego. Był on synem znanego Dyzmy Bończy Tomaszewskiego.

Postać Dyzmy Tomaszewskiego przedstawia się wydatnie na tle epoki stanisławowskiej. W 1789 r. Tomaszewski był obrany z braclawskiego posłem na trybunał lubelski; w 1789 roku został w Braclawiu komisarzem cywilno-wojskowym; w 1792 roku towarzyszył Potockiemu do Jass; jeździł z nim do Petersburga; przyjął sekretarstwo konfederacji targowickiej; i mianowany ministrem rezydentem w Amsterdamie, udał się do Wiednia, dokąd przyjsć miały na jego imię wierzytelne listy od kanclerza, księcia Sułkowskiego. Lecz kiedy po drugim podziale kraju sejm grodzieński uznał poselstwo do Hollandyi niepotrzebném, Tomaszewski pozostał za granicą, przepędził lat prawie dziesięć we Lwowie i Wiedniu, poczem w skutek usilnych nalegań S. Potockiego wrócił do kraju, a otrzymawszy od przyjaciela swego w Tulczyniecznie wieś Popówkę w dożywociu, mieszkał tam do samėj śmierci, to jest do 1825 roku. Tomaszewski, uważany jako pisarz, nie był bez zalety. W Jagiellonidzie, tak nielitościwie wyszydzonej przez Mickiewicza, są piękne ustępy. Tomaszewski był niezaprzeczenie poetą, lecz poetą swėj epoki, kiedy się jeszcze nie umiano oswobodzić od jarzma klassycyzmu i naśladownictwa form rzymskich i francuzkich. Jagiellonida wyszła na świat w 1815 roku. „Rolnictwo“ i komedia pod tytułem „Matzeństwo w rozwodzie“, pojawiły się daleko pierwój. Rolnictwo 1794 roku, a komedia 1780 roku. Oprócz tych prac Tomaszewskiego, mnóstwo pism jego urywkowych krąży w polskiej przestrzeni, a wszystkie noszą piętno zacości, gustu i dowcipu.

Takiego to ojca był synem pan Józef Tomaszewski, dość młody jeszcze mężczyzna o wyrazistej i przyjemnej twarzy, pijący obecnie herbatkę w gronie gości zebranych u państwa Sarneckich. Rozmowa szła poufnym i swobodnym torem. Gospodarstwo ze swoją nieodłączną pszenicą rej wiodło na wstępie. Pierwszy głos trzymał w tej dyskusji pan Jasiński, jako mecenas krajowego rolnictwa i przemysłu. Wołodkowicz, Opacki i sam pan Marek, dotrzymywali mu placu.

W przeciwniej stronie pokoju odbywało się pod przewodnictwem pani Sarneckiej innego rodzaju posiedzenie, którego członkami byli: Czarkowski, Grodecki, Strumiłło i Ożarowski. Z wyższych sfer wiedzy brano tam treść do rozmowy. Z najczystszej przędzy snuto nie nieskazitelną uczucia. Muzyka, poezya, sztuki, te jasne objawy boskości duchowej człowieka, ulegały tam roztrząsaniu i analizie porównawczej. Według pani Sarneckiej, znakomitej amatorki muzyki, ton stał wyżej od pędzla i dłuta, a nawet od poezyi. Czarkowski stawiał wyżej poezyę, jako objaw ducha trwałą, nie tak przelotny jak dźwięk i wyraźniejszego znaczenia. Grodecki podzielał zdanie Czarkowskiego, przyznając także malarstwu i rzeźbiarstwu wysoką cywilizacyjną potęgę. Strumiłło trzymał z panią Sarnecką.

— Pędzel i dłuto — mówił on — w najwyższej potędze swojej, nie zdołają w rękę Rafaela i Kanowy nawet sprostać muzyce siłą wrażenia, jakie ona na człowieku wywiera. Wibrując harmonijnie myśl jaką natchnioną, smutku lub wesela, pokoju lub rozpacz miłości lub nienawiści, ton kreśli żywymi głoskami, nie chwilę jedną w bycie, nie moment jeden w uczuciu, jak to czynią malarz i snycerz, lecz całe pasmo tych chwil i uczuć, z których się składa historia cierpień serca i jego rozkoszy. Tém się właśnie zbliża poezya do muzyki, która jest także poezyą; z tą jednak różnicą, że poezya działać tylko może na niektórych, muzyka zaś działa na wszystkich, bo chociażby i nie była pojętą umysłem, ocenioną w całkowitej treści swego moralnego zna-

ezenia, to same już fizyczne jój działanie na nerwy, udziela jój wyższego wpływu od tego, jaki wyrzucić są w stanie pędzel lub dłuto, a nawet sama poezya pozbawiona tonu.

— *Mon ami!* — zawołał Ożarowski z komiczną affektacją — prześlicznie mówiłeś, chociaż nie bardzo wiem o czém. A — *des beaux arts!* O sztukach! Według mnie, najpierwszą ze sztuk, jest sztuka mięsa, kiedy kto głodny, i sztuka weby, sukna lub materyi, kiedy kto potrzebuje koszuli, surduta lub kamizelki. (Do pana Sarneckiego.) *Mon ami!* panie Marku! Czy przestaniecie nakoniec paplać o pszenicy, jakby jakie plebejczyki albo ekonomy? *Est-ce une conversation de gentil-homme? hein?!* Może zagramy w wiseczka? *Qu'en dites Vous mon ami?* W naszym kółku zagajono tak narkotyczną dyskusyją, że prawdziwie ledwie zdołałem się oprzeć Morfeuszowi!..

Kiedy tak mówił, drzwi się otworzyły nagle i weszło dam kilka. Miłe powitane, bo miłe, zajęły ustąpione przez mężczyzn miejsca i nowy tok rozmowie nadały. Pani Paulina I....ska, P...ska z domu, młoda, kształtna, nadobna kobiecina, z głosiakiem słowika i oczkami gazelli, usiadła przy pani Sarneckiej i wnet o strojach, balach, koncertach, Rossinim, Wiedniu, Paryżu i Londynie szczebiotać poczęła. Pani Genowefa z Gruszeckich Dachowska, równie nadobna i młoda, lecz większej gruntowności i powagi, wybrała sobie miejsce obok pana Sarneckiego, sąsiada jój domu i przyjaciela. Pani Eufrozyna z Szołajskich Tyszkiewiczowa, wysokiego wdzięku osoba, słodyczą oka, rysów i głosu, oraz godnością układu niezrównana, umieszcila się wespół z prześliczną i młodziuchną kuzynką swoją Zosią Szołajską na kanapce, gdzie Żania i Wiktusia cieszyły się zawczasu oglądaniem nazajutrz Zosiówki, szczebiocąc o fontannie jeziora, o pięknej kaskadzie i złotych rybkach sadzawki.

Ztąd temat do ogólnej rozmowy, temat obfity, niewyczerpany, bo przenoszący naturalnemi spadkami z przedmiotu do przedmiotu, od alfy do omegi, to jest od samój Zosiówki, do jednostek

obojga płci, z których się miało składać nazajutrz towarzystwo zofiowieckie. Gdy się tak zabawiano nie bez draśnięcia bliźniego (czém się najwięcej odznaczała nadobna Paulina I.....ska, w asystencyi sprzymierzeńca swojego Ożarulka), weszli do pokoju pan Jan Przyłuski z Napadówki i pan Mikołaj Przyłuski z Mszańca, bracia rodzeni, synowie tego znakomitego Waleryana Przyłuskiego, (którego pobieżną monografią naszkicowałem wyżej) i Heleny z Zamojskich, siostry pani starościny Strutyńskiej z Luliniec. Ci panowie byli więc cioteczno-rodzonymi braćmi pani Markowej Sarneckiej i także przybyli do Humania na Piotra. Natura, serce ojca i opinia kraju, postawiły Mikołaja i Jana, na dwóch ostatecznych punktach kontrastu. Natura wionęła w nich dusze niejednostajne; serce rodzicielskie niejednostajnie ich kochało i wyrok publicznego zdania przychylił się, bodaj czy nie jednogłośnie, na stronę jednego z nich, ze szkodą drugiego. W istocie, pomiędzy Mikołajem starszym, a Janem młodszym, istniał niezmierny przedział moralny. Dzień i noc, zima i lato, nie są sprzeczniejsze od nich. Mikołaj, trzpiot nieogłędny, wróg etykiety, fanaberyi i aktorstwa, waryat do konia, majster do mazura, szaleniec na łowach, dziwak wyśmienity zawsze i wszędzie, czy to w salonie, czy w kniei, czy w karczmie na chłopskim weselu, gdzie ciął z dziewczkami i mołodycami ogniste ober-tasy, nosił się w przysudach, sypał rześiste hołubce i wychylał czarę po czarce, intonował hulaszczę strofy ukraińskiej, plebejskiej Muzy, pod rytm karczemnych skrzypiec, bębenka i cymbałów — Mikołaj mówię, szczery, przyjacielski, dobroczynny, nieskazitelny duszą i myślą, inną był zupełnie istotą niżeli Jan, wiecznie omglony ministeryalną jakąś maską etykiety i dworzeczyzny, gardzący wszelką dzielnością i zuchostwem, jako atrybutami niegodnymi człowieka dobrego tonu, chłodny jak polarna gwiazda, a przytém sprytny jak Figaro, gościnnie jak magnat dawnych czasów, komik jakich mało, władający sarkazmem po mistrzowsku; słowem gość i amfitryon nieporównany, chociaż

człowiek... nader zwyczajny. Jemu się jednak, jemu, a nie Mikołajowi, dostała większa połowa ojcowskiego serca. W domu, nie estetycznym wprawdzie, lecz wystawnym, mieszkał pan Jan przy ojcu, gdyby pączek w maśle. Pod ciężarem kosztownych sreber, kryształów i saskiej porcelany, ugięły się police składu. Sprzęt bogaty napełniał salony, ozdobne mozażkowemi pilastry i słupy. Koni i powozów było podostatkiem. A całą intratą Napadowiecką, nie ojciec, a syn rozporządzał. Mniejszą daleko, mniejszą bez porównania schedę dostał Mikołaj od ojca. Mszańiec z częścią Pustochy, pod Machnowką, toż to zaledwie ćwierć ludnej i żyznej Napadowki! A w domu gołe ściany, a w składzie pustki, a w stajni i wozowni sześć tylko myszatyh koników i jeden przedpotopowy kocyk, a w kieszeni... zero! Że panu Janowi ojciec kupił kawalerstwo maltańskie, wyrobił jakąś niedoszlą kandydaturę na jakieś tam prezesostwo, że z łaski feldmarszałka księcia Wittgensteina, przy którym się trzymał w Tulczynie, pan Jan został kamer-junkrem dworu, a później dopiął marszałkostwa lipowieckiego... Mikołajowi było to wszystko jedno, bo nie dbał bynajmniej o tego rodzaju dystynkeye, poprzestając na tój, jaką się widział zaszczyconym skłonnością serc sąsiadów swoich i współobywateli.

Kiedy salony napadowieckie tchnęły w dniu galowe etykietałną oficjalnością, i pan Jan wystrojony w herbowe guziki i ordery, wyprawiał uczyty, smaczne wprawdzie i obfite, chociaż przychylniejsze żołądkowi niżli sercu: Mikołaj stawiał barszcz i kaszę na dębowym stole; pił w ręce gościa blaszanką starki, i tąż samą starką zamieniał Kseresy, szampany i maraskina. Bywało i to czasami, że Rauszer winiarz berdyczowski, wstawszy nie lewą nogą z łóżka, a prawą, i czując siebie *eo ispo* lepij usposobionym, nie odmawiał pocziwemu debitorowi swemu nowogokredytu; wtedy o dziwo! pojawiała się w Mszańcu jedna, druga butelczyna małmazji lub tokaju, i gońce nieśli wichrem tę wieść pomyślną po sąsiadach, i sąsiedzi śpieszyli rojem na

serdeczne wezwanie przyjaciela, który oczekiwał ich niecierpliwie, na ganku w szaraczkowym kubraku, w szarawarach kozackich, w czapeczce na bakier, z fajeczką w gębie i flaszą starki w ręku, dla odprawienia libacyi družbie, u progu swoich Penatów. Przybyli, i wypili; podjedli co Bóg dał, i znowu wypili; pogawędzili o tém i owém, poswawolili z dziewczętami w praczkarni i piekarni, narobili psoty staruszce klucznicy i jeszcze wypili na waletę. Czas im przebiegł błyskawicą; już konie u ganku; gospodarz w assistencyi przyjacielskiego chóru zaintonował żałobne *Requiescat in pace!* próżnym butelkom małmazyi i tokaju; wskoczył z gośćmi do nejtyczanki, i polecieł! — Dokąd? — a Bóg ich raczy wiedzieć! — może do Machnowki na billard; do Berdyczowa na jarmark, lub na jaką awanturę z huzarami; może na Wołyń, na Podole, lub dalej!

Takim to trybem biegło życie téj wietrznej i pocziwój istoty, zwanój Mikołajem Przyłuskim. Duszą dziecka bujał on w doczesności. Z sumieniem dziecka istniał w obec świata i Boga; a chociaż swawolił, bliźniemu nie szkodził; a w tém rzecz cała. Figielków jego i na wołowej skórze nie spisać. Kiedy po śmierci kasztelanowej Przyłuskiej, Urbanowskiej z domu, dożywotniczki po mężu, klucz Butowiecki na Wołyniu spadł prawem naturalnej successyi na Mikołaja i Jana Przyłuskich, nastąpił dział pomiędzy braćmi, mocą którego Mszaniec i Puštocha złoży się ze schedą Jana; Butowce zaś z wsiami poszły na rzecz Mikołaja. Znacznie wzbogacony posiadaniem tak pięknej fortuny Mikołaj, pozostał jednak takim, jakim był zawsze. Ozdobne salony nie zmieniły go bynajmniej. Urząd Marszałka, który mu narzuciło gwałtem obywatelstwo Zasławskie, nie zwichnął ani jego prostoty, ani téż jego uległości Bachusowi i Cyterze.

Największy ze czcicieli bożka winogron i bogini rozkoszy, stary książę Eustachy Sanguszko, tak wielce się rozkochał w Mikołaju, że go dopuścił do najpoufniejszych z sobą stosunków, dał mu na zawołanie apartament w zamku Zasławskim, oraz

przywilej nieograniczony wolnego szafunku piwnicą zamkową, która, jak wiadomo, słynęła w kraju doborem trunków, tudzież ich mnogością. Lecz Mikołaj nie przyjął ani apartamentu, ani piwnicy.

— Z łaski Boga — mówił do księcia — mam ja swój własny dom w Butowcach; a dopóki posiadam parę złotych w kieszeni, znajdę sobie kąt w Zasławiu. Jestem prawdziwym przyjacielem księcia, ale od niego nic nie przyjmę, oprócz szacunku i serca!

Książę prosił, dokuczał, nalegał, gniewał się nawet — nie pomagało! Mikołaj był nieporuszonym. Nadchodził dzień jego imienin. Książę Eustachy rady sobie dać nie mógł, tak się mu chciało zrobić Mikołajowi jakiś prezent na wiązanie. Długo się wahał, długo; w końcu, uzbroiwszy się w determinacyą, pomaszerował do stajni, wybrał parę pięknych arabskich ogierów, rozkazał koniuszemu wyprawić ich natychmiast do pana marszałka Przyłuskiego; sam zaś, niebaczny na wiek podeszły i na ocieężałość, albowiem był wysokiego wzrostu i poważnej tuszy, pośpieszył z powinszowaniem do Butowiec.

Cały powiat *in corpore* składał życzenia swoje kochanemu solenizantowi. Z odległych nawet okolic, nie mówiąc już o bliższych, wielu obywateli zjechało. Dom cały wrzał weselem i okrzykami. Gdyby na sejmiku jakim za Sasa, kipiała we wszystkich zakątkach domu swobodna i huczna ochota. Butowiecki „Kurygoni“, wyprawiwszy *in gratiam* fety „Noc świętego Bartłomieja i Sycylijskie nieszpory“ na drobiu, zwierzynie, prosiętach i cielętach, rozwinął całą genialność swoją, oraz doskonałość kunsztu w urządzeniu nieskończonej ilości potraw rozmaitych. Cukiernik sprowadzony z Zasławia, popisał się *arte*, tworząc jakieś cudowne Albambry z biszkoptów, ciasteczek, cukrowych obwarzanków, gustownie zharmonizowanych z sobą, i zakończonych w górze wspaniałą gwiazdą z karmelu, na której umieścił arcymistrzowską cyfrę solenizanta. Węgrzyn z mał-

mazyą lały się potokiem; szampan strzelał korkiem z butelki, a weselem z serca uczujących przyjaciół dostojnego amfitryona, który ma się rozumiéć nie posiadał się z radości.

Wtém jakiś powóz zaturkotał u ganku. Gospodarz zerwał się od stołu i pośpieszył na powitanie; lecz jakże się zdziwił, poznawszy księcia Eustachego! Nie mam potrzeby rozwodzić się nad przyjęciem, jakiego doznał ów dostojny magnat w domu Mikołaja. Niepomnę już, komu przyszła myśl przemówić do księcia po oratorsku, w imieniu całego towarzystwa. Wylaź więc na krzesło z kielichem węgryna w rękę, i zawołał donośnym, ochryplym po gęstych libacyach głosem:

— Miłościwy, jaśnie oświecony książę panie!...

— Bredzisz asan! — krzyknął tubalnie Mikołaj do skonfundowanego oratora. — Rzuć do djabła te wszystkie „apstryfikacye, cerefezye, delubryki, chuchry muchry!“ — Gdzie wiele słów, mało rzeczy! — Nie witam ja w moim domu miłościwego jaśnie oświeconego księcia pana, ale cnotliwego obywatela i mego łaskawego dobrodzieja: *Vivat!* Eustachy Sanguszko!

— *Vivat! vivat!* — wrzasnęli jednogłośnie i zatrąbili w kielichy, raz, drugi i trzeci.

Książę dzielnie dotrzymał placu: zdawało się, młodniał duchem i ciałem pod wpływem wrażeń doznanych, tak mu było dobrze i błogo w tój ciepłej atmosferze zgody, braterstwa i wesela.

— *Vivat concordia!* — wołał w zapale wypróżniając kielich po kielichu. — Niech żyje nasz solenizant! *Vivant!* jego *amici pereant inimici!*

I długo aż za północ ciągnęła się uczta wesoła.

Nazajutrz, bardzo rano, wyjechał książę Eustachy do siebie. Kiedy mu później doniesiono, że Mikołaj hojnie obdarzywszy masztalerzy książęcych, ogierów przyjęć nie chciał, wielce się tём zafrasował, i zawołał:

— Zacny aż do dziwaactwa! — No, cóż robić? — taka widać wola Pana Boga!

Rozdział IV.

Święto Piotra i Pawła. — Szkolne popisy. — Paulina I. — Piotr I. — Dziwna gościnność. — Książę W. — Spacer wieczorny w Zofiówce. — Jarosław Potocki.

Nadszedł dzień uroczysty apostołów Piotra i Pawła. Cała publiczność, ustrojona świątecznie, udała się najprzód do kościoła, gdzie się naturalnie pomieścić nie mogła. Ci więc z mężczyzn, którym nie było do smaku szturchanie pobożnego natłoku, pozostali *extra muros* świątyni i zajęli się strzelaniem bąków, których Bogu wiadomo, ile padło ofiarą między *Introibo* i *Ite missa*, śpiewającego sumę kapłana.

Po nabożeństwie, tłum ruszył do klasztoru na mający się odbyć akt popisów szkolnych. Uczniowie byli zebrani *in pleno*. Przy każdej z klas sterczał profesor; ksiądz rektor Skibowski, przyjmował u wnijscia ojców, matki, krewnych i przyjaciół młodzieńczej falangi, której energicznie przewodził.

Nie mam zdaje mi się potrzeby rozwódzić się nad szczegółami samego aktu popisu. Działo się tam to samo, co i na świecie. Na dziesięciu nieuków, ledwie jeden uczony. Na dziesięć odpowiedzi, ledwie jedna trafna.

Ten bredził z gramatyki, ów retorykę na swój ład przekręcał, inny geografią niemilosiernie kaleczył. Nie idzie zatem, żeby tam źle uczono. Szkoła, z której wyszli Goszczyński, B. Zaleski, M. Grabowski i wielu innych dostojnej pamięci, nie mogła być zła.

Gdy się popisy skończyły, rozjechano się po domostwach, gdzie podzieliwszy się na familie i koterye, smaczno obiadowano. Liczne grono płci obojga zasiadło u gościnnego stołu pp. Sarneckich. Jak w każdym społecznym zbiegowisku, było i tam niemało ciekawych różnorodności typowych, godnych szczegółowej wzmianki. Pomiędzy kobietami, najwyższą sięgała ekscentrycznością nadobna Paulina. Żeby dać o niej dokładne pojęcie,

umieszczę tu szczegółową jej monografią w 30 lat bez mała później pisaną, kiedy dożywszy starości świat ten opuściła.

Paulina I. była córką L. P., dziedzica wielkich włości, co był ongi porucznikiem w regimencie polskiej piechoty; potem piastował urząd prezesa Izby Cywilnej w Kamieńcu Podolskim; a był dotknięty w stopniu wysokim chorobą arystokratyzmu. Próżność jego i pycha, nacechowane antyczną jakąś nadętością polskich magnatów XVIII wieku, pojawiały się także i w jego dostojnej córce, chociaż w niejednostajnym stopniu i w mniej dobitnych rysach. Kobieta zawsze kobietą. Przemaga w niej zwykle sercowa tkliwość wspólna z żądzą górowania władzą wdzięków i rozumu; co do herbowego wawrzynu i aureoli imienia, te pozostają na ostatnim planie.

Piękna Paulina, chociaż lubiła i bardzo nawet, popisywać się świetnymi stosunkami, jakie zawiązała w Paryżu, Wiedniu, Berlinie i Rzymie, z kwiatem tamecznej arystokracji; chociaż lubiła szpikować francuzką narracją swoje imionami księżnej Cumberland i księcia Augusta Pruskiego, kilku lordów angielskich, grandów hiszpańskich i kardynałów, w ścisłej z nią zostających przyjaźni, nie było to jednak przemagającą jej słabością. Daleko więcej ceniła ona sławę swoich powabów, rozumu, dowcipu i toalety. Chciała celować wszystkiém tém, co światową damę zaleca; być normą dla reszty kobiet w swoich stronach i świecić żywo na horyzoncie prowincjonalnego towarzystwa. Dla efektu dopuszczała się takich zabawnych ekscentryczności, że w trzech guberniach nie było domu, gdzieby imię nadobnej pani Pauliny nie brzmiało w ustach, z przyprawą lekkiej ironii i z dodatkiem jakiegóś humorystycznej anegdoty.

Rozwiodłszy się z mężem, Paulina osiadła przy rodzicach, wraz z córeczką swoją Maryą. Dla niej to wyprawiał stary P. częste fety i bale, realnie sute i świetne, bo i dom posiadał obszerny, i kieszeń bogatą i dumę lubiącą błysnąć. Gości bywało jak maku, stoły uginały się pod ciężarem sreber, węgryzn

i szampan lały się jak woda; jedzenia było bez liku i uprzejmość Amfitryona nie nie zostawiała do żądania. Lecz dzień przechodził, bankiet miał się już ku końcowi, a pani Paulina nie okazywała się jeszcze towarzystwu. Przy blasku świec dopięro, w jasnej aureoli lamp i kinkietów, zjawiała się ona zwykle świeża, strojna, wonna i ponętna, z rumieńcem róży na licach, ze słowem uprzejmém w ustach, z uśmiechem dla wszystkich i dla każdego. Złe języki głośiły, jakoby ten manewr kokieteryi był skutkiem obawy, żeby świeżość jój rumieńca nie uległa przy dzienném świetle zbyt srogiéj analizie. Bądź co bądź, pojawienie się jój w salonie, było zawsze rodzajem owacyi, i osiągało zupełny efekt przy odpowiednich warunkach miejsca i chwili. Skoro weszła, uderzał wstępny akord orkiestry; wiązały się pary pośpiesznie i hucznym polonezem bal dawał hasło wesela.

Pani Paulina miała nader miły głos. Skala jego nie była obszerną. Nóty wysokie w *soprano* nie łatwo były mu dostępne, lecz taką posiadała umiejętność zamaskowania tego niedostatku, że w opinii profanów, t. j. ogółu, śpiew jój uchodził za wzór wykończenia i doskonałości. W metodzie jój odbijał wpływ widoczny wokalnój szkoły italskiéj, którój przedstawicielkami były, w latach pobytu pani Pauliny za granicą, Catalani, Pasta, Correa, Manfredini, hrabina Bassi, Monbelli, Grassini i Malanotti. Repertuar był jój ogromny, Wszystkie niemal celniejsze ary Rossiniego, z *Italiano in Algieri*, *Il Turco in Italia*, *La Cenerentola*, *Tancredi*, *Otello* i *Gazzaladra*, umiała na pamięć. Nadto ślicznie śpiewała, z właściwą deklamacyą i zręczném cieniowaniem ekspresyi: *Nel cor più non mi sento* (Paësiello), *Della tromba il suon guerriero* (Portugallo), *Deh, frenate le lacrime* (Pucita), *Ombra adorata, aspetta!* (Crescentini), *Sul margine d'un rio* (Millico).

Nie było wielkiego artysty, ani uczonego, ani poety, którego by nie mieściła w liczbie blizkich swoich znajomych albo przyjaciół.

— *Ce cher Rossini! Ce charmant lord Byron! Ce bon Thor-*

waldsen! — zwykła mówić: poczem przechodziła do *high life* Paryża, Londynu, Wiednia etc., żeby mieć tylko przyjemność odezwając się równie familiarnie o znamienitościach politycznej sfery i powiedzieć:

— *Cet excellent archiduc Charles!* albo: *Cette bonne princesse de Liegnitz!* albo: *Ce cher prince de Metternich!*

Śmieszném się to wydawało i tém więcej, żeśmy nie koniecznie wierzyli w realność poufałych jęj stosunków z osobami wyżej nazwanymi. W tém się to właśnie przebijała w pani Paulinie ojcowiska próżność i pycha. Chociaż Polka, nie lubiła ona swęj ziemi ani swęgo narodu, bo ją od tego odstręczała moda i nie nagliło do tego serce, pozbawione ciepła zapałów chwalebnych. Nic zatém dziwnego, że w polskiem towarzystwie naszych stron, pani Paulina nie zdołała wzniecić sympatyj. Lubiono obcować z nią, posłuchać jęj śpiewu, lub jęj szczebiotania, ale jęj samęj nie lubiono. Daremnie zstępowiała ona ze swęgo italskiego Parnassu ku narodowym piosnkóm, najpopularniejszym u nas w owym czasie, jak np. *Osobno pod zamkiem — Czegoś oczki zapłakała?* — *Dalibóg że powiem mamie* etc. i ożywiała je całym urokiem talentu swęgo — nie pomagało! Oklaski sypały się rześiste, serca uderzały mocno — lecz dla piosnki, nie zaś dla śpiewaczki — dla talentu, nie zaś dla tęg, co go posiadała.

W miarę wieku rosło w nięj roztargnienie, które miewało częstokroć dość zabawne następstwa. Ile razy zaprosiwszy gości do siebie, albo wyjeżdżała z domu, albo dawała rozkaz nikogo nie przyjmować!

Kiedym w 1837 r. przybył do Odessy, zastałem tam zjazd nadzwyczajny z powodu bytności cesarza z rodziną, ministrami, posłami zagranicznymi i z licznym orszakiem książąt Rzeszy niemieckieg. W ich liczbie byli także książę Johann i stary książę August Pruski, o którym tak często zwykła pani Paulina wykrzykiwać:

— *Ce cher vieux prince Auguste!*

Byłoby cudem, żeby podczas tak solennego zjazdu i ona zaniechała przybyć do Odessy. Jakoż przybyła. Mieszkałem wtedy w hotelu *de Russie* nad bulwarem z Henrykiem Tyszkiewiczem i Konstantym Przeddzieckim. Pierwszy był gubernialnym marszałkiem kijowskim, drugi podolskim. Panią Paulinę znali doskonale i uwiadomieni przezemnie o jej przytomności w Odessie, wróżyli, że i tą razą błysnie swoim zwyczajem, jakąś nową ekscentrycznością. I nie omylili się.

Miasto dawało bal cesarstwu w gmachu giełdy. Świetne robiono przygotowania. Gust i przepych szły w parze, w urządzeniu sali balowej i buduaru cesarzowej. Wszyscy krzątali się w oczekiwaniu gotującej się fety. Czynność modniarek odeskich rosła co chwila. Tłumy powozów stały u magazynów i suto opłacano złotem arcydzieła paryzkiego *fashionu*.

Któż uwierzy, że pani Paulina, chociaż niemniej od innych zainteresowana tym balem, spała sobie szczęśliwie po całych dniach swoim zwyczajem, i czas właściwy do niezbędnych przygotowań balowych przespała? Już nadszedł dzień balu, a nie pomyślała jeszcze o sukni dla siebie. Nie dość tego; wlaźło jej w głowę żeby być prezentowaną cesarzowej. Prosiła więc o to hrabinę Woronców (która będąc Staats-damą i żoną miejscowego generał-gubernatora, spełniała *officium* przedstawicielki dam odeskich) i została pomieszczoną na liście. Hrabina Woronców uprzedziła ją wszakże, żeby się stawiła punktualnie w pałacu o godzinie naznaczonej. Pani Paulina obowiązała się solennie być akuratańską; lecz niepomna obietnicy, takiego szpaka ucieła, że się dopiero na drugi dzień po audyencji cesarzowej przebudziła.

Łatwo sobie wyobrazić, co się z nią działo, gdy oceniła cały ogrom swój winy względem przyzwoitości społecznej i etykiety. Rozpacz jej nie miała granic. Piliśmy ranną herbatę na balkonie naszego hotelu, patrząc na morze, gdy mi wręczono następny bilecik od niej:

„Vous sachan bon et obligeant, je vous supplie de trouver

quelque moyen de me tirer d'embarras. La comtesse Woronzoff inscrivit mon nom parmi ceux de dames, qui devaient avoir l'honneur de paraître à l'audience de S. M. l'Impératrice. Eh bien! j'ai manquée l'heure; et ne sais vraiment comment réparer ma faute. Donnez moi quelque bonne idée; car je suis vraiment au désespoir.“

Votre à jamais

P. I.

Gdy się dowiedzieli o treści pisma Tyszkiewicz i Przezdziecki, śmieli się serdecznie. Proroctwo spełniło się co do joty. Summa ekscentryczności pani Pauliny pomnożyła się jednostką i nie traciłmy nadziei, że cyfra jój dalej rósć będzie. Kajetan Świątkowski, mieszkaniec Kijowa, ex-pułkownik wojsk polskich, słynący ulotnemi utworami swój nieuczonój uszczypliwój muzy, zamyslił się chwilkę i rzekł:

— Sądzę, że byłoby nie od rzeczy, poświęcić naszej ukraińskiej Syrenie następujący wierszyk:

Cna Paulino! biegną lata,
Mierzeźnie życia twego dzień,
Wdzięki twe idą do kata,
I źrenicę mroczy cień.
Prędko lica wiek oszpeci,
Zwiechnie ruchów twoich wdzięk,
I zachwytu już nie wzpieci
Pieśni twój ochrypły dźwięk.
Porzuć radzę—porzuć zatém,
Światowości marnój czezość!
Żegnaj się, żegnaj ze światem,
Hulałaś, zda mi się dość.
Nim cię wieczny sen utuli,
Wlęż pod kołdrę—wlęż — i śnij;
Luli, cna Paulino—luli!
Zmruż oczy i szpaka tnij!

— Brawo! brawo! — zawołał Przeddziecki, gładząc brzusek.

— Zręcznie, lecz nielitościwie — powiedziałem. — Nie godzi się sztydzić z kobiety i tak już nieszczęśliwój uczuciem gasnącej młodości i wędniejących wdzięków. Dajmy jój pokój i zamiast sztydzić, poradźmy. Poczém odpisałem jój następnie:

„Vous avez tort de prendre tellement à coeur, ce qui vient de Vous arriver. Tombez malade, et informez en, sans delai, Mme la comtesse Woronzoff, qui se contentera du procedé, et ne Vous en voudra guére. Dans les hautes sphères sociales, la forme, c'est tout. Agissez en consequence, et tout ira bien.“

Nie poprzestając na tém, pojechałem do generała Witta, wysokiój w owym czasie officyalnej figury, i powinowatego hrabiny Woroncovej. Naśmiał się do woli z awantury, i podjął się ochotnie rzecz całą załatwić ku zadowoleniu pani Pauliny, którą znał dawno i dobrze.

W parę dni potém odebraliśmy, Tyszkiewicz, Przeddziecki i ja, nader miłe wezwanie na wieczór, mający się odbyć u niój na cześć arcyksięcia Jana i księcia Augusta Pruskiego. Zaproszonych było nie wiele, i hr. Witt w ich liczbie.

Rzecz jasna, że po wyżej opisanój przygodzie byliśmy zupełnie spokojni co do poprawy pani Pauliny; i zamiast czekać aż uderzy godzina 8, pojechalismy do niój kwandransem wprzód. Wieczór był wietrzny i ciemny. Roztrącając się o brzegi, szumiało morze złowrogo, i czarną powodzią płynęły chmury nad ziemią. Powóz nasz toczył się z łoskotem po ryszeliewskiej ulicy, potém zwrócił w zaułek, potoczył się jeszcze przez chwil parę — i stanął u podjazdu oryginalnej hołdowniczki Morfeusza.

Wszyscy razem krzyknęliśmy z podziwu, zmysłom naszym nie dając wiary. W domu było głucho, w oknach ciemno, ganek nieoświecony, drzwi zamknięte!

Kazaliśmy lokajowi zgłębić tę niepojętą tajemnicę i zatara-banić pięścią w podwoje.

Po kilku minutach ognistego szturmu, zadzwonił klucz

w zamku, drzwi się rozwarły i fagas z oczami zaspanými, z czupryną bezładnie spletaną, w toalecie ledwie nie edeńskiej, wysciubił nosa, pytając o przyczynę gwałtu.

Tyszkiewicz. A chodziło-tu!

Fagas (zbliżając się skwapliwie). Słucham jasnego pana.

Tyszkiewicz. Co ma znaczyć, że u was ciemno?

Fagas. Pani poszła spać.

My wszyscy. Jakto? spać? tak wcześniej? —

Fagas. Położyła się po obiedzie, i budzić siebie zabroniła.

Przeddziecki. Cha, cha, cha! wszak u niej miał być wieczór?

— Nie wiem, jasny panie.

— I my byliśmy zaproszeni.

— Jak się zowiesz?

— Dominik, jasny panie.

— No, panie Dominiku; powiedz swojej pani, kiedy się obudzi — może za parę miesięcy — że Tyszkiewicz, Przeddziecki i Strutyński byli u niej na wieczorze i bardzo się wesoło bawili.

Kiedyśmy wracali do domu, spotkaliśmy arcyksięcia Jana i księcia Augusta Pruskiego, jadących także na gawędkę z dostojnym Dominikiem.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o mężu pani Pauliny, panu Piotrze, postaci wielce typowej, ba nawet bodaj czy nie jedynęj w swoim rodzaju. Rozbrat małżeński, co wkrótce po ślubie państwo Piotrostwo rozłączył, był naturalną bardzo konsekwencją różnorodności ich natury, w równym stopniu, lecz zupełnie inaczej oryginalnej. Pan Piotr, nie był to człowiek codzienny, tuzinkowy, o jakich się co chwila ocieramy. Posiadał inteligencją znakomitą; oczytania, intuicyi piękna, bardzo wiele. Zacie piastował przed laty urząd prezesa jakiegoś gubernialnej juryzdykeji; nie lubił procesów, zatargów, intryg; a gdy się pozbył żony, po której wcale nie tęsknił, żył sobie spokojnie, *procul negotiis*, w swoich dobrach, i żył tak, jak żaden właściciel

kilkumilionowej (*nota bene* czystej) fortuny nie żył, nie żyje, i wątpię, czy żyć kiedykolwiek będzie.

Przyjęto u nas powszechnie nazywać filozofem takiego człowieka, co mając za nie *decorum* towarzyskie, potępiając wszelką wykwintność i wystawę, mieszka w brudnym pokoju, nosi brudną bieliznę, pozwala guzikom swego wypłowiałego surduta odpadać, kiedy im potrzeba; nie wzbrania butom swoim ziewać od znużenia; a podniebieniu każe kontentować się lada jaką strawą, choćby nawet niedopieczoną lub niedogotowaną.

Takim to właśnie filozofem był cny pan Piotr. Sknerstwem do najwyższego stopnia posunięciem, wsławił się do tyła, że wszedł w przysłowie, jak ów wiekopomny Zabłocki, bankrut na mydle. Kiedy mówiono o kim: „to drugi Piotr!“ każdy pojmował, że chciano nazwać sknerę. Ten jednak harpagonizm jego nie należał do rzędu pospolitych. Więcej on tchnął cynizmem, niedbalstwem, apatyą, niżli cheiwością zbioru. Pan Piotr nie uganiał się za powiększeniem intraty, nie krzątał się około gospodarstwa, nie suszył głowy nad środkami korzystnego procentowania gotówki swojej. Przeciwnie, siedział ciągle w pokoju, uwięziony w głębokim fotelu, z książką w rękę, i nigdy go nie widziano ani na polu, ani na toku, ani w taborze, czegoby skrzętny gospodarz, cheiwy zbioru, nie zaniechał.

Jaką mu dawał intratę pan głównozarządzający dobrami, na takiej przestawał, bez kontrolli i sprawozdania; a że w najgorsze lata wpływało do jego kassy najmniej 50,000 rs. czystego grosza, a wydatki nie przenosiły $\frac{1}{100}$ percepty, cóż dziwnego, że stosy worków rosły, a nieszczęsne *karbowaniec* śniedziały w nich, od zaduchy i tęsknoty, wzywając daremnie ruchu, przestworu i swobody. I był taki pocziwiec, co się tą ich niewolą troszczył serdecznie, i nie szczędził usiłowań, żeby jój koniec położyć. Tym pocziwcem był bankier berdyczowski, Halperyn, żyd, tyle przebiegły i zręczny, że choć nie mógł okazać hipoteki realnej,

całą niemal ciepłą szlachtę naszych prowincyj, ba, nawet pie-
niężnych panów, z ich kapitałów ogołocił.

Jednego tylko pana Piotra nie udało mu się w pole wyprowa-
dzić. Żyd kręcił się, uwijał, rozsypywał w najśłodszych fra-
zesach swój podstępnej elokwencyi — nie pomagało! Z panem
Piotrem trudna sprawa! Odmawiał stoicznie kusicielowi swojego
kredytu, a gdy mu w końcu dokuczył, rzekł bez ogródki:

— Daj mi czysty pokój! ruble mam, ale nie dam, a procen-
tów twoich nie potrzebuję. Jedź do głupszych i chciwszych.

Tym sposobem ocalały miliony pana Piotra.

Dom jego celował opuszczeniem i nieładem. Gniewny że go
zaniedbywano, dach nie chciał stawić tamy deszczom, i te się
niektórym sufitom srodze dawały we znaki. Jeden z pieców po-
kojowych, mający jak się pokazuje anse do swego pana, usiłował
codziennie wykurzyć go z domu. Jedna staruszka kanapa skrzy-
piała przeraźliwie, jakby skarżąc się na pana Piotra, że jój łach-
manów na strój przyzwoitszy nie zmienił. Stół przy niej stojący,
druh wierny w niedoli, podzielał to oburzenie przyjaciółki, i kulał
na złość panu Piotrowi. Krzesła to samo czyniły.

Były to jednak czeze, bezskuteczne demonstracye — głośy
wołającego na puszczy. Głuchy i ślepy na wszystko, stoiczny
pan Piotr, ani chciał wiedziéć o żadnej reformie domowego po-
rządku, czyli raczej nieporządku. Wierny swemu dziurawemu
szlafrokowi, jak ślimak swojej skorupie, nie wyłaził z fotelu
i książki z rąk nie wypuszczał, chyba dla śniadania, to jest dla
jednego jajka na miękko z dwoma uncyami chleba, lub dla obia-
du, to jest dla talerza jakiejś opłakanéj w a s s e r z u p k i z ad-
dytamentem czterech kartofolków w mundurach. Ludzie jego
nie ulegali podobnej dyecie, bo każdy miał swoją własną, posilną
strawę, którą mu żona przynosiła z domu w bliźniakach i to pod
wielkim sekretem, żeby się do niej sam jasny pan czasami nieza-
intromitował. Lecz za to dostawało się im porządnie, zwłaszcza
w porze zimowéj, kiedy się bywało ubrda panu Piotrowi prze-

wietrzyć się trochę po świecie. Wtedy to warto było mieć na podorędziu aparat fotograficzny dla schwycenia z natury tej budy, mającej pozór żydowskiej kuczki, tych sześciu szkap wychudłych i sędziwych wiekiem, co się ledwie ruszały, głuche na ochryplę hukanie głodnego automezona, chuchającego w dłonie i drżącego od chłodu w swojej łatanej i wiatrem podszytej liberyi. Lokajowi także nie lepiej dopisywały losy. Nie myślę, żeby za chłód i głód doznawany, gorąco błogosławił swojemu panu, któremu mało co musiało być cieplej w kusem futerku z lisów, pozbawionych sierści. Uprząż, łącząca ową opakowaną budę z dźwigającemi ją mozolnie chabetami, przedstawiała oku nader ciekawą kombinacją rozmaitych rzemyków, sznurków, okrajek, nawet nitek i dratwy, zharmonizowanych jakoś misternie w jedną monstrialną całość, wywołującą pomimowolny okrzyk podziwu. W takim to oryginalnym ekwipażu sunął się on dokąd zamierzał, pograżony w dumaniu i głuchy na śmiech sarkazmu, który brzmiał dokoła, wspólnie z energicznym „*a szob ty skazyw sial*“ jego własnych ludzi.

Mówiłem już na wstępie, że u pana Piotra była córka, którą matka przy sobie wychowywała. Wiedziano w świecie o wysokości cyfrze posagu, jaki ją czekał *titulo* jedynaczki milionowego ojca. Mnóstwo tedy snuło się koło niej adoratorów, hrabiów i książąt (szlachcicowi w a r a!) o których donoszono punktualnie, *par convenance* panu Piotrowi, z kornym poddaniem się jego sankcyi. Ale każdą razą pan Piotr kończył tém, że ordynował solonego harbuza nazwanemu konkurentowi; a że worek był przy nim, matka i córka musiały milczeć *sans replique*.

Co było powodem, że się pan Piotr tak wziął na adonisów, i wszystkich nielitościwie z kwitkiem odprawiał? — Wszak byli pomiędzy nimi ludzie zaci i pięknie wychowani, i nie biedni, a każdy z nich sięgał w głęboką przeszłość swoim herbowym klejnotem, i mógł *eo ipso* bez pokrzywdzenia prozapii p. Piotra, krew swoją z jego krwią skojarzyć? Skutkiem surowej interdykeyi

pana Piotra, opustoszały salony pani Pauliny i smutek omgłił je swoim cieniem.

Kiedy się to działo, książę W. negocjował tymczasem z panem Piotrem o rękę panny Maryi dla swego młodszego syna. I stało się według jego żądania — pan Piotr nie wahał się ani chwili — przyjął radośnie propozycją zacnego księcia — i pchnął natychmiast gońca (piechotę i bosego, ma się rozumieć) do żony z *ultimatum* swoim ojcowskim.

Radości, jakiej tam doznano z tego powodu, ani gębą wypowiedzieć ani piórem opisać.

Po wstępnych preliminaryach przybycia narzeczonego do M., i ceremonialnej deklaracji w obec dziada i matki, przystąpiono do solennych zaręczyn, i wkrótce potem ślub młodej pary odbył się w S.

Byłem właśnie wtedy u krewnego mego, marszałka Jana Przyłuskiego w Napadówce, kiedy księżstwo W. przybyli tam z S., z córką swoją księżną T., oraz z dwoma synami. Towarzyszyły im dwie synowe: żona starszego, z domu Cz., i młodszego, córka pana Piotra i pani Pauliny I.

To co nam opowiadali o wspaniałości przyjęcia, stanowi fakt takiej oryginalności, jakiego się pewnie nikt z ludzi wykształconych i bogatych nigdy nie dopuścił i nie dopuści. Pan Piotr pomieścił swoich dostojnych gości w dwóch ciasnych ciupkach, brudnych i wilgotnych, chociaż miał i nie ciasne, i nie tak brudne, i mniej wilgotne w swoim domu. Grube zasłony pyłu powlekały nędzne i nieliczne meble. Na sześć osób ordynował tylko trzy łóżka, z których jedno było za wąskie, drugie za krótkie, a trzecie kulawe. Pajęczyna wisiała plugawymi festony na gzymsach sufitów, i mroźny wiatr listopadowy dmuchał przez pęknięte szyby.

— Byliśmy jak na biwaku — mówił żartobliwie stary książę — przypominałem sobie kampanię 1812 r.

— Tak było chłodno w naszych pokoikach — przerwała

księżna T. — że musieliśmy posyłać do karczmy, aby kupić u żyda spirytusu i opalać nim nasze legowisko.

— Czemuż książę nie kazałeś zapalić w piecu? — zapytałem.

— Czemu? — zawołał, trzymając się za boki od śmiechu — bo pan Piotr kazał piec zamurować w wilią naszego przyjazdu.

— *Ajoutez papa!* — dodała księżna T. — że chciał nas głodem umorzyć. Codzień kupowaliśmy jaja u żyda, a mleko u chłopów — *sans cela, à l'heure qu'il est, nous serions déjà morts de faim.*

Tym ostatnim rysem charakteru pana Piotra kończę jego monografią. Tyle tylko dodać powinienem: że go znałem blisko, podziwiał jego naukę, pamięć, dar słowa i nie sędzę, żeby się mógł znaleźć gdziekolwiek przyjemniejszy partner dyalogu, albo opponent dyskusji. Grał w szachy jak Philidor, albo Labourdonnaie; deklamował Mickiewicza, fanatycznie przezeń miłowanego, jak Włodzimierz Kozuchowski, to jest nieporównanie. Znał się na sztuce Watela i chętnie się z c u d z y m smacznym obiadem rozprawiał. Czemuż sobie tej przyjemności w domu odmawiał? — Proszę go rozumieć.

Dopełnwszy epizodycznej narracji mojej o pani Paulinie, i o jej ekscentrycznym małżonku, powracam do zaniechanego przedmiotu.

Po obiedzie, gdy uderzyła godzina piąta, rozległy się trzaski biczów, turkoty kół po ulicach, i długie rzędy powozów rozmaitego kształtu ruszyły do Zofiówki, przybranej w świąteczne stroje zieleni, kwiecica, lazuru wód, srebra pian i kryształu wytrysków powietrznych. I niebo podzielało uroczystość padołu. Wesoło przeglądało się ono w zwierciadlanych toniach Zofiówki, i ciskało garściami promieni z wysoka. Wnet zaludniły się ulice, przesmyki i groty. Tęskni szukali ustronia; weselsi ruchu i zgiełku. Wiek podeszły bawił siebie obrazem ogólnej ohoty. Młódź wiązała się w grona ruchome, pełne życia i swobody, i nie było miejsca, gdziebyś jej nie napotkał, weselnemi brzmiającą odgło-

sy. Jedni żeglowali w łodziach po modrej topieli jeziora, wtórzac piosnką szmerom rzeźwiącej się w powietrzu fontanny, drudzy tłoczyli się dokoła sadzawki ze srebrnymi i złotymi rybkami, sypiąc kwiaty zalotów, nie rybkom, ma się rozumieć, ale płci pięknej, co się w tém miejscu różnobarwną mozaiką świątecznego *fashionu*, a więcej jeszcze wesołym usposobieniem umysłu, jeśli nie czarem wdzięków, męzkemu towarzystwu zalecała.

Mignęły przed oczyma urocze jakieś postacie; za nimi śladem grono mężczyzn — kwiat młodzi krajowej. To panie: Bobrowa z domu Morzkowska; z Gruszeckich Dachowska; z Jerliczów Złotnicka. W ich orszaku poznałem Władysława Świejkowskiego z Pieczary; szedł pod rękę z dziedzicem Humania, a więc i Zosiówki, swoim bratem cioteczno-rodzonym, zacnym Aleksandrem Potockim, i sypali krocie słodyczy damom, którym towarzyszyli. Pułkowa orkiestra odzywała się w dali, ku niej zmierzały tłumy. Dziwnie jakoś wydawały się te strojne brzmienia, odbite echem jaskiń i wozów, owiane szmerem drzew i krzewów, porwane i uniesione w przestrzeń technieniem zefirów wieczornych. Pani Paulina była oczarowana; wtórzyła półgłosem śpiewem tej fantastycznej harmonii i wykrzykiwała w przestankach.

— *Charmant! merveilleux! sublime!...* Coby powiedział *ce bon Rossini*, gdyby się z nami znajdował?!

Vesperus wszedł na niebo. Gwiazdy jedne po drugiej odsłaniały swe jasne oblicza, kąpiąc ich złote odbicie w sinych przerozach jeziora. Ścieżki i manowce zatoneły w mroku. W grotach noc zasiadła. Lecz cała odkryta przestrzeń ogrodu zachowała jeszcze swe półcienia i barwy, na których odznaczały się różnie ostre skał kontury i białe posągów postacie, co gdyby jakie upiory, czatowały w dali z gęstwiny. Nagła jasność zalała niebiosa. Rozwarły się obłoków podwoje i król nocy, księżyc srebrnowłosy, przestąpił próg swego lazurnego pałacu. Perłowymi blaski zapłonęły wody, kitą pryzmatycznych wytrysków,

z brylantów, rubinów, opali, strzeliła powiewna fontanna. Szmery i gwary i wołania tłumów ucichły w milczeniu zachwytu. Brzmienia tylko muzyki, rosły, wyrażały się dobitniej, w tój ogólnej ciszy. Dźwięcznie płynął w obszarach, cudny śpiew z Tankreda: *Di tanti palpiti...* i cała natura zdawała się podzielać urok tój rzewnej melodyi — czar wrażeń ogółu.

Staliśmy na mostku, co się lekkim łukiem nad wrzącym potokiem przerzucił. Przed nami grzmiał wodospad, obielony pianą, gdyby fantastyczna jakaś Niagara z pereł, tumanem z brylantów owiana. Księżyc igrał z nią z wysoka, to srebrzył, to złocił, to w tęczyście ubierał zasłony. W dole wrzało całe piekło wód; strzelały bryzgi i biła toń gniewna o głązy, wicherząc się i wirując wściekle, jak Scylla lub Charybda, postrach starożytnych żeglarzy, potem skupiona w prąd dziki, w pienisty potok, miecąc żwiry i piaski, pobiegła skryć się w głębi przepaścistej jeziora. Chór tyrolski ozwał się gdzieś w tój chwili, ścieżki i manowce oświeciły się nagle lampami. Z głębi grot, tajemnicze jakieś mignęły ognie i jakby na skinienie jakiejś dobroczynnej bogini zawisły nad zenitem ogrodu promienne festony rać, sypiących z góry brylantowym deszczem.

Nowe grono Gracyj stanęło koło nas na mostku: panie Mieczysławowa z Komarów Potocka, Jarosławowa z Rzewuskich Potocka, panna Helena Świejkowska etc. Długim rzędem towarzyszyli im mężczyźni: Mieczysław Potocki, dziedzic Tuleczyna, bogacz słynny... rublami. Jarosław Potocki, zacny i powszechnie poważany. Wacław Rzewuski, sławny Emir Tadz Ulferch, któremu A. Mickiewicz swojego Farysa poświęcił.

Rozdział V.

Wacław Rzewuski.

Któż u nas o Wacławie Rzewuskim nie słyszał? Komu obce jego podróże na Wschodzie i awanturnicze przygody, przypominające Szanfarych Arabistanu, Farysów Jemenu i owych bohaterów Firduzego, z których każdy był razem rycerzem i trubadurem, szukał sławy i tę sławę opiewał, szukał czynu, bo go duch naglił dokądś i do czegoś, co wymagało trudu, walki, zapału, poświęcenia, choćby żwir pustyni wrzał od skwaru słońca, choćby nim huragany wicherzyły! Mniejsza o to! On skwary wytrzyma, koniem huragany prześcignie, majdanem sępa ugodzi, w gwiazdach tor biegu swego wyczyta!

Pędź latawce białonogi!
Góry z drogi! sępy z drogi!

I nie tylko na Wschodzie, — wszędzie duch poetyczny jednakowo buja w przestrzeni i czasie. Jemu duszno w ciasnym zakresie społecznej prozy. On łaknie przestworu, swobody, polotu. Dla poety trud spoczynkiem, niebezpieczeństwo igraszką, śmierć niczém — bo on wie, że po śmierci nawet żyć nie przestanie; że z pieśnią płynąć będzie żywy z pokoleń w pokolenia i swe imię nieśmiertelnością uwieńczy.

Wacław Rzewuski był właśnie takim poetą. Pisma jego zaginęły. A szkoda! wielka szkoda! Musiały być pomiędzy nimi kosztowne klejnoty natchnienia! szczytne poloty wyobraźni i uczucia!

Widziałem ostatni raz Wacława Rzewuskiego w Oczeretni, u Henryka Tyszkiewicza, kijowskiego gubernialnego marszałka, który był moim krewnym przez Lubomirskich i do którego woził mnie bardzo często mój nauczyciel.

Było to w 1828 roku. Wacław przyjechał do Oczeretni z Sawrania, na dzielnym arabskim koniu, w stroju nie orientalnym, ale kozacko polskim i bez brody. Miał za sobą olbrzymiego kozaka, na koniu wysokości rasy wschodniej. Imię tego kozaka było Wyszni: on wioził utroczoną do siodła małą walizkę swego pana, a swoją piękną postawą i bogactwem ubioru, wszystkich zachwycał.

Titulo blizkiego krewnego mojej matki, Wacław Rzewuski był dla mnie, bardzo jeszcze młodego wówczas chłopca, niewypowiedzianie dobrym, tklwym, serdecznym. Opowiadał niektóre szczegóły swojego błędnego krążenia po Wschodzie, deklamował arabskie kassydy; tłumaczył całe ustępy z *Szach-Nameh*; nucał arabskie melodye, te co błędny Farys powierza wichrom pustyni i te, które sam ułożył, pod wpływem tęsknoty serca samotnego, tudzież pod wpływem miejsca i chwili.

— *J'ai composé* — mówił do mnie — *un poëme héroïque*, siedząc na zwaliskach Palmyry, *tu le liras un jour*.

Niestety! nie spełniła się ta przepowiednia poety! Jużem go więcej nie widział! Pamiętam, że kiedy uderzyła godzina spoczynku i towarzystwo zaczęło się wydalać z salonu, on powiedział mojemu nauczycielowi:

— *Je prends Jules avec moi. Ne craignez rien: l'Emir arabe ne lui fera point de mal* — i poprowadził mnie do swego pokoju.

Kozak Wyszni czekał już tam na swego pana.

— A szczo synu — nakormyw konej? — zapytał Rzewuski.

— Nakormyw bat'ku — odparł Wyszni.

— Zdorowy?

— Sława Bohu, bat'ku.

— A sam jiw?

— Jiw bat'ku.

— I pyw?

— Wypyw kwartu wyszniaku, za twoje zdrowie bat'ku.

— Dobre zrobyw. Idy spaty.

Gdy się Wysznia oddalił, Wacław Rzewuski zaczął się rozbierać i legł na końskiej skórze na podłodze. Siodło służyło mu za wężłowie. Zamiast kołdry używał tureckiego chałata. Przy nim leżał na krzeselku Al-koran i tomik poezyj A. Mickiewicza. Odszukał Farysa, jemu poświęconego, i zaczął deklamować.

— Prześlicznie! niezrównanie! — wołał przerywając czytanie. — Jedno mam tylko do zarzucenia — mówił położywszy książkę — ale to nie wina poety *Si Mickiewicz savant*, że Arab nigdy swego konia nie uderza, nie napisałby:

Pędzę i podwajam razy!

— *Mais c'est une chose secondaire. L'ensemble* tej precudnej poezji, pełne lokalnej prawdy i wielkości.

I znowu zaczął czytać *con amore*:

O! szalony! gdzie on goni!

Tam od ostrych słońca grotów

Czoła jego nie ochroni

Ni palma zielonowłosa

Ni białe łono namiotów.

Tam — jeden namiot — niebiosa!

Tu się zatrzymał i zawołał:

— *N'est-ce pas mon cher*, że ten lot konia, ten wir zjawisk, ten mężny opór żywiołom śmierci i zagłady, ten przestwór, ta swoboda niczém nieokreślona, w której się pograża Farys całym jestestwem swoim, jakby w lustralnej fali czystości i poezji, podnoszą, porywają ducha i usposabiają go tém samém do szczytnych przedsięwzięć, i do wiekopomnych czynów? Ztąd to nigdzie nie ma tyle podañ o cudach siły, męztwa, poświęcenia, jak na Wschodzie. Co krok spotykasz tam legendę, co krok myt jakiś z ideą apoteozy potęgi moralnej i fizycznej człowieka, bo tam sama natura kształci go na poetę, Farysa i bohatera. *A propos*, czy jeździsz konno?

— Jeźdźę i bardzo lubię konie — odpowiedziałem.

— *Pauvre garçon!* Nie ma tu u was koni! Są szkapę, chabety, a nie konie. Przyjeźdź do Sawrania, pokażę ci moich arabów, Sułtana, Emira, Leilę, czoło mojej stajni, a jeżeli na ich widok nie zapomnisz języka w gębie, będę winien. Bo też to nie konie, a hipogryfy, nie proste zwierzęta, a cud natury! Kupiłem na wagę złota, a jednak kupiłem za bezcen.

Potem spojrział na zegarek i rzekł:

— *Il est tard, couche toi, mon cher, et bonne nuit!*

Wkrótce zachrapał i ja zasnąłem. Wrażenia doznane na jawie, powtórzyły się i we śnie. Widziałem pustynie, hordy Beduinów i ścierałem się z nimi zwycięzko, i koń jakiś fantastyczny unosił mnie po krańce widnokregu, gdzie sęp olbrzymi krakał do mnie z wysoka i huragan toczył się na wichrach z łoskotem i groźbą.

Kiedym się nazajutrz obudził, było już nie rano. Wacław palił fajkę i czytał *Al-koran*.

Ucałował mnie, usiadł na mojem łóżku i zaczął gawędzić.

Wkrótce weszli do nas z życzeniem dobrego dnia, najprzód miły gospodarz domu, Henryk Tyszkiewicz, potem brat jego Wincenty, co zmarł w kilka lat później; potem krewny samej pani Tyszkiewiczowej, Henrykowej, domownik Radziejowski, (zabawny tém, że się szczycił spółnictwem rodu z prymasem Radziejowskim); potem stary pułkownik, Szymański, wiarus napoleonowskiej epoki, gburowaty i popędliwy, z wiecznie pełną gębą djabłów, bomb i kartaczy.

Jeżeli wierzyć przysłowiu, że krowa, co wiele ryczy, mało mleka daje, to i wielkie czyny militarne Szymańskiego nie musiały być godne pióra Plutarcha. On wyrąbał wszystkich Austryaków pod Austerlicem, wystrzelał wszystkich Prusaków pod Jeną, wykłął wszystkich Hiszpanów Palafoxa pod Saragossą! Takie to były jego brewerye i przechwałki, które zaprawiał kłątwą na honor i straszliwą miną.

Wacław Rzewuski brał go ostro i zręcznie na fundusz, co nas niezmiernie bawiło. Damy chichotały serdecznie. Nadszedł sąsiad Tyszkiewicza, eny Ksawery Kozłowski, oddawna dymisjonowany generał rossyjski, człek militarny w układzie, w postawie, w gustach i w całej swojej naturze; do tego obywatel bogaty, gospodarz sprężysty i w gruncie najlepszy człowiek. Mile go powitano, bo go lubiono i szacowano.

Przebiegłszy rozliczne fazy, rozmowa wstąpiła nieznacznie na tór wojskowy. Szymański nie omieszkał, ma się rozumieć, wystąpić do popisu i nikt mu z obecnych nie przeszkadzał, żąc językiem tyle bojowych wawrzynów, ile się mu podobało. Gdy już wszystkich a wszystkich nieprzyjaciół pokonał i świat zwalczony zdeptał pod swą tytańską stopą, upojony radością tryumfu, zawołał wskazując na dwa wielkie olejne portrety, Napoleona i księcia Józefa Poniatowskiego:

— Panowie! proponuję wychylić lampę węgry, na cześć tych nieśmiertelnych bohaterów.

— Zgoda! — rzekł zacyjny gospodarz i na hasło dzwonka wbiegł pośpiesznie galonowany lokaj, któremu dan był rozkaz stosowny do mającej się odbyć hołdownej libacyi. Wkrótce pojawiło się kilka sędziwych fasz tokaju na tacach, zastawionych srebrnymi puhami, antycznego kunsztu. Tyszkiewicz napełnił je i ofiarował gościom.

— Pamięci największego z bohaterów przeszłych i przyszłych! Temu, do stu tysięcy fur beczek bomb, kartaczy i siedmiu djabłów! co nam przewodniczył na drodze zwycięstw i sławy! — zawołał Szymański, spełniając puhar przed wizerunkiem Napoleona.

— Chętnie wypijem na cześć Napoleona — zawołał Kozłowski — z wyłączeniem siedmiu djabłów, którzy nie warci tak dobrego wina.

— On pił zdrowie swoich kumów. *Qui se résemble s'assemble*

— szepnął Tyszkiewicz na ucho Kozłowskiemu, a potem dodał głośno: — Panowie! Pamięci księcia Józefa Poniatowskiego!

— Do stu tysięcy fur beczek bomb, kartaczy i siedmiu diabłów! — zawołał Szymański. — To mi był żołnierz mospanie. Gotowem wytrąbić na cześć jego nie puhar, ale całą flaszę.

— Bravo! — to mi zuch! — nie darmo Krakus.

— Rzekłeś słowo? dotrzymajże słowa. Wszak znasz *nobile verbum*? — zawołał Tyszkiewicz, podając Szymańskiemu butelkę,

— Znam je do stu tysięcy fur!... i dowiodę mospanie... do siedmiu diabłów! — zawołał Szymański i wychylił butelkę z przestankami.

— *Sa raison n'en verra point le fond* — szepnął Kozłowski do Wacława Rzewuskiego.

— *Je doute, qu'elle ait jamais vu le fond de quelque chose* — odparł Rzewuski.

— Do kropli! — pochwalił się Szymański, wznosząc do góry przewróconą butelkę.

— Vivat! nasz bohater Szymański! Vivat! zwycięzca węgria!

Rozdział VI.

Józef Witwicki. — Gustaw Güsseck. — Doktor Placer.

Dopełniając opisowego obrazu stron swych rodzinnych, nakreślę jeszcze kilka oryginalności typowych, stanowiących główne rysy charakterystyki krajowej. Zacznę od Józefa Witwickiego, słynnego u nas fortepianisty-kompozytora.

Witwicki był synem uczonego teoretyka, dyrektora orkiestry O. O. Karmelitów-Bosych w Berdyczowie. Pierwszym chwilom

jego życia towarzyszyła harmonia. Pierwszą myśl i pierwsze uczucia młodzieńcze wysnuł i wykształcił w harmonii. Duch jego poił się słodko, krzepił, podnosił wysoko, w tej cudnej krainie tonów, gdzie Allegri, Durante, Pergolese, Marcello, gdzie Palestrina, ten książę muzyki, ten mistrz niezrównany, objawiali się jemu w całej potędze geniuszu swojego, w całym blasku swojej nieśmiertelnej aureoli. Dodajmy do tego surową wspaniałość świątyni, uroczysty akord organu, roztrącający się o jej wysokie sklepienia; śpiewy chórów, owiane dźwiękiem instrumentów; i ten lud Boży, co błaga, i tego kapłana, co błogosławi, i ten ołtarz święty, gdzie się najświętsza spełnia ofiara, i to wszystko, co tkliwem sercem wstrząsa, co myślą owłada, co z ust modlitwę a z duszy pokorę i uwielbienie wywołuje: wyobraźmy sobie to wszystko, a przyznamy, że najtwardsza istota nie oparłaby się temu; że w najtwardszej istocie zadrgałoby życie, a z niem uczucie, zachwyty i natchnienie.

Cóż dopiero dzieć się musiało z duszą tkliwą, gorącą, poetyczną? Ile tam było dla niej podniety, ile objawień niebieskich, ile czaru?! Bo też w muzyce kościelnej tylko, w tym hymnie stworzenia dla Stwórcy, najwyższa szczytność przedmiotu jest rękoią najwyższej szczytności harmonii, albowiem ona udziela mistrzowi pomysłów, jakich widok doczesności i ocierania się o nią, udzielać nie zdołają. W muzyce kościelnej nie ma tonu dla błędu, nie ma akordu dla nizekzemnych popędów ziemskości, nie ma odgłosu dla świata. Drobiazgowość codziennych pospolitych wrażeń, zlewa się tam i przeistacza w jednem wielkiem, uroczystem wrażeniu, które ogarnia, oczyszcza całą istotność człowieka i wynosi ją nad padoły.

Ale nie o tej mówię ja muzyce, jaką wiek dzisiejszy, wiek upadku wiary, a następnie i sztuki, wprowadził do progów świątyni. Nie mówię ja o bluźnierczém zespoleniu teatralnych awertur, lub romansowej kantyleny, z najświętszym obrzędem religii, jak się ninie pospolicie dzieje ku zgorszeniu ludzi wierzących

i świadomych rzeczy. Nuta czci dla Boga, cóż może mieć wspólnego z nutą zalotnych egzaltacyj dla kobiety? Harmonia ziemi, czyliż ma prawo rozstrzącać się o przybytki nieba? znieważać ołtarz Pana nad Pany? plamić nieskazitelność modlitwy błotem poziomych namiętności i szaleństwa?

Ojciec Witwickiego, muzyk dobrej szkoły, hołdował wysokim zasadom kunsztu. Msze jego kompozycyi, wcale niepospolitej wartości, dowodzą tego. Dowodzi tego jeszcze systematyczne wykształcenie syna, prowadzone troskliwie drogą mozolnych trudów, rozległych muzykalnych badań i znakomitych rezultatów pracy; drogą znojną i długą, ale wiodącą do gruntowności, kolejną stopniowego rozwoju praw zasadniczych sztuki i jej tajemnic. Rzecz nadzwyczajna u nas, gdzie rzadko dbają o gruntowność wychowania, gdzie nikt nie szuka w niczem podstawy, gdzie słowo postęp tłómaczyć najczęściej należy przez polor zewnętrzny, w obsłonie zarozumiałości i niewczesnej pychy.

Witwicki szedł w swoim zawodzie normalnie, klassycznie, wytrwale. Przegrywał msze, trutynował szkoły, studyował *fugi, moteta, Te-Dea, oratoria*. Wpatrywał się w wielkie wzory kompozycyi.

Śmierć ojca zmieniła postać rzeczy. Szczupłością funduszu znaglony, musiał Witwicki jąć się nauczycielstwa muzyki, musiał zastąpić Händla, Bacha, Palestrinę, Klenglem, Czernym, Pixisem; opuścić wysokie sfery harmonii, dla niższej sfery gry salonowej, organy dla fortepianu! A co gorsza, musiał wyrzec się samego siebie; zaprzecić się swoich myśli i natchnień, swego powołania i téj złotéj niezależności, jakiej pod skrzydłem ojcowskiem tak chlubnie i korzystnie używał.

Tyle to skarbów poświęcił on nowéj profesyi swojej, taką ofiarą musiał opłacać kęs cudzego chleba, obłany goryczą tęsknoty, nieznośnych trudów i nieznośniejszych jeszcze kapryśmów ukraińskich matron, których pokoleniu obowiązany był zaprzędać czas swój i uszy.

Przecież mimo niewoli, na jaką los go skazał, Witwicki umiał znajdować porę swobodną dla uprawiania swego talentu. Msza na organy z chórem, którą w tym czasie napisał, była daną pamięci lat spędzonych w gronie uroczystych objawień harmonii; pożegnalnym hołdem kościelnej muzyce, od której odrywała go nowa postać rzeczy, nowa kolój potrzeb i obowiązków. Witwicki został odtąd kompozytorem salonowym, zapisał się do cechu świątowego i zyskał popularność. Mnóstwo utworów rozmaitej formy i treści, wywiódłły imię jego z cienia. Lipsk i Berlin pochłaniają dzieła jego. Wołyń, Podole, Kijowszczyzna, idą za ich przykładem. Wzmógłszy się w siły, Witwicki opuścił prowincyą, osiadł w Kijowie, wszedł do służby rządowej, jako mistrz muzyki przy instytucie szlacheckich panien, i stanął na czele muzyków kraju.

Charakter kompozycyi Witwickiego odznacza się wielką potęgą energii i widocznym wpływem klassycznej muzyki, przyémionym częstokroć fioryturą, ruladą, tremolem i gęstym trelem nowój salonowej szkoły. Nie złe są to rzeczy, ale należy być wielce oszczędnym w szafowaniu niemi. Największą zaletą kompozycyi, jest prostota idei i spokojność nuty, jeżeli się téj spokojności, moralne znaczenie sztuki nie sprzeciwia. Ta dzisiejsza gimnastyka tonów, produkująca się biegiem gwałtownym, 3 — 4 lub więcéj razy wiązanych, które niewiedziéć czego biegną, niewiedziéć czego biedz przestają i również bez celu skupiają się w jakimś wilczym dyssonansie, smaganym rżęsiestemi plagami złośliwego tremolo tonów basowych, te wyuzdane pędy skali, która od czegoś ucieka i za czémś goni, te nagłe, rzadko racjonalne skoki w modulacye, nie połączone z sobą żadném harmonijném powinowactwem; te rzuty rulad nakoniec, ubliżające powadze sztuki surowej, nie dające wiele wdzięku sztuce wesołej, sprzeczne charakterowi sztuki rzewnej, wszystko to nie jest godném wyższego talentu, bo upośledza naturę kunsztu, którego celem być powinno: podnosić, uzacniać, zagrzewać lub po-

cieszać człowieka, nie zaś durzyć go bezsensowną lataniną palców po siedmiu oktawach klawiatury, lub po czterech strunach gryfu.

Zapewne, ruch przyśpieszony nuty, jest logiczną konsekwencyą nuty spokojnej, albowiem ciągła słodycz śpiewu, wieczna pogoda harmonii, nie są w naturze kunsztu, w którym powinno się odbijać tło wrażeń serca, wystawione w realności na częste i gwałtowne zmiany. Muzyka, pozbawiona tranzycyi i cieniowania, przestaje być muzyką. Ale niechże tym tranzycjom, tym rzutom cienia i światła, przewodniczy jakieś dążenie idei, jakaś logika tłómacząca potrzebę téj wrzawy, dzikości, burzy tonów. Niech ta burza, wylęgła z pogody, roztopi się pomału w pogodzie i nie émi dłużej niebios harmonii, nie wieje ciągle wichrem dyssonansów i nie grzmi bez końca piorunem rulad i tremolów! Niech da odpocząć duszy i spojrzeć na słońce, i odetchnąć wonią dolin kwiecistych, i posłuchać szumu fali jeziora, i napić się słodką wibracją nuty pokoju, nadziei i miłości!

Witwicki nie ulega podobnym zarzutom. Nie oddala się od natury i nie grzeszy w sposób wyżej wskazany. Chciałbym tylko mniej względu z jego strony dla nowoczesnej normy ubarwiania tła kompozycyi. Chciałbym mniej haftu, mniej arabesków na złotój kanwie jego muzykalnej myśli. Niech świeci sama sobą, lepiej się wyda, bo piękność jéj nie potrzebuje ozdóbek i cacek, żeby się podobać.

Haydn, Klementi, Bach, Mozart, Beethoven, byli wzorem prostoty, a przecież ile w nich eufonii, ile bogactwa i wielkości! Gdybym mniej cenił talent Witwickiego, a następnie mniej dbał o gruntowność jego sławy, nie pragnąłbym tak gorąco, żeby się wyrzekł modnej muzyki, a powrócił do prac odpowiednich swoim zdolnościom, do prac wyższego rzędu, a tém samém wyższej estetycznej ceny, i świetniejszego przeznaczenia.

W poprzednich oddziałach opowiadania mego, wspominałem o moim nauczycielu Gusseku. Był to także w swoim ro-

dzaju człowiek nie codzienny i w pedagogicznym zawodzie wielce znakomity.

Gustaw Gussek, był kandydatem Teologii Królewieckiego uniwersytetu i człowiekiem wielostronnéj nauki, którą nabył nie łatwo, albowiem zdolności łącznych nie posiadał. Trud niuustanny, *improbis labor*, wespół z siłą woli, postawiły umysłowość jego na takim stopniu, że w uczoneści mało kto mógł mu sprostać. Homera czytał po hellenisku; Mojżesza po hebrajsku, i chaldejskie pismo nie było mu obcém. Tego nie dość, kiedy list ułożył po francuzku, rzekłbyś że go pisało pióro jakiegoś belletrysty z nad Sekwany, bo i tok właściwy i zwroty, zręczne frazy, i lekkość wcale nie teutońska, nie teologiczna (bo był teologiem) a czysto gallikańska, ulotna, wolterowska.

Po włosku sam się nauczył, po angielsku i po polsku także. Tym ostatnim językiem tak pisał poprawnie, tak doskonale mówił, jak mało Polaków potrafi. Oprócz tego, umiał matematykę gdyby Kepler, algebrę jak Tartaglia lub Ferrari, fizykę jak Galvani, a zasady generał-basu, jak Bach, klassyczny twórca fug i motetów. Przecież w zastosowaniu powyższych gałęzi nauki, głęboko przezeń pojętych w teorii, Gussek spotykał wiele trudności, albowiem nie posiadał, jakem już mówił, bystrego objęcia, a musiał tęgiemi ciosy woli obudzać leniwą działalność umysłu, by go do czegoś zniewolić, jakiś blask z niego wydobyć.

Nigdy nie zapomnę komicznych scen, jakich to jego usposobienie umysłu bywało powodem. Byłem uczniem jego, nikomu więc, tylko jemu winien byłem co umiałem. Ale pamięcią gorowałem nad nim; a że norma, jakiej się trzymał, w pedagogicznym mandacie swoim, odznaczała się nader logiczném stopniowaniem przedmiotów, oraz jasnym poszczegółowym wykładem onych, cóż dziwnego, że je łatwo pojmowałem i z tych co pojąłem, czerpałem siły do pojęcia następujących? Gussek wszystko to daleko lepiej umiał odemnie, niedowierzanie atoli własnéj pamięci i bystrości swego objęcia, było tak wielkie, że każda

moję odpowiedź podczas lekcji zwykł długo i mozolnie sprawdzać, chociaż czuł w gruncie, że nie popełniłem błędu.

W czasie jednej lekcji o starożytnych szkołach filozofii, zaszała z kolei rzecz i o Stoikach. Na pytanie, jaką rolę grała w Rzymie szkoła Zenona? odpowiedziałem:

— Jedną z najważniejszych; albowiem stoicyzm wniknął głęboko we wszystkie warstwy społeczeństwa i wywołał z nich świetnych dla siebie przedstawicieli, np. Trazeasa pomiędzy publicystami, Senekę pomiędzy pisarzami. W późniejszym czasie stanęli na jego czele wielcy monarchowie, jak Antonin i Marek Aureli, i niewolnicy, jak Epiktet...

Tu mię przerwał zakłopotany Gussek:

— Epiktet?... *oui — oui c'est juste!*... nie jestem wszakże pewnym, czyli on rzeczywiście należał do klasy niewolników?... *Hic haeret aqua!* Sęk nie lada!...

To rzekłszy cisnął o ziemię swój długi cybuch i począł drabować pośpiesznie *Conversations-Lexicon* niemiecki, wielce już poszarpany od użycia, czyli raczej od nadużycia. Gdy się w końcu upewnił, że epitetu niewolnika względnie Epikteta użyłem właściwie, uspokojony widocznie, znowu sięgnął ręką po swoją teutońską fajkę, leżącą sromotnie na podłodze, wykrzesał ognia i puściwszy parę obłoczków dymu, przedłużył niedokończoną lekcją pytaniem:

— *Dites moi, mon ami*, na jakiej realnie idei spoczywał stoicyzm?

— Na dwóch głównych ideach — odpowiedziałem — na tożsamości Boga z naturą i moralnej boskości człowieka.

Tu mię znowu Gussek zatrzymał:

— *Oui c'est cela!*... czy nie lepiej by jednak sprawdzić?...

I znowu cybuch nieszczęśliwy znalazł się pod stołem; *Conversations-Lexicon* poszedł na tortury i lekcya półgodziny przerwana została.

Ja jałem czytać poezye Burnsa, i usiłowałem oddać po polsku tkliwe strofy szkockiego poety.

Oto właśnie ten niedołężny przekład smarkacza wierszoklety:

O! gwiazdo! co tak późno twemi świecisz blaski,
I tak lubisz poranne witać zorzy brzaski,
Znowu ty mnie powracasz dzień ciężkiej katuszy,
Gdy Marya oderwaną była od méj duszy!

O! Maryo! drogi cieniu, coś zniknął na wieki!
Gdzie pokoju twojego ninie kraj daleki?
Stroskanego kochanka czy ty widzisz męki?
Czy słyszysz wstrząsające jego łonem jęki?

Nie poprzestając na tym kulawym przekładzie ośmieliłem się dodać następne dwie strofy własnej inwencji.

Czy samotna pieśń wieszczca dojdzie twego słuchu
Przez tumany ogromów, przez gwary przestrzeni,
Przesiąkła łąż żałoby, po tobie o! duchu!
Co tam bujasz z anioły, w krainie promieni?

Czy owiana harmonją, w błogości zachwycie,
Doczesności otrząśszy z siebie mgły i pyły,
Ty pomnisz o padole, na lazurnym szczycie,
I uczuć nie rozwiąś, co nas jednoczyły?...

W tej samej chwili drzwi się rozwarły i wszedł doktor Placer, mieszkaniec Daszowa, odwiedzający nas często. Zaczny to był i niesłychanie miły człowiek; a do tego meloman wysoki w uczuciu i pojęciu. Grał na gitarze, niemal tak biegle jak Giuliani, a na skrzypcach i wioli wcale nie źle.

Gusseka lubił w miarę rzeczywistój wartości jego, i zwykle

wyzywał na dysputę to muzykalną to polityczną, to naukową, która się prawie zawsze partyą szachów kończyła.

Przechodząc z przedmiotu do przedmiotu, zagajono z kolei dyskusją o starożytności greckiej i rzymskiej. Gussek, co się więcej na filozofii scholastycznej, teologii i naukach matematycznych zaprawiał, znał wprawdzie historią dość biegle, lecz nigdy porównawczo nie zgłębił, nie wniknął w naturę ducha epok odległych, ani w treść omgloną ich moralnych zjawisk.

Z kilku postaci, górujących nad gminem, wnioskowoł o samym gminie; z kilku zdarzeń, podniesionych do apoteozy miłością własną narodów, czerpał zdanie ogólne i absolutne, nie rzadko błędne.

I tak naprzykład, stawiał na wzór spółczesnym starożytną prostotę, dla tego, że Cyncynat sam swoją rolę uprawiał; starożytną wielkość ducha, dla tego że Katon zabił siebie, a Brutus Cezara; starożytną wierność słowu, dla tego że Regulus był tak heroicznie swęj obietnicy wiernym; nakoniec starożytną cnotę kobiet, dla tego że Weturya rozbroiła gniew Koryolana, a Lu-krecya swęj sromoty przeżyć nie chciała.

Placer odstrzeliwał na to zręcznie.

— Co do mnie — mówił — wyznaję, że starożytnych nie mam za lepszych od nowożytnych. Ludzie byli zawsze ludźmi. Też same błędy, wady, porywy, złe lub dobre, i też same namiętności objawiały się wtedy co i dzisiaj. Złe mówię. Obyczaje publiczne były nieporównanie gorsze, niżeli obecnie. Życie odarte ze wstydu i godności, szydziło bezczelnie z cnoty, pograżając się w brudnym materyalizmie aż do przesytu. Wielej ludzie nawet nie wstydzieli się być spółnikami rozpusty gminu, i obnażać przed nim chełpliwie sromotne zboczenia wysokięj zkad inąd natury swojej. Perykles rozwiódł się z cnotliwą żoną, dla sławnęj wdziękiem i zepsuciem Aspazyi, kurtyzany z Megary. Arystoteles żył w nieprawym związku z Herpillisą i miał z nią syna Nikomaka; Temistokla widziano jadącego *coram po-*

puło w koleśnicy z wszetecznicami: Seyoną, Lamią, Satyrą i Nannioną; Aleybiad wystawił na widok publiczny malowidło, w którym był wyobrażony, siedzący na kolanach kurtyzany Nemei. Sam Sokrates kazał godność swoją w pożyciu z Aspazją; Apelles z Laisą; Praxitel z Fryną! Ateny i Teby wznosiły świątynie w cześć kurtyzany Lamii, pod wezwaniem *Venus-Lamia*. Rzym hołdował ołtarzom niecnój Flory. W Abydos była świątynia „Wenery-łatwój“; a kapłanka miłości, Kottyna, miała swój posąg w Sparcie, sławniej w starożytności rozwiązałością i wdziękiem swych kobiet. Korynt, co się z tego pysznił, że Wenus, gdy z morskiej piany powstała, najpierw powitała jego mury, nie poprzestając na pohańbieniu własnych kobiet, kupował dziewice na wyspach Archipelagu, a nawet w Sycylii, żeby ilość wszetecznie powiększyć.

— Wiele starożytnych komedyj — mówił dalej Placer — nosiły imię kobiet publicznych. Słowem, cielesność przemagała nad duchowością, wstyd nie poskramiał chuci, a godność moralnej natury człowieka była pohańbioną i zdeptaną. Kobiet podobnych Lukrecyi, Skribonii, Kornelii, małżonce Lepida, nie naliczyłbyś wiele, a takie jak Messalina, nie były rzadkiem zjawiskiem. Co do prostoty starożytnych i umiarkowania, nie są one faktem absolutnym, ale ściśle wyjątkowym. Rzym np. sadydził się na zbytki niesłychane w bankietach, strojach i urządzeniu domów. U Cycerona był w liczbie innych kosztownych mebli jeden stolik z drzewa *citrum* (dzisiejsza *thuya*) za który zapłacił milion sestercyów (przeszło 62,000 rs.). Cethegus, posiadał jeszcze droższy, o kilkadziesiąt tysięcy rubli. Starożytne modne damy, nie mniej się zajmowały sobą od dzisiejszych. Sztuka kosmetyczna, bodaj czy nie stała wyżej od naszój; miała swoje odrębne termina i modne rozmaitego gatunku specyfika. *Ars ornatix*, nazywano zbiór przepisów, po większej części farmaceutycznych, mających na celu upiększenie ciała. Pod nazwą *ars fucatrix*, rozumiano sztukę sprostowania niedokładności ciała.

Oprócz świeżej, zdrowej wody, którą zaraz po przebudzeniu się, rzymska elegantka zwykła twarz umywać dla nadania tonu i świeżości skórze (*Ac primum* *) *pura somnum tibi discute lymphæ*) używała czasami jakiegś kompozycyi, zwanój *helenium*, do której wchodziło mléko oslicy — albo, *lomentum* z mąki bobowej i judejskiej myrry — albo sławnego *oesype* ateńskiego, rodzaju *electuarium*, do którego wchodził olejek z owczej sierści. Jeżeli pryszczki (*tubera*) albo plamki (*malaculæ*) nie dały się zniszczyć temi środkami na twarzy, w takim razie udawano się do kosztownego preparatu z gniazd jakiegoś gatunku ptaków, słynącego pod terminem *alcjonei*, o której śpiewa Owidysz:

„Niech nią potrze lekko twarz swoją, a cera jój stanie się jaśniejszą od jój zwierciadła.“

Do umywania rąk miała rzymska modnisia dwa rodzaje mydła, miękkie — i płynne. Najsławniejsze przywożono z Gallii, gdzie je robiono z tłuściości kozłęcia i z popiołu grabiny, z dodatkiem dla zapachu cynamonu i *nardum persicum*. Aromatyczne kąpiele, z najdroższych ziół Azyi i Afryki w srebrnych wannach (*solia argentea*) dopełniały tych zabiegów rzymskiej, niewieściej kokieteryi; nie wymieniając, rózu, bielidła i szat kosztownych, któremi przyozdabiała swoje wdzięki. Tibull, Marcyal i Propercyusz, obszernie się nad tém rozwiedli, a świadectwo ich w tym względzie potwierdziły mnogie odkrycia zrobione teraz w odkopanych gynecceach Herkulanum i Pompei.

Dalszego wątku dyskusyi nie pamiętam. Pomnę tylko, że dostoyny hołdownik Eskulapa, odniósł zupełne zwycięztwo nad zacnym Gussekiem, który, w nadziei odwetu zapewne, wyzwął go na partyą szachów.

Po latach wielu, doktor Placer, ożeniwszy się na starość, kupił w gubernii kijowskiej wieś Krupodryńce, gdzie dożywa dni swoich spokojnie, *procul negotiis*, w miłym spółnictwie sztuk

*) Propercyusz.

pięknych i nauki. Co do mego kochanego mentora Gusseka, ten umarł w Kijowie, między 1845—1850 r. w domu Antoniego Lubomirskiego, którego dzieciom poświęcił ostatnie lata swego pedagogicznego zawodu. *Terra sit ei levis!*

Rozdział VII.

Rzeź humańska. — Śmierć Mładanowicza. — Mierzwiński i Gonta. — Żeleźniak. — Stan t. j. obóz hajdamacki. — Tryumfalny powrót Mierzwińskiego pod rodzinną strzechę.

Zagłębiwszy się w przeszłości, tyle nagawędziłem o różnych różnościach, że łaskawemu czytelnikowi, dawno już pewnie, mój kolega podróży, Lipowczyński z pamięci wyleciał. Otóż wracam do niego i to w chwili, kiedyśmy z nim razem z Humania wyjechali. Przy drodze wiodącej do Leszczynówki o wiorstę od miasta bez mała, jest lasek zwany „Greków“.

Lipowczyński przypomniał sobie, że w tém właśnie miejscu, miał być *stan* hajdamacki Żeleźniaka, kiedy szedł zdobywać Human i że się tu z nim połączył z dość liczną drużyną Gonta, ataman nadwornych kozaków Potockiego. Ztąd więc uderzyli oni na bezbronny Human, gdzie Gonta dogadzając osobistej zemście, zamordował miejscowego gubernatora (rządzcę) Mładanowicza i jego familię. Najmłodsza tylko córka jego, cudownie uniknęła śmierci. Znałem ją bardzo już starą. Była za jakimś Krebsem i wydała swoje pamiętniki.

Komuż obce szczegóły tego strasznego dramatu rzezi humańskiej, co tyle niewinnych ofiar pochłonęła? W samym Humanu, wściekłość pijanego chłopstwa nacieszyła się do woli. Nóż, topór, spisa, pohulały do przesyty, na lachach, księżach i żydach. Z klasztoru OO. Bazylianów, jeden tylko podobno kapłan ocalał. Studentów wszystkich wymordowano i głęboką studnię ich ciałami zarzucono.

Pomiędzy uczniami był niejaki Mierzwiński, syn ukraińskiego obywatela, chłopak przytomny i sprytny. Gdy hajdamactwo uderzyło na klasztor, dokąd się byli schronili studenci, udało się jemu jakoś wyskoczyć do miasta, i skryć się na strychu czyjegoś domu, pod leżącą tam końską skórą. Tam się on tulił drżący ze strachu. Krzyki i rozpaczliwe wołania ściganych i mordowanych ofiar na ulicy, dochodziły do niego, potem usłyszał jak się dom napełniał tłumem rozjuszonego chłopstwa; jak dzwoniły szyby okien i drzwi pękały od naporu sił wielu. Słyszał ze drżeniem, jak ktoś jęczał, krzyczał, błagał o życie... w końcu, jęzcąc i błagać zaprzestał. Śmiechem piekielnym zawyła tłuszcza oprawców, i rozbiegła się po domu dla rabunku i mordu.

Mierzwiński miał siebie za zginionego; a kiedy schody wiódące na strych zaskrzypiały pod ciężkiem stąpaniem, i jeden z hajdamaków stanąwszy nad końską skórą, co jego schronieniem była, huknął tubalnie:

— *Czy ne ma koho pid szkuroj?*

Biedny chłopiec polecił swoją duszę Bogu, i czekał śmierci. Rzeczywiście znaleziono go, wyciągnięto za włosy brutalnie i chciano zabić.

— *Ne byjcie mene!* — zawołał przytomnie Mierzwiński — *ja ne Lach.*

Sam Gonta był tam. Kazał go stawić przed sobą; pytał, z kąd rodem? jak się nazywał? i co robił w Humanii? — W końcu, zadowolony rezultatem egzaminu, upodobał sobie sprytnego i ładnego chłopaka; pomieścił go przy sobie; woził z sobą wszędzie i otaczał troskliwą opieką.

Po schwyceniu Żeleźniaka i Gonty przez Kreczetnikowa, młody Mierzwiński odzyskał swobodę, a gdy się w kraju uspokoiło, tak, że hajdamaki i na lekarstwo byś nie znalazł, powrócił do rodzowego swego Mierzwina w powiecie Lipowieckim.

Ledwie się pokazał u wjazdowego kołowrotu i nazwał siebie po imieniu, rozległ się gwałt radosny na ulicy, cała włość z ba-

bami, dziećmi i starcami swymi, wysypała się z chat na powitanie *didycza* swego, uderzono w dzwony cerkiewne, paroch wyszedł *na papert'*, z krzyżem i wodą święconą; poważna falanga patryarchów sioła, otoczyła go kornie i bez czapek; paroch stanął na czele téj improwizowanej processyi i Mierzwińskiego wprowadzono uroczyscie do rodzinnych progów jego. Nie pojmował, coby znaczyła ta radośna demonstracya, której się wcale nie spodziewał. Nie była to pora ludowych owacyj dla dziedziców.

Nie ostygłe jeszcze po gorączce hajdamaczyzny massy, stały się zwykle dość groźnie względem wracających do wsi panów. Mierzwiński wiedział to, i tém więcej się dziwił, że nie uległ ogólnój kolei. W domu nie zastał nikogo. Ojciec i matka odumarli go w dzieciństwie, a krewnych co się puścizną sieroty opiekowali, huragan ludowego szaleństwa pochłonał. Smutnym więc był dla niego ten powrót do rodzinnych progów. Ukłakł, modlił się i płakał. Uszanowano tę uroczystą boleść jego, a chociaż ściany domu nie pękały od ścisku, nikt się nie poważył ani słowa wymówić.

Gdy Mierzwiński powstał i łzy otarł, najstarszy z jego poddanych i wiekiem, i zamożnością, i wpływem powagi swojej, Dymytro Bondar wystąpił na środek i rzekł, podając młodemu panu swemu pęk kluczów:

— Oto są klucze od pokojów, od składu i od lochu. Oddajemy tobie panie w całości, co nam było powierzono. Chodź i wejdź w posiadanie swojej własności.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie Mierzwińskiego, gdy znalazł pokoje utrzymane czysto i porządnie, meble poustawiane w symetrycznym ładzie; portrety familijne starannie muslinem pozawieszane, w składach pełno zapasu, w lochu pełno wina, miodu i wódki, w stodołach pełno rozmaitego ziarna; a na toku, kilkanaście stert i stogów, troskliwie ułożonych i okrytych.

Kiedy dopełniał tego przeglądu, paroch szedł przy nim, starzec z kluczami przed nim, a włość *in pleno* za nim. Była to

scena o tyle oryginalna, o ile poruszająca. Z toku wprowadzono Mierzwińskiego do ogrodu. Ścieżki były czyste i piaskiem usypane; szklarnie w kwitnącym stanie i Flora egzotyczna żyła w nich zdrowa i wesoła.

Mierzwiński głęboko wzruszony, wziął rękę sędziwego przewodnika swego i podziękowawszy mu, oraz całej gromadzie w najczulszych wyrazach, za serdeczność przyjęcia, tudzież za uczciwą ich opiekę nad jego mieniem, zapytał o przyczynę tej opiekuńczej przychylności włościan ku niemu, w czasie, kiedy po innych majątkach palili obywatelskie domy, a ich samych zabijali?...

— *Myłostywy pane!* — rzekł chłop siwobrody, jeden z przewodców gromady, z niskim pokłonem. — Pan Gonta *buw tutki i skazaw: Szobešte mini pilnowaty pańskoho dobra, lipsze jak swojeho! Za jidno jeho zerno — za jiden jeho hrisz — wsich was pererizu!*...

— Jakto?... Gonta był tu? w Mierzwinie?... był tu i mówił to? — zawołał Mierzwiński.

— Był! — zawołała gromada.

Mierzwiński. Kiedyż to być mogło? Wszak nieodstępowałem go? Nie pojmuję! tém bardziej, że on nie wiedział nawet jak się nazywam, a znał mnie pod przybraném nazwiskiem.

Dmytro Bondar. *Pane!* Włóść wasza posłała mnie do *stanu* pana Żeleźniaka i pana Gonty, z mąką, miodem i horyłką. Stan ich był pod Daszowem koło kurhanu Soroky. Pan Gonta kazał kozakom zwalić z wozu co przywiozłem, potraktował mnie *wyszniakom*, a potem siadł na kurhanie — zawołał mnie do siebie i pytał zkąd byłem?

— Z Merwyna *bat'ku* — odpowiedziałem. — A on pytał:

— *A hde waszy pany?... czy zaryzaty ich?*

— Nie! — odpowiedziałem. — Starzy państwo pomarli, a synek w Humanu w szkołach. Kiedy my tak gadali, obaczyłem was *pane*. Siedzieliście koło ognia na trawie i smutno

patrzaliście na nas. Poznałem was od razu, bo ja taki nie raz widziałem w Humaniu, kiedy woziłem dla was z domu *pro wizju*. Smutno jakoś zrobiło się mnie na duszy. *Tiażka дума na мене naletita. Bidnyj sirota!* pomyślałem. Za co on cierpi, kiedy nikomu nie winien? *Taż win syn panyw naszych* i sam *didycz* nasz! Pan Gonta patrzył tymczasem w moje oczy. Patrzył tak, jakby chciał na wskroś przewiercić. Zmięszałem się i zdrząłem. A on do mnie:

— *Ne bijsia, każy prawdu! Znajesz toho chłopcia?* — i pokazał ręką na was *pane*.

A ja buch, jemu do nóg, i zawyłem jak sobaka.

— *Ne bijsia każu tobi!* — zawołał znowu — *ty znajesz jeho! baczu szo znajesz!*

I zerwał się z trawy, i tupnął nogą i krzyknął:

— *Howory chutko! a ne skażesz, powiszu.*

Przestraszony padłem przed nim na kolana, i płacząc opowiedziałem wszystko.

Mierzwiński. Rzeczywiście, przypominam sobie, że kiedyśmy nocowali u kurhana Soroky, koło Daszowa, Gonta z kimś rozmawiał siedząc na trawie, gniewał się na kogoś, a ten ktoś klęczał, płakał, i gadał długo, ale nie słyszałem co, bo wiatr słowa unosił.

Dmytro Bondar. Pan Gonta wysłuchał, i zadumał się, i długo chodził i wasy kręcił, a często i patrzył na was. Co było u niego w oczach, nie widziałem, bo to działo się w nocy, ale zdawało się mnie, jakby *uter ślizu rukawom*. Potém zbliżył się do mnie, wziął za rękę, i rzekł:

— Nikomu ani słowa! *czujesz?... Jak wsi zasnut' w stani, pojidemo do Merwina. Idy do swoich konej!*

Oszczędzając fatygi pocziwemu narratorowi, opowiem szczegóły téj nocnej wycieczki Gonty do Mierzwina, według słów zanego współobywatela mego, hrabiego Narcyza Krasickiego,

który był powinowatym Mierzwińskiego, i sam z ust jego tę przygodę słyszał.

Szeroką łuną obozowych ognisk rozpostarł się do koła kurhanu Soroki *stan* hajdamacki. Wiatr stepowy wicherzył płomienie i rozmachiwał żary, a za obrębem stanu noc była głęboka. Koło ognisk snuli się jacyś ludzie straszliwi. Jedni gotowali wieczerzę w kociołkach na trójnogach, drudzy leżeli na trawie, palili lulki, albo wypróżniali fiasze z horyłką, czy z wiszniakiem, Bóg ich tam raczy wiedzieć. Byli i tacy, co rozwaliwszy się na ziemi, bawili się kartami, i kupy złota obojętnie sobie przegrywali, zaciągając na całe gardło, ochryplą jakąś od przepoju pieśń hajdamacką, straszną i złowrogą. Owdzie wałęsały się pijane tłumy chłopstwa, w krwawych świtach i czapkach baranich na bakier. Dalej pasły się woły i konie na arkanach: stały długimi rzędy tabory i maże, ładowne zdobyczą i wiktuałami.

W hajdamackim *stanie* były dwie najwyższe władze równoważące się z sobą i nienawidzące siebie tajemnie: Żeleźniaka i Gnoty. I ta, i druga, rade były oddzielić się, uniezależnić siebie od wzajemnej solidarności i stąpać każda osobno, według swój fantazyi. Żeleźniak i Gonta wiedzieli dobrze, że oddziały wojewody Stempkowskiego rozsypały się po kraju w zamiarze ścigania hajdamaków, i że w ślad za niemi naskoczą w przeważnej sile koronne zaciągi szlachty i królewskie chorągwie. Czuli jawne, groźne, blizkie niebezpieczeństwo, a na skuteczność oporu pijanej i niesforniej tłuszczy, której przewodzili, liczyć nie mogli. Musieli zatem trzymać się łącznie i ciasno, dopóki podobna, i tać w obec siebie porywy wzajemnej nienawiści pod maską sympaty i zgody.

W szatrze z grubej *radowiny*, leżał podchmielony Żeleźniak, na kosztownym kobiercu, oparty o węzłowie z pasowego niegdys adamaszku. Sztrof z wódką stał przy nim na zydlu obok płonącego kaganka; w rękę trzymał lulkę i gęstym dymem baku buchał, na dwóch starych hajdamaków, opasyłych i opitych,

w oponieczach wytartych i spłowiałych, którzy u nóg jego siedzieli. Żeleźniak nie był w różowym humorze. Zżywał się czegoś, pluł ciągle i warczał jak brytan w gniewie. Jakiś robak toczył we środku, bo czoło nasępił i wąsa gorączkowo podkręcał. W końcu nakławszy do syta wszystkimi czortami, bisami i *did'kami* całego ukraińskiego *Pandemonium*, rzekł do jednego z przytomnych:

— *To wy każete, że bisowe syny Lachy idą od Pobereża pod Stempkowskim, i że ich moc wielka? Nechaj sobi iduť!* Takiego im zadamy *perciu* że im odpadnie ochota drugi raz nas zaczepiać. *Czeho win chce ten wrażyj syn, Stempkowski? Szob my piddały sia?* ha! ha! ha! Wielki z niego dureń, jak widzę. My naród wolny! My kozaki na kozackiej ziemi! a ja Maksym Żeleźniak, Książ Śmılański, hetmanem wolnej kozaczyny.

Rzekł i uderzył po rękojeści szabli — i cisnął lulką o ziemię.

— *Prawdu skazawes*, jaśnie wielmożny panie hetmanie! — odpowiedział jeden, mniej pijany.

— *Znaju sam teje!* — przerwał sam niecierpliwie Żeleźniak — i Lachy powinny o tém pamiętać! — Więcój, znacę ja w kozaczyńie, jak ich malowany król w Warszawie. Nikt jego nie boi się, i nie słuca, a u mnie *hore nepostusznomu!* — Mówią że ja rozbójnik, chłop zbuntowany, *ładaszczo*, samozwaniec. *Breszut!* ja był nie chłop a taki *sotnik sławnoho zaporozśkoho wijska*, a teraz hetman całej Kozaczyny. *Breszut' bisowy syny Lachy!* Dam ja im za to! Dowiodłem zdaje się w Smile, Lisiance i Zwinogrodce, co może moja wola — czego dokaże kozacka spisa! Dwadzieścia tysięcy głów laszych i żydowskich, padło na moje skinienie w Humaniu! W Tepliku, Granowie i Sawranu, brodziliśmy we krwi po kostki; *worony* w rok nie rozniosą kości *wrażyh* synów, cośmy tam pomordowali! Z Tetyjowa i Monasterzysk zrobiłem cmentarz! Z Bosówki i Ładyżyna kupę krwa-

wych popicłów! Z Hajsyna i Daszowa, pustynię! *Nechajże Lachy ne czypajut' mene! a ni? toi do Warszawy zahlanu!*

Gdy tych słów domawiał, rozmachnęła się wchodowa zasłona szatry, i wszedł kozak poważnej postawy, średnich lat, herkulesowej budowy, z twarzą wyrazistą, surową i rozumną. Miał na sobie burkę zaporozką, srebrnym łańcuszkiem z klamrą na szyi zapiętą, z pod której wyglądał kozacki żupan, ze złocistemi guziczkami. Przepasany był szerokim czarnym rzemieniem, gęsto nabitym srebrnymi ćwieczkami. Srebrzysta rękojeść tureckiego pistoletu sterczała za pasem.

— *Zdorow bałku!* — rzekł, skłoniwszy się iekko Żeleźniakowi.

— *Zdorow kume Bondarenku!* — przemówił Żeleźniak, widocznie zadowolniony z nadejścia tego nowego aktora sceny. — Co u was nowego? Siadajcie.

Bondarenko usiadł na kraju kobierca, spojrział ze wzgardliwym sarkazmem na dwóch pijanych hajdamaków, co się już opuszczali na ziemię i zasypiali — i rzekł:

— Co nowego?

— Nic dobrego, *bałku* Maxyme!

Żeleźniak. Czy nie to, że Stempkowskiego *czort nese* na nas od Pobereża.

Bondarenko (kiwając głową). Nie to *bałku*, nie to!

Żeleźniak. To może łowczy Branicki, coś przeciw nas *zamyszlaje?*

Bondarenko (z ironią). Kto?... Branicki?... On sobie *bajdykuje* na Podolu, a szkodzić nam jemu i w *dumci ne powstało*. Byłoby kogo bać się!... Branickiego!...

Żeleźniak. To może carskie *henerały* Kreczetnyk i Numers, *idut'* na nas?

Bondarenko. Oni jak stali spokojnie, tak stoją. Co dalej zrobią? Nie wiem.

Żeleźniak (niecierpliwie). *Howoryże kume Bondarenku! howory!*

Bondarenko (pokazując ręką na uśpionych hajdamaków). Na co oni tu?

Żeleźniak (wzgardliwie). To trupy!

Bondarenko. Nie każdy śpi co chrapie.

Żeleźniak (klasnął w dłonie i świsnął, wpadają kozacy od straży). *Wozmyt' tych durniw!*

Po wyjściu Kozaków mówił dalej Bondarenko.

— Wyszło na moje *bał'ku* Maxyme? — Mówiłem wam nieraz, że nóż morderstwa obosieczny. Skaleczy on i tego komu był narzędziem posłuszném. Rozumny *sołyt'*, a dureń *peresołyt'* — *na wse powynna buty mira.*

— Wiadomo.

— Czemuż nie robiliście tak, jak wiedzieliście? Nie było potrzeby wytaczać krwi tyle; pastwić się nad ludźmi, jak jakie *korszuny*, albo *worony*. Kto się opiera, bij tego! Ale za co było mordować bezbronnych, starych, kobiety i dzieci? !... *Hrych!*

— Lachy nasze wrogi!

— *Znaju!* — Ale nas sto razy więcej, jak ich. My cały naród, a ich garstka! My siła! *własť*, a oni co? — Kropla w morzu! (*po chwili*). Wytępiłiśmy tych, co się nam opierali. Na tém trzeba było poprzestać, Mieliśmy prawo odzyskać naszą wolność, naszą ziemię (bo to nasza *ridnaja zemla!*) ale nie mieliśmy prawa *paskudyty naszu swiatuju sprawu*, mordując tysiące niewinnych, co nam zaszkodzić nie mogli. *Żydów proklatych riż kilki chcesz.* Lachy że *wirujut' w Spaca* jak i my — dość był wypędzić i koniec.

— Żebym was nie znał dobrze, pomyślałbym *kume*, że was Lachy, bisowe syny, podkupili.

— *Smert' tomu*, coby śmiał oskarżyć mnie o zdradę!... — odparł Bondarenko, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu.

— Lachy nie podkupili, i nikt mnie nie podkupi; — mówił

dalej po chwili; — lecz po siołach gdzie byłem, nie znalazłem dawnego zapału. Naród boi się nas, ale nie lubi; drży przed nami, jak przed rozbójnikami i nie ma nas za braci swoich. Gonta u nich wyżej stoi. *Win czasom pomyłuje* — a *Żeleźniak nikoty*.

— *A bisowe syny! proklaty hadiuki!* — zawołał wściekle *Żeleźniak*.

— *Ne łaj i ne prokłynej!* — Mówią co widzą. Kraj cały krwią zalałeś; miasta i sioła w perzynę obróciłeś, z pięknej i wesołej krainy pustynię zrobiłeś. Naród przyklaskiwał tobie, dopóki widział w tych okrucieństwach potrzebę i korzyść dla siebie. Lecz przeszła gorączka; nienawiść nasyciła się zemstą do woli; błąd wyszedł na jaw. Znaleźli się w narodzie ludzie, co mu wytłómaczyli, że krew tych mnogich tysięcy ofiar niewinnych, coś kazał wymordować, może ściągnąć na niego straszną odpowiedzialność i karę boską, i naród opamiętał się, zobojętniał dla sprawy, ostygł dla nas i radby *szob* znowu zrobiło się spokojnie na Ukrainie. Gonta, książ humanśki, jak go nazywają, trzyma z narodem. On folguje swoim do czasu, bo *znaje chamsku naturu*, że się nie da osadzić na miejscu, kiedy rozhukana, ale nie to już dzieje się w jego *stanie*, co w naszym. Kozaki jego nie pijana i rozpustna *wataha* jak nasza, a podobniejsi do rycerstwa, choć *zahulajut' ale miru znajut'*. Nie wierzysz? — chodźmy — pokażę tobie.

I wyszli z szatry.

Kozacy od straży hetmańskiej, uraczywszy się porządnie okowitą, spali sobie szczęśliwie na trawie. Nikt zatem nie spostrzegł wychodzących. *Stan* *Żeleźniaka* wrzał dziką rozpustą, niesformą wrzawą, hukaniem pijanej ochoty, gwałtem sporu i bójki, śmiechem, wyciem, przekleństwem i bluźnierstwem. Jak tłumy duchów nocy, lub zgraje straszliwe potępieńców, wałęsały się w krwawej łunie ognisk jakies ciemne postacie, istne widziadła maligny.

— Hej! Sawo! huknął jakiś głos ochrypli, w odległej stronie stanu, *chodyt no szwytko! z żydom!*

— *Idu!* — ozwał się zkąds Sawa, walcząc z konwulsyjną czkawką, której go *horyłka* nabawiła.

Gruba osłona ciemności leżała tam, zkąd wezwanie przeleciało po odpowiedź. Żeleźniak z Bondarenkiem musieli więc kierować się uchem, żeby trafić na ten punkt obozu, gdzie uchwalono nieludzkie jakieś widowisko, z oczywistą szkodą głównego aktora zabawy. Gdy się zbliżyli, ujrzeli kilku obszarpanych i rozmamanych hajdamaków, co wyciągali z jakiejś błotnistej jamy skrępowanego żyda. Ożywione dodatkiem palnego materiału ognisko, buchnęło w tej chwili jaskrawym płomieniem i oświeciło gotującą się scenę barbarzyństwa.

Żyd jęczał i błagał i zalewał się rozpaczliwem łkaniem; nie pomogło! Rozwiązali nieboraka i kazali skakać przez ogień. Nieoswojony z podobną gimnastyką i nie mając siebie za salamandrę, biedny żyd klękał, załamywał ręce, walał się u nóg rozbestwionej zgrai, wołał litości, pomocy, ratunku, na próżno! Gęste smagania nahajem były jedyną odpowiedzią.

Smagania te, wywołujące oznaki wysokiego zadowolenia hajdamaków, spotęgowały się w końcu w takiej straszliwej progresyji, że ból, rozpacz, szaleństwo, opanowały nieszczęsnego żyda, który widząc że się nie wykręci, wznosił się z całej siły do ordynowanego polotu i dał opętanego susa, ale niestety! nie przewidział biedaczysko, że go w samym zenicie ogniska, w samym skoku, wstrzyma na powietrzu ostrze podstawionej zdradziecko spisy, co mu wgrzęzła w ciało i strąciła go z góry w sam wir płomieni i żaru.

Krzyk okropny ofiary rozległ się daleko straszliwą nutą męki i konania, potem ustał nagle, przerwany śmiercią i dzikim śmiechem Kannibalów.

— *A szczo?* jak wam to podobało się *bat'ku* Maxyme? — zapytał Bondarenko.

— *Wetyka bida!* Usmażyli żyda i dobre zrobili, *nechaj sobi żulajut'* — odparł Żeleźniak śmiejąc się, i wszedł dalej w zarośla.

Po za kurhanem Soroki, leżał *stan* Gonty.

Na szczycie kurhana powiewała atamańska chorągiew i kilku ludzi stało przy niej na straży. W tém miejscu było cicho i spokojnie, bo tu stał namiot samego *jasne wielmożnoho pana atamana Gonty, kniazia humańskoho!* a on nie lubił żeby o tém zapominano. Ognisk w obozie nie było, bo po trudzie, zabawie (może i swawoli!) godzina spoczynku nadeszła. Gdzie niegdzie tylko błyskał jeszcze żar bez płomienia i poruszany wiatrem giał się w powietrzu szary słup dymu.

Na wznioślejszych punktach obozowej granicy majaczyły pikiety i straże. W dali słychać było parskanie koni nocnego objazdu, co sznurkował po *czercie stanu*, pilnując porządku. Lud obozowy spał odziany z bronią na podorędziu. Czujność i dyscyplinarna srogość Gonty przebijała się we wszystkiém. Tabory były gotowe; konie pasły się na długich arkanach osiodłane i sotnia służbowa czuwała w nocy troskliwie od stepu.

— *A szczo baťku Maxyme?* nie tak jak u nas! — rzekł Bondarenko. — Tu rycerstwo, a u nas pijane zawadyaki, czern nikezemna. Kozaki Gonty potrafią stawić się tego nieprzyjacielowi, nasi uciekać nawet dobrze nie potrafią, bo im *posołowiło w hłazach* od przepoju.

— *Pobaczym — pobaczym.* Nikt przed niewodem ryb nie łowi.

Zagłádnijmy teraz do namiotu Gonty. Ten bogatszy i okrzętniejszy niżeli Żeleźniaka. Ogromny dywan, własność zapewne jakiegoś zrabowanego domu polskiego, rozścielał się na ziemi. W kątku *Ikona* Matki Boskiej, w srebrnej *ryzie*, w pozłocistym *kijocie*; przed nią płonęła lampa. W przeciwnym kącie: spisy, szable, rusznice, pistolety. Siennik burką zasłany, ze skórzaném węzłowiem, to łoże kniazia humańskiego, drugi siennik

u wnijścia, świtką kozacką zasłany i opatrzony safianową poduszką — to pościel Mierzwińskiego, przybocznego pazia Gonty.

O tej spóźnionej porze, paż ów młody, spał już w swój obozowej pościeli. Był w zupełnym ubraniu. Pistolety i szabla leżały przy nim. Sen jego był niespokojny. Po czole przebiegały chmury straszliwych jakichś widziadeł letargu i przygód. Drgania chwilowe poruszały nerwy jego członków, i słowa urwane, słowa boleści, przerażenia i żalu brzmiały w ustach bez związku.

Gonta stał nad nim z założonemi rękami na piersiach i patrzył z tkliwym społeczcuciem na senną torturę uspiętego.

— *Bidny sirotol!* — mówił sam z sobą. — *Znaję teper kto ty. Bóg powierzył ciebie mojej opiece, żebym odkupił grzechy swoje, dobrym dилоm; i tym czynem zmył choć trochę brudu, co moje sumienie plami. Zroblu Hospodi, jak kazawes, a Ty prosty hrisznomu!*

Po tych słowach podszedł do *Ikony*, ukląkł pobożnie, i po krótkiej modlitwie, wyszedł z namiotu.

Wtedy to pojechał do Mierzwina, gdzie rozkazał najsurowiej gromadzie sioła, strzedz pańskiego dobra jak żrenicy oka, a gdyby Mierzwiński powrócił do majątku, bronić go chociażby z narażeniem życia.

Widzieliśmy już, jak Mierzwiński był przyjęty i w jakim stanie zastał dom i gospodarstwo.

Sprawdziły się przeczucia Bondarenki; smutnie dla hajdamaków skończyła się ta sprawa. Gdy obozowali pod Humanem, Żeleźniak, Gonta i wielu innych głośniejszych spółników, byli schwytni przez rossyjskiego pułkownika Gurjewa, i wydani w ręce Kreczetnikowa i Numersa. Żeleźniak uniknął kary, pozostał w obozie rossyjskim, i gdzie się potem podział? niewiadomo. Gontę wydali Rosssyanie Branickiemu, który go kazał stracić.

Lipowczyński znał dobrze Mierzwińskiego, z którym Gonta postąpił tak szlachetnie. Był to staruszek, ogólnie lubiany i szanowany za swoją prawosć, a co więcej (bo prawosć to rzecz pod-

rzędna) za gościnność, dobry stół, stare wino i ton wesoły domu. Trzymał orkiestrę balową, z 12 wcale niezłych muzykantów złożoną, która używała rozgłośniej famy w całej okolicy, bo się żadna feta bez niej nie obeszła.

Mierzwiński miał w sobie tę szczególność, że mu się ciągle roiła nowa koliszczyzna. Skutkiem tej obawy, postawił dom fundamentalny z muru, z kryjówkami w ścianach; a pod domem za sklepił loch obszerny, od którego puścił w różne strony dziwaczną płataninę podziemnych kurytarzy, przesmyków, wycieczek zatajonych, dla ratunku w razie niebezpieczeństwa.

Córkę wydał za hr. Krasickiego, podobno Marcina; a dwie jej córki (wnuczki Mierzwińskiego) były: jedna za Kaszewskim, druga za Józefem Żdziechowskim i téj dostał się Mierzwin w posagu. Lipowczyński poważał wielce dom pp. Żdziechowskich, bywał u nich często i widział ów sławny labirynt podziemny nieboszczyka Mierzwińskiego, świadczący o głębokiém wrażeniu, jakie straszliwe sceny koliszczyzny na duszy jego wypiętnowały. Za wsią na polu stoi wspaniała kaplica z muru, pod którą spoczywa Mierzwiński z żoną swoją, córką (Krasicką) i wnuczką (Kaszewską). Przez kraty sklepu widziałem jego trumnę, która się tém od innych odznacza, że przy niej postawiono portret nieboszczyka.

Rozmawiając o szczegółach życia Mierzwińskiego i w ogólności o wstrząśnieniach, jakich doznała dawna Ukraina, dojechaliśmy z Lipowczyńskim do Ochrymowy, miejsca sławnego tém, że było mieszkaniem jednego z najzacniejszych obywateli tych stron, pana Marka Sarneckiego, którego serdeczna i wspaniała gościnność na długo pozostanie w pamięci ziomków.

Sławne były Ochrymowskie oranżerye, trejbhauzy, ananasarnie, szkółki drzew owocowych i rzadkich krzewów kwiatowych. Wszystkie strefy klimatyczne świata miały tam roślinnych przedstawicieli i każdy niósł w darze bogactwo form rozmaitych, barwy i woni.

Prefektami ogrodowej administracyi w Ochrymowie byli zwykle specjaliści, słynni w zawodzie Linneusza, *Du-Candolla* i *La-Quintenie*.

Pamiętam jeszcze magistrálną, poważną postać starego Oliwy, co niegdyś u pana Szczęsnego Potockiego, generała artyleryi koronnój, tuczyniskim zawiadywał ogrodem. Po nim nastąpił Kayzer, co w monarchicznym Szenbrunie był pomocnikiem głównego dozorecy ogrodu, zkąd go Dulski znęcił hojną pensją do Bałabanówki. Tam zostawał do samėj śmierci Dulskiego. Z Bałabanówki wziął Kayzera pan Marek Sarnecki do Ochrymowy, gdzie poznał jego głęboką znajomość przedmiotu, któremu się poświęcił i który z takim zapałem miłował, że dla bliższego zastosowania postaci swojėj do barw i form roślinnego świata, zaczął siebie dopóty zakrapiać w cześć Bachusa alkoholem, aż przychylnie chwalebnej jego żądzы bogi, przemieniły twarz jego w piwonię, nos w kalafior, oczy w cebulę, głowę w melon, a całą postać w monsturalny kaktus.

Po dopełnionej metamorfozie Kayzera (którą natchniony Owidyusz lepiejby opisał) wielu z kolei ogrodników trzymało z chwałą ster rządu w krainie ochrymowskiej Sylwy, Flory i Pomony. W końcu z upadkiem zamożności samego właściciela, zniknęli i kosztowni hortykulturowie zagraniczni, a eny autochton, ochrymowski plebejczyk Tereszko, zasiadł w świtce i kozackich szarawarach na tronie Oliwy i Kayzera.

Odtąd zaczyna się właśnie upadek stopniowy tój kwiecistej oazy, tego balsamicznego edenu, tchnącego całą prostotą idylli, całą poezją świeżej, ciepłej, ożywiającej natury! Pan Marek był realnie wysokim znawcą i gorącym miłośnikiem roślinności; krajową cenil w miarę jėj wdzięku i woni; egzotyczną pielęgnował z całą uprzejmością troskliwego gospodarza. Jakoż wdzięcznie roztaczała ona przed nim swoję rozmaitość formy, swoich szat barwy rozliczne, i swych oddechów balsamy, i śmiało rzec mogę, że ogród Ochrymowski, mniejszy zapewne i nie tak wykończony

jak białocerkiewska Aleksandrya (Branickich), albo tulczyńska Chorcza (Potockich), mógł wszakże z niemi rywalizować bogactwem egzotycznej Flory, a Sitkowiecką p. Jarosława Potockiego oranżeryą ilością duplikatów przewyższał.

Rozdział VIII.

Ochrymowa. — Śmierć Lipowczyńskiego. — Pogrzeb.

Kiedyśmy z Lipowczyńskim przybyli do Ochrymowy, pamięć tylko tam została po dawnym jéj dziedzicu. Pan Marek Sarnecki już nie żył, a majątek jego w obce przeszedł posiadanie. Ogród niebył takim jak niegdyś, bo duch co go ożywiał, uleciał, a tylko chłodne ciało pozostało! Lipowczyński pogrążył się w tęsknym zamyśleniu, potem rzekł:

— Ten ogród jakże wysokie w moich wspomnieniach zajmuje miejsce! W nim dziecinne przebiegałem lata; pierwszych uczuć doznałem rozkoszy; i sercem ostatnie pożegnałem nadzieje! W nim krzew każdy, najlichsze drzewko, ścieżka w tajemniczym kryjąca się cieniu, przypominają mi żywo jakiś ustęp z dziejów mojej przeszłości, jakąś chwilkę dramatu nadziei, uciechy, rozczarowania i żalu!

Po tych słowach wpadł znowu w głęboką zadumę, a gdy się z niej przebudził, przedeklamował rzewnie wiersz następujący:

Wiosno Luliniec! Wiosno Ochrymowy!

Najmilsze z wiosen mojego żywota!

Tkliwém uczuciem i tkliwemi słowy

Witam i żegnam was, pielgrzym sierota!

Tehnień balsamicznych waszych nie zamienię

Na woń Auzonji zefirów i gajów,
Na dolin Urmji *) pijących promienie,
Urok czarowny i kwietniów i majów.
Milsze Polańy **) mój swojskie powiewy!
Milsze mi stokroć Bundurów ***) oddechy,
Milsze skowronków téj krainy śpiewy,
Fiołka, rodzinnej dąbrowy uśmiechy,
Milsze strumyka domowego szmery,
Co tak wymownie o miłości gwarzą,
I śnić i marzyć rozkosznie, o Peri,
Marzyć o Bogu, śnić o tobie każą!
Wiosna w naturze, wiosna w sercu była,
Wzajemny pociąg zbliżał nas, kojarzył;
Jam się nieśmiało, *kocham!* wyrzec ważył,
I tyś nieśmiało, *kocham!* powtórzyła!
I zdało mi się, że natura cała
Radośny zachwył serca podzielała,
Że brzmień tysięcy ozwały się razem
Wyznań serdecznych czarownym wyrazem,
Jak gdyby wszędzie, na niebie, na ziemi,
W ustach zefirów, w mowie fal jeziora,
W chórze gwiazd, lśniących oczyma złotemi,
Tém słowem *kocham!* brzmiał akord wieczora...

Tu się zatrzymał i rzekł: — Było to złudzenie tylko, co się boleśnie dla serca zakończyło! Teraz bywaj mi zdrowa Ochrymowo! Ostatnie to moje z tobą pożegnanie! — Najwłaściwsza to chwila, powiedzieć tu, w cześć pamięci pana Marka Sarneckiego, ostatnią doń odezwę mojego serca i mojej wdzięczności. Są to strofy ciężkiej żałoby i głębokiego hołdu.

*) Urmijska dolina w Persyi, sławna ilością i gatunkiem róż.

**) Dolina w Lulińcach, o której nieraz była już mowa w ciągu mojej narracji.

***) Piękny lasek pod Ochrymową.

Już go nie ma!... dłoń śmierci starła go z téj ziemi!
Pełen lat i zasługi, z doczesnego znoju
Unióś ducha w niebiosa, i z duchy czystemi
Ogarnięty wiecznością używa pokoju.

I czas było już jemu! czas odpocząć było!
Tyle strat, tyle wspomnień, na życiu ciążyło!
Z drzewa jego nadziei, wichry i zamiecie
Uniosły liść po liściu i po kwieciu, kwiecie.
Cóż zostało?... pień suchy i martwe konary,
Godła smutku, żałoby i samotność głucha!
Gdy doczesne dni zmierzchły, promień tylko wiary
Gorzał jasno w przybytku świętym jego ducha!

Już go nie ma! niestety! jaka czezość w około!
Runął dąb opiekuńczy, co szlachetne czoło
Długo wznosił wysoko i swemi konary
Ocieniał młodociane pokolenia lasu.
Burze go przetrawiły, grom obalił czasu;
Zachwiał się, padł, doczesnej dopełnił ofiary,
I las płaczem boleści głucho jęknął w dali,
Jak sierota, któremu śmierć ojca obali.

I smutno mi! tak smutno, że wyrzec nie zdołam!
Do tylu drógich mogił, jednostka przybyła!
Cięższa moja samotność dziś, niż przedtém była,
Bo się nikt nie odezwie do mnie, gdy zawołam!

On jeden umiejętnie serce moje zbadał
I dążenia zrozumiał i ducha ocenił;
Na głos serca współczuciem tkliwém odpowiadał,
I śród wielu, on jeden nigdy się nie zmienił!

A gdy falę méj myśli wiatr nagły poruszał,
On jój burze poskramiał i oświecał mroki;

Szał rozpaczy umilknąć — słowem wiary zmuszał,
Cel istnienia wskazywał, cel święty, wysoki,
Wiodący do błogości wiecznej, co człowieka
W zamian dążeń szlachetnych i cnót, w niebie czeka.

I lżej mi się robiło, czystsze lazury
Jaśniały widnokręgi myśli mój i ducha,
Promieniste nadzieje znów spływały z góry,
Jak złote meteory — i doczesność głucha
Znowu się roztaczała edenem ułudy
Przede mną z swą rozkoszą i swojemi cudy.

Dzięki ci za te chwile, o czcigodny cieniu!
Dzięki ci, żeś natury mój pojął pragnienia,
Prostował jój przywary, zachęcał natchnienia,
I nie dał im zaginać w samém ich nasieniu,
Jak rolnika plon ginie, gdy zarodek młody
Uderzą i zabiją biegunowe chłody.

Dzięki ci, pod twém skrzydłem, jam zmęźniał dla wiary,
I na ciosy potwarzy stwardniał hartem stali,
Przysposobił do męki serce i ofiary,
Nauczył się drwić z losu rozhukanéj fali,
I żeglować bez strachu przez odmęty bytu,
Gdzie wieczną nawałnicą wrą głębie bezdenne...
O Duchu! coś w niebiosach aureolą szczytu
Uwieńczył swoje czoło, świętością promienne,
Spłyn ku mnie! spłyn na chwilkę z edenu wieczności
Osłodzi gorycz smutku i mrok samotności,
I błogosław mi ninie, gdym już, już przy grobie —
Jakes mi błogosławił w życia rannéj dobie!

Gdy ostatnich słów domawiał, Lipowczyński otarł łzę, co mu
po licach spływała, i potoczywszy smutném okiem dokoła, zęgnął

milczeniem tę Ochrymową, tak sercu jego drogą. Uroczystym był więc nasz wyjazd z Ochrymowy, jak bywa zwykle pożegnanie na wieki. Konie nasze szły stępą, jakby dzieląc nasze zamyslenie. Dojeżdżaliśmy już do Baczkuryna, gdzie się Lipowczyński z letargu swego obudził i rzekł:

— Mam przecucie, że tą drogą jadę raz ostatni, że tej strony nie obaczę więcej. *Linquenda tellus!* Kochany panie. Nie jestem ja stary laty, ale stary cierpieniem i serce łaknie spoczynku. Co miałem najdroższego, albo mnie zdradziło, albo umarło! Świat dla mnie pusty. Głos duszy nie wywoła echa. Cóż będę robił samotny, pośród tej martwej Sahary?...

Nazajutrz rano byliśmy już w Lipowcu.

Tam pożegnałem Lipowczyńskiego nie bez głębokiego rozżewnienia, i on także był tkliwszym dla mnie niż zwykle; a kiedy przestąpił próg jego domu, zawołał, cisnąc rękę moję:

— Będę myśleć o panu i modlić się za pana!

Już go więcej nie widziałem!

Przeszło lato. Nastała jesień. Wypadło mi być w Lipowcu. Jadąc przez las luliniecki, spotkałem tłum ludzi wiejskich, co szedł za trumną z prostego drzewa, ku Polanie. Obok niej poznałem płaczącego Kaspra Pokrzywnickiego. On był jedynym wiernym przyjacielem Lipowczyńskiego. Pojąłem! i niewypowiedzianą boleścią przejęty, wyskoczyłem z powozu i gorącemi łzami oblałem trumnę przyjaciela.

— Umarł onegdaj -- mówił pan Pokrzywnicki. — Nie chorował wcale, przynajmniej nie okazywał, że cierpi. Gdy sługa wszedł doń rano, Lipowczyński klęczał ubrany przed obrazem Matki Boskiej — i był martwy. Doktor zdecydował, że sercowy aneurizm był przyczyną jego nagłej śmierci. Na stole leżał list do mnie, dawniej daty. W nim znalazłem ostatnią wolę jego: chciał być pochowanym na Polanie, bez wystawy, pod starą gruszą, w której cieniu lubił spoczywać i dumać. Całą pozostałość po sobie, kazał sprzedać i uzyskane pieniądze rozdać bie-

dnym. W osobnej kopercie znalazłem modlitwę, którą zwykł odmawiać i testament. Weź pan sobie do przeczytania.

To rzekłszy wręczył mi kopertę.

Nim, idąc za trumną, skończyłem czytanie tych rzewnych słów, w których się tak wymownie ulatując ku niebu dusza Lipowczyńskiego ze światem żegnała, smutna procesya weszła na Polanę.

Anioł żałoby zdawał się lecieć nad nią, émiąc lazur jój nieba i barwy jój kwiecia. Zefiry wstrzymały się w locie i drzewa umilkły; ach! bo te zefiry i drzewa znały oddawna tęsknego pustelnika Polany; były przez lat tyle powiernikami trosk jego, marzeń, tęsknoty i żalu. Z niemi to on spędził tyle dni i nocy. i całą swą duszę przed niemi odsłonił.

Stosownie do woli nieboszczyka, wykopano dlań mogiłę pod stuletnią gruszą, co obszernym kręgiem konarów i liścia ocieniała najwyższy punkt Polany i tém była pamiętną, że pod nią s. p. babka Lipowczyńskiego siadywać lubiła.

Sługa nieboszczyka, Janko Smalko, ten sam co nam w podróży towarzyszył, nie mógł się utulić w żalu.

— *Na szczo pokinuw ty nas!... czomu ne wziaw i mène na tot świt?!*... — wołał i rzucał się na trumnę swego pana, i całował ją płacząc i łkając, i tulił się sercem do niej.

Lud wiejski podzielał żal Janka, bo lubił nieobłudnie Lipowczyńskiego. Proste serca lepiej go pojęły i oceniły, niż krewni i przyjaciele!

Gdyśmy trumnę do dołu spuścili, rzuciliśmy wszyscy na nią po garstce ziemi i przezegnaliśmy znakiem krzyża świętego. Na hasło Pokrzywnickiego, lud wziął się uroczyście do smutnej roboty i wkrótce znikła nam z przed oczu uboga trumna przyjaciela!

Mogiła nad nią wyrosła. Na mogile stanął krzyż prosty, z kory nieogółocony, a gdy już nic nie zostawało do robienia, uklękliśmy i zaśpiewaliśmy chórem Anioł Pański.

Potém odeszliśmy, i my, i lud, serdeczny spółnik smutnéj ceremonii.

Janek tylko pozostał na grobie swego pana i płakał.

Wychodząc z Polany, w tém miejscu zkąd nam widać było jeszcze mogiłę, Pokrzywnicki zawołał:

— *Vale amice! et sit tibi terra levis!*

— *Vale! vale! nos te ordine, quo natura permiserit, cuncti sequemur!* — dodałem boleśnie i las skrył przed nami Polanę.

KONIEC.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN



Polonia...
 Janek tyko...
 Wydział...
 Polonica...
 Polonica...
 Polonica...



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 35631

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171938